

PRZYMIARKI DO WYBORÓW PREZYDENCKICH

Kto się boi Doroty Gawryluk?
– zastanawia się Piotr Semka



Ryszard Czarnecki
demaskuje unijne
„kłamstwo migracyjne”

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 22/580 27 MAJA–2 CZERWCA 2024

CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

NIE MAM PLANU B

– KRZYSZTOF ZIEMIEC
SZCZERZE
O ZAMIARACH
NA PRZYSZŁOŚĆ



Aptekarze stronią od proaborcyjnej
kampanii rządu

WOJCIECH CEJROWSKI
W ROZMOWIE Z „DO RZECZY”:

Tusk jest kolaborantem systemu unijnego



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



9 772299 850000

Nakład: 52 000 egzemplarzy

eprasa.pl 38 39 2024

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA „DO RZECZY” I MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”



**W PREZENCIE
KSIĄŻKI**

TEKSTY Z DODATKÓW SPECJALNYCH TYGODNIKA „DO RZECZY”: „PRAWNA OBRONA PRZED POŁONOFOBIA” + „PRAWNA OBRONA WOLNOŚCI SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

249,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 462 zł

~~711 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 385994fd94



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Pakt z diabłem

Awięc stało się. Na razie wprowadzie nieco cichcem, trochę jakby nieśmiało i bez wielkich fanfar, ale jednak. Polski rząd ogłosił, że jest po stronie tęczowej bolszewii. Choroba, polegająca na tym, by chronić nie to, co normalne i naturalne, ale wspierać wynaturzenie i perwersję, na dobre już zagościła nad Wisłą.

Kilka dni temu, jak donosi portal opoka.org.pl, polska minister do spraw równości (ależ to piękna orwellowska nazwa!), Katarzyna Kotuła, podpisała się w imieniu rządu pod deklaracją, która wzywa do uznania związków jednopłciowych w całej Unii Europejskiej. Tak, minister polskiego rządu poparła rozwiązanie, które na szczęście jeszcze w Polsce nie obowiązuje. Co ciekawe, pod dokumentem nie podpisali się przedstawiciele Węgier, Rumunii, Włoch, Bułgarii, Chorwacji, Litwy, Łotwy, Czech i Słowacji. Wychodzi na to, że nawet na tle Europy Środkowej i częściowo Zachodniej (Włochy!) Polska znalazła się w awangardzie. A przynajmniej chciałaby się znaleźć, gdyby tylko udało się do tego rozwiązania przymusić polskie społeczeństwo, wciąż odporne. I to mimo najszczerzych chęci tęczowych hunwejbiniów, takich jak pani Kotuła czy pan Adam Bodnar. Podpisaną deklarację słusznie oceniła włoska minister do spraw rodziny, Eugenia Roccella: „Próbują zaprzeczyć nie tylko biologii, lecz także samemu ciału”. Słusznie, nic nie trzeba tu dodawać.

Jak podaje portal: „Podpisanie deklaracji było częścią konferencji pt. „Sojusze dumy i polityka. W stronę unii równości”. Spotkanie zorganizowały władze Belgii, która pełni obecnie prezydencję w Unii Europejskiej. Odbyło się ono w dniu, w którym środowiska LGBT obchodzą dzień walki z homofobią, bifobią

i transfobią”. Chociaż deklaracja nie ma mocy wiążącej, to pokazuje cel działania rządów sygnatariuszy. Zapisano w niej żądanie ustanowienia na terenie całej UE cywilnych związków jednopłciowych oraz postulatę wprowadzenia przywilejów dla homo-, bi- i transseksualistów.

No cóż, wszystko jest teraz jasne. Rząd Tuska chce w Polsce zainstalować, dokładnie tak jak to jest w wielu państwach zachodnich, tęczową dyktaturę. Oczywiście na razie są to tylko pohukiwania, bo genderystom brakuje nahajki, a więc odpowiednich przepisów prawa, przy których pomocy będą mogli rozprawić się z opornymi. Nie mają w ręku przepisów o tzw. mowie nienawiści, instrumentu, który pozwoli zakneblować Polakom usta.

Podpis minister Kotuli ma jednak znaczenie przełomowe. Pokazuje, że bastion oporu wobec szaleństwa, którym mogła być Polska, upadł. Donald Tusk dołączył, na razie deklaracyjnie, nasz kraj do wehikułu antycywilizacji. Jeśli nie pojawi się mocny ruch oporu, to zniknie wszystko to, co stanowiło o odrębności i niepowtarzalności Polski: przywiązanie do katolicyzmu, szacunek dla religii, troska o tradycyjną obyczajowość opartą na prawie naturalnym. Zamiast tego czcić się będzie, dokładnie tak jak to się dzieje w Stanach Zjednoczonych i wielu państwach Unii, ludzi chorych, rozbitych wewnętrznie i często kierujących się perwersyjnymi pożądaniami. Celowo używam słowa „czcić” – bo na Zachodzie mamy do czynienia z prawdziwym kultem wynaturzeń.

Z ulic znikną procesje Bożego Ciała; maj nie będzie miesiącem, gdy tłumy śpiewają w kościołach litanie loretańskie; w czerwcu nikt nie będzie pamiętał o Sercu Pana Jezusa; podobnie w październiku nie będzie się

odmawiać Różańca. Nieco dłużej przetrwa obyczaj Pierwszej Komunii i pamięć o zmarłych na początku listopada, ale i te pozostałości dawnej polskiej tożsamości zostaną wyrugowane. W ich miejsce pojawią się nowe święta i uroczystości.

Już teraz zachodni świat obchodzi coraz większą liczbę tęczowych uroczystości. 17 maja to Międzynarodowy Dzień przeciw Homofobii, Transfobii i Bifobii, 19 maja to „Dzień dumy osób bezpłciowych”. 6 kwietnia do Międzynarodowy Dzień Aseksualności, w dniach 16–22 września obchodzi się Tydzień Świadomości Biseksualnej, który kończy się 23 września uroczystością Dnia Biseksualności. W dniach 17–24 października obchodzi się Tydzień Widzialności Osób o Płynnej płci, a dzień 19 lipca to święto drag queen. Do tego dochodzą miesiące dumy gejowskiej, wcześniej był to czerwiec, teraz kolejne kraje wydłużają ten okres – w Kanadzie np. czterotygodniowy Miesiąc Dumy stał się „Czteromiesięczną Porą Roku”. Joe Biden wprowadził osobne święto 31 marca – czyli Międzynarodowy Dzień Wi-dzialności Osób Transpłciowych. Genderowy kalendarz stopniowo wypiera kalendarz chrześcijański.

Panseksualna cywilizacja się rozwija, a kolejne państwa próbują wymusić na obywatelach afirmację coraz bardziej obłąkanych form relacji seksualnych. Nie tylko państwa – to samo robią wielkie korporacje, które organizują swoim pracownikom regularne pranie mózgu. Wszyscy mają być inkluzywni i afirmatywni.

Podpisując deklarację, minister Kotuła uczyniła pierwszy krok. Nie mam wątpliwości, że będą następne. Jak sama oświadczyła: „Dla LGBT pójdę do piekła i zawiężę pakt z diabłem”. Mając takiego sojusznika, może skutecznie niszczyć polską tożsamość. ©©

TEMAT TYGODNIA

14 ROZMOWA Z WOJCIECHEM CEJROWSKIM
TUSK JEST KOLABORANTEM SYSTEMU UNIJNEGO
 W Polsce od bardzo dawna nie istnieje prawica



OPINIE

- 50** ŁUKASZ WARZECHA
PETENT, JEGO CESARSKA MOŚĆ
 Prezydent stolicy jako jastrząb lewicy
- 52** TERESA STYLIŃSKA
W POSZUKIWANIU MATKI
- 54** MAREK JUREK
EUCHARYSTIA: RATUNEK KOŚCIOŁA
- 56** PAWEŁ CHMIELEWSKI
CO BĘDZIE Z MEDJUGORJE?

HISTORIA



- 58** ADAM HLEBOWICZ
W OBCYM MUNDURZE POD MONTE CASSINO
 Sprawiedliwość dla zmarłych

KRAJ

- 20** RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TUSK RUSKA SIĘ CHWYTA
 Plebiscyt przedwyborczy z Rosją w tle
- 24** PIOTR SEMKA
KTO SIĘ BOI DOROTY GAWRYLUK
- 26** CEZARY GMYZ
ŚLEPE SŁUŻBY
- 28** ROZMOWA Z KS. PROF. DARIUSZEM OKO
KOŚCIÓŁ PRZETRWA JAK ZIARNO GORCZYCY
- 31** ROZMOWA Z KRZYSZTOFEM ZIEMCEM
NIE MAM PLANU B
- 34** ŁUKASZ ZBORALSKI
CHORY SYSTEM OCHRONY ZDROWIA
- 36** ZUZANNA DĄBROWSKA
TABLETKA PODZIAŁÓW

KULTURA

- 38** ROZMOWA Z BARBARĄ GIZĄ I ADAMEM WYŻYŃSKIM
FILM UTOPIONY W WIŚLE
 Władza kontra sztuka



- 41** PIOTR GOCIEK
ŚNIADANIE U TRUMANA
- NIE PRZEGAP**
- 44** NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

ŚWIAT

- 62** MACIEJ SZYMANOWSKI
KULAMI W POLITYKA
 Czy naszego sąsiada czeka zmiana?
- 66** ROZMOWA Z RYSZARDEM CZARNECKIM
UNIA WCIŚNIE NAM MIGRANTÓW
- 68** PIOTR WŁOCZYK
ARMIA ZŁUPIONA
- EKONOMIA**
- 70** JAKUB WOZINSKI
CENY, OD KTÓRYCH ROBI SIĘ GORĄCO
 Kosztowna energia
- STYL**
- 74** JOANNA BOJAŃCZYK
DOLCE VITA CZEKOLADY
 Nie zawsze taka słodka

NA PIERWSZY OGIEŃ

Przerzucanie się emigrantami



PIOTR SEMKA

Turyści z Europy, którzy lubią wpadać na weekend do Dublina, by spróbować oryginalnego Guinnessa, wychylić szklaneczkę whiskey i posłuchać celtyckich pieśni w tutejszych pubach, ostatnio wyjeżdżają ze stolicy Irlandii z dość kwaśnymi minami. Wzdłuż wielkiego kanału rzeki Liffey pojawiły się bowiem miasteczka namiotowe afrykańskich imigrantów. Ci nowi przybysze przyjechali tu z Wielkiej Brytanii. Irlandzka Rada do spraw Uchodźców szacuje liczbę imigrantów, którzy koczują na dublińskich ulicach, na ok. 2 tys. osób. Media donoszą, że co tydzień na ulice Dublina przybywa ok. 250 nowych imigrantów. Policja stara się likwidować niektóre obozowiska, ale natychmiast pojawiają się nowe. Właściciele załamują ręce. Boją się, że turyści nie będą przyjeżdżać do Dublina, którego centrum zaczyna przypominać słynne imigranckie obozowiska z francuskiego Calais.

Skąd w Dublinie tylu nowych imigrantów? To efekt umowy, którą Wielka Brytania zawarła z afrykańskim państwem Rwanda,

w której myśl imigranci przybywający łodziami z Francji na wybrzeże Wielkiej Brytanii mają być deportowani do tego afrykańskiego kraju, gdzie w obozach będą czekać na ewentualne przyznanie azylu.

W rezultacie nielegalni imigranci z terenu Zjednoczonego Królestwa ruszyli do Irlandii, skąd nikt ich do Rwandy nie wyśle. Irlandzki rząd boi się oburzenia swoich obywateli, że ten nic nie robi, i żąda, by władze w Londynie zgodziły się przyjąć z powrotem niechcianych przybyszy. Ponad 90 proc. z 7 tys. nielegalnych imigrantów, którzy przybyli w tym roku do Irlandii, to osoby, które wcześniej złożyły wnioski o azyl w Anglii lub Szkocji. Przybywają do państwa Irów poprzez Irlandię Północną, która formalnie należy do Zjednoczonego Królestwa, ale z racji delikatnych relacji Londynu z Dublinem, mimo brexitu, nie ma żadnej bariery granicznej z republiką irlandzką. Oczywiście irlandzka policja mogłaby obsadzić granice i zatrzymywać Afrykańczyków, ale na to rząd dubliński jest zbyt postępowy i humanitarny. Swoją bezsilność

politycy z Dublina rekompensują złorzeczeniem Brytyjczykom, że ci nie chcą przyjmować z powrotem imigranckich uciekinierów z Albionu.

Można dyskutować, czy pomysł wysyłania kandydatów do statusu azylanta do Rwandy, który zainicjował rząd w Londynie, zakończy się sukcesem. Ale brytyjski premier, Rishi Sunak, próbuje jakoś walczyć z zalewem przybyszy z Trzeciego Świata.

A Irlandia prowadzi z jednej strony politykę otwartych drzwi dla imigrantów, z drugiej strony każe swojej policji likwidować miasteczka namiotowe, a z trzeciej – finansuje z budżetu organizacje, które zaopatrują ciemnoskórych przybyszy w nowe namioty. A wszystko to przy niezdolności współdziałania morskich straży przybrzeżnej z Irlandii i Wielkiej Brytanii przy zatrzymywaniu pontonów z imigrantami wypływających z wybrzeży Francji. Humanitarna retoryka zderza się z lękiem rządów przed własnymi obywatelami zirytowanymi imigrancką inwazją. Słowem: paranoja rozkwita. © ©



ARMAGEDON W GNIEZNE

Takiej nawałnicy mieszkańcy Gniezna nie widzieli od wielu lat. 20 maja nad miastem przeszła gwałtowna burza z gradem. W ciągu godziny spadła na Gniezno miesięczna norma deszczu. Skutki były dramatyczne: zalane domy, mieszkania, sklepy i piwnice, zarwane dachy oraz samochody unieruchomione przez sięgającą do kolan wodę. W jednym z aut wezbrana woda uwięziła kobietę, którą niemal w ostatniej chwili z opresji uratowali strażacy. (jap) © ©

List otwarty do Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej,

Panie Prezydencie!

Niżej podpisani zwracają się do Pana z prośbą o zawetowanie nowelizacji ustawy o mniejszościach narodowych i etnicznych, przyjętej przez Sejm Rzeczypospolitej Polskiej w dniu 26 kwietnia 2024 r., przez Senat w dniu 8 maja 2024 r.

Dlaczego te zmiany w prawie wywołują nasz sprzeciw?

Oddzielony od Korony Polskiej w XIV w. szczep śląski narodu polskiego przeżył renesans poczucia przynależności do narodu polskiego w XIX w. i na początku XX w. Przyłączenie Śląska do państwa czeskiego nie oznaczało oderwania tej ziemi od ścisłej łączności i pokrewieństwa z polską wspólnotą. Wszak budziciecie ludu śląskiego, jak ks. Jan Alojzy Ficek, Paweł Stalmach, ks. Józef Szafranek, Józef Lompa czy Karol Miarka, a następnie ślascy działacze z tajnej Ligi Narodowej, nawiązywali do języka polskiego.

Zryw trzech kolejnych powstań śląskich poświadczył o istnieniu wśród ludu śląskiego woli do ponownego połączenia się z Polską. Gdy dziś formułowane są postulaty dotyczące uznania dialektu, godki śląskiej, za język regionalny, a następnie przejście do postulatów uznania Ślązaków za mniejszość etniczną – uwa-

żamy za swój obowiązek wezwać Pana Prezydenta, by zatrzymał ten niepokojący proces oddzielania Ślązaków od narodu polskiego. Pojawiają się opinie, że przyznanie statutu mniejszości regionalnej dla Kaszubów nie spowodowało żadnych negatywnych tendencji i że w związku z tym należy w podobnie spokojny sposób podejść do propozycji przyznania takiego statusu Ślązakom. Uważamy, że w tej sprawie nie można mówić o analogii. W społeczności kaszubskiej w większości nigdy nie było postulatów autonomii czy przejścia od statusu mniejszości regionalnej do statusu mniejszości etnicznej. Współcześni Kaszubi wprost dają świadectwo swojej polskości, motywując to m.in. pamięcią o mordowaniu polskich Kaszubów przez Niemców od początku drugiej wojny światowej. Natomiast przez organizacje takie jak Ruch Autonomii Śląska czy Związek Osób Narodowości Śląskiej od ponad dwóch dekad formułowane są wizje przeszłości, które akcentują brak więzów historycznych między Polską a Śląskiem. W tej tradycji opisywania dziejów powstania śląskie traktowane są jako agresja inspirowana z Polski, dowartościowane są walki niemieckiego Freikorpsu z powstańcami

śląskimi, niechętnie traktowana jest tradycja oporu Ślązaków wobec agresji niemieckiej we wrześniu 1939 r. i formułowane są określenia „polskie obozy koncentracyjne”, spychające na dalszy plan fakt, że były to narzędzia terroru kolaboracyjnego reżymu Bolesława Bieruta, który prześladował tak samo Ślązaków, jak polskich patriotów na Śląsku po wojnie. Zwracamy też uwagę, że problem nie dotyczy samej godki śląskiej. Już dzisiaj w tej części Polski istnieje tradycja wielu konkursów, pojedynków recytatorskich czy imprez regionalnych, które pielęgnują używanie tej gwary języka polskiego. Nasz niepokój budzi jednak sztuczne tworzenie jednego nowego języka z wielu gwar śląskich, gdyż widzimy w tym procesie o charakterze politycznym, zmierzającym do wykreowania nowej mniejszości etnicznej czy nawet narodowej w Polsce. Uważamy, że proces przybliżania rdzennej społeczności Śląska do Polski może być zakłócony przez taką swoistą inżynierię społeczno-polityczną, której kreatorami są organizacje dążące do autonomii Śląska i promujące uznawanie Ślązaków za osobny naród. Nie możemy się na to zgodzić w imię szacunku dla obecnej polskiej racji stanu, a także w imię



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiękiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Cioś (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czamedzi,
Wojciech Golenka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelski, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Rozkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Toraniński, Piotr Włoczek, Marcin Wolski, Dariusz Wieronieczny,
Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**,
Małgorzata Puzyr, **Anna Skalska**, **Anna Szczepańska**, **Marcin Bugaj**,
Damian Cygan, **Jan Fiedorczuk**, **Grzegorz Grzymowicz**, **Dawid Sienkowski**, **Łukasz**
Żygadlo

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziello** (kierownik studia),
Marta Michałowska, **Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotorecja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**

Korekta: **Anna Zalewska**, **Magda Zubrycka-Wernerowska**,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSONOWNIC: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzyszto**

Okładka: **W. Cejrowski LTD**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, **Orle Pióro SA**, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, **Jolanta Kloc**

Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, **Joanna Nowakowska**
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o.
(instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumeratawarszawa@kolporter.com,
pl, www.kolporter.com.pl

Garmond: tel.: +48 (12) 422 14 85,
e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl,
www.poczta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 61 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 52 000 egzemplarzy



Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Pana Andrzeja Dudy

szacunku dla wysiłku wielu pokoleń na rzecz pojednania Śląska z Polską, których symbolami pozostają Wojciech Korfanty i Konstanty Wolny, a w czasie ostatniej wojny opłatanego ceną krwi dziesiątek tysięcy śląskich patriotów, którzy marzyli o trwałym włączeniu Śląska w skład Rzeczypospolitej (takich jak młody Franciszek Blachnicki, skazany na śmierć przez okupantów, obecnie kandydat na ołtarze, czy bł. ks. Jan Macha, męczennik Śląska zamordowany przez Niemców w 1942 r. za pracę konspiracyjną).

Ewentualne podpisanie przez Prezydenta RP ustawy honorującej tzw. język śląski, jako język regionalny, rodzić będzie niepokojące następstwa. Stanowić będzie podstawę do ubiegania się o środki do budżetu państwa oraz o fundusze europejskie przez organizacje de facto wspierające proces budowania separatyzmu śląskiego. Tendencje związane z budowaniem odrębności Śląska są podyktowane celami bieżącymi, w tym paneuropejskimi. Polityka regionalizacji Polski i Europy wpisuje się

bowiem w podstawowe działania instytucji Unii Europejskiej, w tym zapisane w Europejskim Obszarze Oświaty, zmierzającej do centralizacji władzy na Starym Kontynencie przy jednoczesnym osłabianiu spójności państw narodowych i przywiązania do wartości chrześcijańskich, tak mocno związanych z ludem Śląska.

Fragmentaryzacja Polski współczesnej i dążenie do zaniku naszej odpowiedzialności za wspólnotę kulturową oraz wspólne interesy polityczno-gospodarcze są sprzeczne z bardzo ważnym tradycyjnym dążeniem Ślązaków do przynależności do Polski. Tendencje autonomiczne i rewindykacyjne sprzed drugiej wojny światowej były jednoznacznie kojarzone z wrogą Polsce polityką zagraniczną Niemiec. Dziś powinny być kojarzone z polityką centralizacyjną i decentralizacyjną współczesnych elit lewicowo-liberalnych mających ambicję, aby zarządzać Starym Kontynentem.

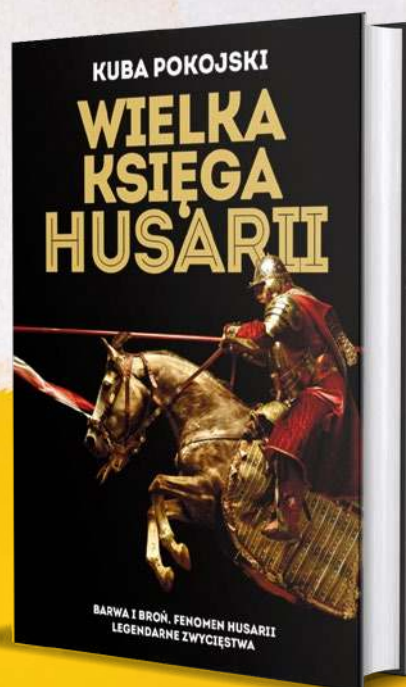
Powtórzmy: Karol Miarka, Wojciech Korfanty, Konstanty Wolny, ks. Emil Szramek, prymas August Hlond, bp Józef

Gawlina czy ks. Franciszek Blachnicki i wielu innych – dziś wołają z za grobu, byśmy pamiętali o pokoleniach walczących o polskość Śląska i o całość ziem polskich.

Piotr Semka, publicysta, tygodnik „Do Rzeczy”,
prof. dr hab. Jan Żaryn, historyk, IH UKSW, prezes Stowarzyszenia Polska Jest Najważniejsza,
prof. Aleksandra Niewiara, Instytut Językoznawstwa UŚ,
prof. dr hab. Wojciech Roszkowski, historyk,
Maciej Pawlicki, publicysta, reżyser,
prof. dr hab. Tomasz Panfil, historyk,
Bronisław Wildstein, pisarz, publicysta,
Małgorzata Żaryn, historyk, edukator,
Jacek Karnowski, redaktor naczelny tygodnika „Sieci”,
Michał Karnowski, publicysta, członek zarządu grupy wydawniczej Fratria,
Paweł Lisicki, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy”,
Adam Hlebowicz, historyk, publicysta,
Grzegorz Górny, eseista, publicysta, reżyser,
Tomasz Sakiewicz, redaktor naczelny TV Republika

Odkryj sekrety **najlepszej kawalerii świata** w jednej książce!

Zamów na **www.XLM.pl**



REKLAMA



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Lizus wystawiony

Nie pierwszy raz nie mogę odżałować, że Stanisław Bareja opuścił już ten padół i nie robi o tym kolejnego filmu. Burmistrz nadgranicznego Michałowa, działacz PO Marek Nazarko, postanowił się zasłużyć w oczach partii i wywalił w parku dwie wielkie płaskorzeźby, ewidentnie inspirowane filmem Agnieszki Holland „Zielona granica”. Dyptyk przedstawia w części pierwszej polskiego strażnika granicznego czy żołnierza witającego serdecznie ludzi podpisanych jako uchodźcy z Ukrainy. W części drugiej taki sam (ten sam?) strażnik robi „halt” do kobiet i dzieci podpisanych jako uchodźcy z Syrii, Iraku, Afganistanu etc., zatrzymując je za zwojami drutu kolczastego.

Wizualnie dzieło jest paskudne, ale artysta i pan burmistrz (ponoć od zawsze wielce sprzyjający Grupie Granica i innym jacejkom opluwającym SG i WP) uchwycili to, co w narracji Holland i salonów było najobrzydliwsze i wzbudziło największy poklask w Niemczech i całej Unii – niezaprzeczalny tytuł do chwały, że Polacy przyjęli 3 mln prawdziwych uchodźców wojennych do własnych domów, nie budując dla nich ani jednego obozu, obrócono w jeszcze jeden „dowód” polskiego rasizmu. Białych to przyjęli, a na czarnych i muzułmanów polują! O, i złapanym każą pić ze stłuczonego termosu! Ohydni ci Polacy! Brawo, pani Agnieszko!

Dzieło miało właśnie zostać uroczystie odsłonięte, a tu – pier-

dutt – Tusk przełożył wajchę! To nie żadni uchodźcy – zagrmiał – to wojna hybrydowa! Osiemdziesiąt procent to mężczyźni w wieku poborowym, 90 proc. ma rosyjskie wizy! Umacniamy – on, Tusk znaczący się, umacnia, zawsze umacniał – płot graniczny, rozbudujemy go do rozmiarów Tarczy Wschód, nasycimy optoelektroniką!

I pan burmistrz został z tymi rzeźbami (chwilowo ponoć zasłoniętymi pokrowcem) jak... Hm, nie znajduję porównania dość ekspresywnego, a zarazem cenzuralnego. Ale spodobał mi się internetowy komentarz, że za rządów Tuska wszelkie pomniki powinno się robić z plasteliny. Żeby, jak Wódz zmienia narrację, od razu móc uaktualnić ich wymowę. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Główny nurt populizmu

Deklaracje władzy o walce z proputinowskim populizmem nie robiłyby takiego wrażenia, gdyby zapowiadały walkę z proputinizmem i z populizmem oddzielnie. Ale z proputinowskim populizmem, gabinet Donalda Tuska?

W czasie poprzedniego sprawowania rządów premier Tusk nie uzasadniał udziału w resecie polityki wobec Rosji (tak, już po najeździe na Gruzję) racjami geopolitycznymi. Nie odwoływał się do działającej w czasie zimnej wojny reguły „im bliżej, tym ostrożniej”. Wówczas bowiem Wielka Brytania była rzeczywiście bardziej antysowiecka niż Francja, a Francja – niż Niemcy. Tak samo zresztą działało to na

północy: Norwegia była bardziej antysowiecka niż Szwecja, Szwecja bardziej niż Finlandia. W tym była wtedy pewna logika, której do tej pory historycznej wierności docho- wuje kanclerz Scholz, gdy otwarcie uznaje niemiecką Ostpolitik za sukces, za fundament zjednoczenia Niemiec.

Ale Donald Tusk nie tylko nie powoływał się na historyczne argumenty geopolityczne, lecz także na bardziej aktualne, krążące wśród proputinowskich polityków zresetowanego Zachodu. Nie odwoływał się, jak przywódcy Niemiec czy Francji, do konieczności „zrozumienia” problemów posowieckiej „transformacji” Rosji. Ani nawet do potrzeby budowania „pokoju przez

handel”, jak przywódcy Belgii czy Włoch.

Nie, założenia Tuska nie były tak zawiłe, cechowała je na- prawdę imponująca prostota. Za ostateczną rację swej rosyjskiej polityki uznał, że „wszyscy” na Zachodzie prowadzili podobną. I do tej pory to powtarza. Można się gorszyć, że taki argument to totalna polityczna i myślowa abdykacja. Przyznać jednak trzeba, że do tej pory bardziej populistycznego argumentu na rzecz wspierania Rosji nikt w Europie nie wymyślił. Donald Tusk mógł od tamtej pory zmienić poglądy, jak „wszyscy”. Ale prawa do tytułu Patriarchy Proputinowskiego Populizmu nikt mu odebrać nie może. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

2 krzyż, proszę ja ciebie,
dałbym odwrotnie...



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O plugawych słowach

Czternastoletnia Asia z południa Włoch walczy z rakiem. Przechodzi chemioterapię. Zaczęła opowiadać o swoim życiu i walce z chorobą na Instagramie. Zamieściła filmik, na którym gra na fortepianie. Ma na głowie chustkę, bo wypadły jej włosy. Od-móżdżeni frustraci odpowiedzieli, że wykorzystuje chorobę, by zdobyć popularność, że żębrze o litość i pewnie zaraz poprosi o pieniądze. Znalazł się też wpis: „Jak śmiesz pokazywać się w necie taka błada i łysa? To obrzydliwe!”. Mama Asi przeczytała wpisy hejterów i zwróciła się o pomoc. Zareagował prezydent Sergio Mattarella. Napisał na Instagramie: „Asiu, widziałem twój film, na którym grasz na fortepianie. Jesteś znakomita. Gratuluję Ci siły i życzę wszystkim-

go najlepszego”. Naturalnie po tym geście prezydenta o Asi było głośno we wszystkich włoskich mediach. Moraliści załamywali ręce nad ułomnością natury ludzkiej. Zdiagnozowali, że dziś można bezkarnie ludzi obrażać, łamiąc wszelkie granice przyzwoitości.

To prawda. Potwierdza ją incydent o podłości dużo mniejszego kalibru, za to z udziałem osób znacznych. Postępowy pisarz Roberto Saviano („Gomorra”) zięje nienawiścią do premier Giorgii Meloni. Twierdzi, że jest niebezpieczną faszystką, a jej rząd to dyktatura. Pani premier zareagowała dopiero wtedy, gdy nazwał ją bastar-dem. To słowo we Włoszech jest obrazą. Zażądała przeprosin, a gdy ich nie otrzymała, wniosła sprawę do sądu.

Podczas Salonu Książki w Turynie Saviano prowadził spotkanie z Salmanem Rushdiem. Przy okazji ogłosił, że w Italii doszło do zamachu na wolność słowa, bo przychodzi mu stanąć przed sądem za obrazę. Rushdie na to: „Meloni powinna wydorosnąć. Politycy powinni mieć grubsza skórę”. Hm...

Saviano miał świetną okazję, by dać przykład i publicznie powiedzieć „przepraszam”. Wszystko rozeszłoby się po kościach, a moraliści nosiliby go na rękach. Niestety, wygrała nienawiść podlana narcyzmem. Wychodzi na to, że przepraszać za obrazę już nie trzeba. Lepiej walczyć o wolność plugawego słowa. ©

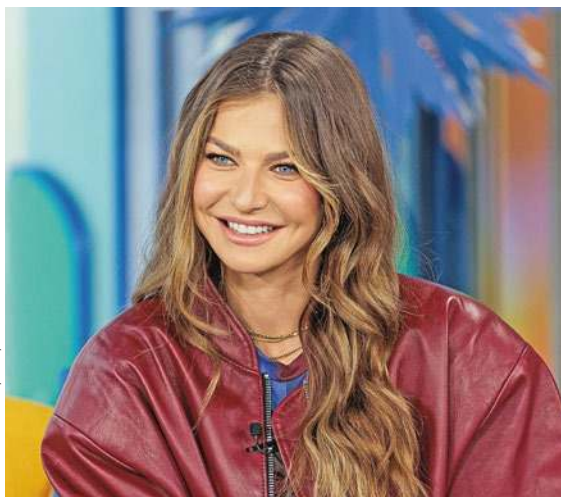
Author jest korespondentem Polskiego Radia.

ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

ODWAŻNA I SILNA

Dzieje się, oj dzieje. Anna Lewandowska nieomal stała się ofiarą kradzieży. Popularna trenerka fitness podzieliła się z tysiącami fanów niebezpieczną sytuacją, której doświadczyła na lotnisku. Lewa zaplanowała weekend w Polsce, jednak zanim wyruszyła do kraju, na lotnisku w Barcelonie cudem (i własną siłą) uniknęła kradzieży walizki. – Słuchajcie, ku przestrodze. Właśnie spotkała mnie niefajna sytuacja na lotnisku. Kiedy to chciałam się „odczekować” i nadać багаż, zapytałam panią, czy tutaj mogę się odprawić. Pani powiedziała, że muszę poczekać, muszę pójść do kolejnej odprawy. Odwracam



FOT. MATEUSZ CROCHOCKI/JOYIN, EAST NEWS

się, patrzę, a zamiast dwóch walizek, jedna stoi – relacjonowała w emocjach gwiazda. – Pan z moją walizeczką małą właśnie wychodzi z lotniska. Myślę, że pokonałam sprint mojego życia, najszybszy sprint. Wskoczyłam w drzwi, które się zamykały, takie okrągłe. Wskoczyłam do niego, złapałam za walizkę. Może pozostawię bez komentarza, co jeszcze zrobiłam. Dobrze, że umiem karate. Odzyskałam walizkę – wskazała Lewandowska, mistrzyni karate. Celebrytka przestrzega swoich obserwatorów. – Słuchajcie, ku przestrodze, uważajcie wszędzie na lotniskach, szczególnie w Hiszpanii, zwłaszcza w Barcelonie, bo bardzo tu kradną – podkreśla Ania, która

przecież jako międzynarodowa gwiazda na lotniskowym życiu zjadła zęby. Dzieje się, przecież mówiłam!

EDZIA MÓWI,
JAK JEST

Eurowizja jako wydarzenie muzyczne żyje krótko, jednak jako impreza dotycząca wszystkiego, tylko nie muzyki, znacznie dłużej. Edyta Górniak, która w 1994 r. zajęła najwyższe w historii polskich występów na tym festiwalu drugie miejsce, wyraziła opinię na temat tegorocznych uczestników. Diwie szczególnie nie podobał się a la satanistyczny show reprezentantki Irlandii. „Zastanawiam się, co jeszcze musi się wydarzyć, żeby ostatecznie wstrząsnąć światem i ludźmi” – komentowała Górniak. „Wygląda na to, że Antychryst robi nam przysługę, aby ludzkość wreszcie się przebudziła. I określiła, jakiego świata chce. Będzie drażnił wszystkie nasze zmysły coraz bardziej. Do skutku. I jeśli ludzkość nie określi swojego serca i sumienia, nie przyjmie mocnej i czystej postawy – tornado zła zniszczy wszystko, co napotka” – przekonuje wokalistka. Zdaniem Górniak „jesteśmy już w tej chwili bardzo blisko piekła na ziemi”. „Zastanawiam się, co jeszcze musi się wydarzyć, żeby ostatecznie wstrząsnąć światem i ludźmi. Na jaki znak ludzie czekają, żeby podjąć wewnętrzną decyzję? Życzę nam wszystkim mądrości, światłości myśli i bezpieczeństwa” – napisała piosenkarka. Do tej wypowiedzi postanowił odnieść się Andrzej Piaseczny, który nie zgadza się z mrocznymi wizjami Edzi. – Żyjemy w takim świecie, który naprawdę powinien być otwarty na różnorodności. Ja polecam ten sposób patrzenia na świat. Co nie znaczy, że nie możemy dokonywać własnych wyborów. Edyta jest, jaka jest – stwierdził Piasek. – Ja jestem, inni ludzie są jeszcze inni i każdy z nas ma prawo do wypowiadania opinii na temat tego świata, natomiast myślę, że odrobina dystansu do rzeczywistości to jest fantastyczna sprawa – powiedział wokalista. No cóż, jaka Edzia jest, wszy-

scy wiemy. Jaki był występ pani z Irlandii, też widzieliśmy. Niech każdy odpowie sobie sam, kto ma rację.

WROTKI ODPIĘTE

Ktoś, kto nie siedzi na iksie (X) lub Instagramie, mógł zapomnieć, że Marianna Schreiber istnieje. Zmienić to postanowił Krzysztof Stanowski i zaprosił żonę polityka PiS do Kanału Zero. Żądni pudełkowych wrażeń nie mogą czuć się zawiedzeni. Marianna odpięła bowiem wrotki już totalnie. Pytana, czy nie uważa, że swoim zachowaniem ośmiesza męża, odparła, że nie, skądże. – Myślę, że nikt się nie może ośmieszyć bardziej niż osoba, która jest politykiem partii prawicowej i zostawia swoją żonę i dziecko w trakcie kampanii wyborczej, a dwa dni wcześniej ustala, jakie sobie zdjęcia zrobią jako rodzina [...]. Jest to osoba, z którą przeżyłam bardzo wiele lat, jedną trzecią swojego życia. Ja nigdy nie spodziewałabym się, że nawet gdybym była najgorszą osobą, że coś takiego mnie spotka – przyznała żona polityka PiS. – Czy konkretnie ośmieszyłam męża? Że w jego urodziny podstawiłam mu tort pod nos? Tym go ośmieszyłam? – pytała oburzona. – To moja wina, że on się nie uśmiecha, że uśmiecha się z wyborcami? Że się wstydił rodziny to jest moja wina? – zastanawiała się Schreiber. Zaznaczyła, że „zawsze była przy swoim mężu, nawet jeśli robiła z siebie naprawdę śmieszna osobę w Internecie”. Marianna ma pretensje o to, że mąż próbował zmienić jej naturę. – Wiedział, jaka byłam od samego początku. Próbowałam się zmieniać, próbowałam się upodobnić do osoby, którą może bardziej by pokochał, bardziej się zaangażował. Te siedem lat temu, kiedy nasza córka była malutka, próbowałam być taka bardzo poważna, i z wyglądu próbowałam siebie postarać, żeby być bardziej akceptowana. Robiłam wszystko, co mogłam, żeby być bardziej akceptowana, kochana. Po kilku latach przekonałam się, że to wszystko na nic – podsumowała gorzko. Nikt tego nie życzy, ale to wszystko może skończyć się źle. ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, pojawił się u nas w korpo nieoczekiwane problem luki kompetencyjnej, a mówiąc prościej i wprost – zaraz nie będzie komu robić. Otóż wielu członków naszego kolektywu pod wpływem lektury artykułów w wiodących mediach postanowiło wziąć bezpłatne urlopy i wyjechać do Niemiec pracować przy zbieraniu szparagów.

My postanowiliśmy zostać, iż z tej okazji zaoferowano nam nawet płatne nadgodziny, ale w pełni rozumiemy takie podejście. Kiedy możesz żyć w Niemczech, to przecież nie będziesz żyć w tym kraju, prawda? I to nawet jeśli mamy wreszcie porządną europejską rząd. Bo przecież sprzątanie po pisie nie skończy się przed sezonem szparagowym, co nie?

Co najbardziej nas jednak zdziwiło, to to, że na szparagową emigrację udał się nawet Nowy z Tarnowa. Spakował w zawiniątko święty obrazek z Kaczafim, skibkę chleba (of kors nie wiemy, co to jest, ale on to tak nazywał), garść polskiej ziemi i jedną przywiedłą cebulę. Nikt się tego nie spodziewał, ale Nowy stwierdził, że musi pilnować moralności naszej ekipy na tym zgniłym Zachodzie, żeby nikt w weekendy nie jeździł do Berlina na techno i fentanyl, a kto dopilnuje tego lepiej niż on.

No i tym sposobem zostaliśmy sami, bez nadzoru, z płatnymi nadgodzinami i elastycznym czasem pracy. Totalnie się nie odnajdujemy i czekamy, aż ten

Nowy wróci, bo samemu to nawet trudno wymyślić, co w tej pracy robić i który excel kopiować do którego :(.

*Komisja ds. badania wpływów rosyjskich
i w. Konstantego Rokossowskiego*



ceza x y e x y j z t o n z

Uuu, ale się będzie działo. Pojawiły się pomysły, iżby znacząco podnieść ceny na alkohol, który – jak wiadomo – jest w tym kraju artykułem pierwszej potrzeby dla przeciętnego janusza z podkarpacia, który nie zna innej rozrywki niż wieczorne gapienie się w telewizor i zerowanie kolejnych puszek taniego piwa, a rano musi zacząć dzień od małpki pitej ukradkiem przed rozpoczęciem zmiany na budowie.

Sami więc widzicie, iż tego typu problemy są poważne, i bardzo dobrze,

iż nareszcie ktoś odważył się tym zająć.

Jednocześnie musimy pamiętać, aby nie wylać osobodziecka razem z kąpielą (tak się mówi, ale o chooy tu w ogóle chodzi? xD) i nie podnieść przesadnie cen na alkohole, które wieczorami piją dla rozładowania stresu młodzi i dynamiczni pracownicy korporacji, członkowie zarządów, wolni strzelcy z branży kreatywnej, a także osoby aktorskie, piosenkarskie i celebryckie, które następnie urządzają sobie zawody w prowadzeniu samochodów pod wpływem.

Jest to bowiem zupełnie inny rodzaj alkoholu. Nie jest to jakieś tanie piwsko, wódka czy małpki, ale jest to najczęściej wino czerwone, drinki, whisky, koktajle i likiery – sami widzicie różnicę, nie można zrównywać takiego podkarpackiego chłania dla chłania od wielkomiejskiego delektowania/degustowania/odstresowywania. Mamy również

nadzieję, iż nikomu nie przyjdzie do głowy regulowanie rynku i wprowadzanie minimalnej ceny na narkotyki, iż wtedy budżety korporacji nie uniosą liczby rozliczanych nadgodzin.

Nas na szczęście podwyżka cen czy tam ceny minimalne nie dotyczą, bo i tak na co dzień pijemy tylko piwko kraftowe typu hazy double oatmeal stout DDH pastry sour IPA po 25 zeta za butelkę xD. ☺☺



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI
OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)**

PODSŁUCHANE

Na placu zabaw

Muszę ci powiedzieć, Romek, że ta sztuczna inteligencja to jest znakomita sprawa!

W jakim sensie, Donek?

Obserwujesz mnie na Insta?

No jasne. Te posty z wnusiami mistrzowskie są.

Dzięki. A wiesz, co ja robię, kiedy one się tworzą?

No jak to co? Jak pokazujesz wnusie na placu zabaw z tobą, to jesteś z nimi na placu zabaw. Chyba.

Nie! To ja sobie siedzę w gabinecie

i ciągnę koniaczek! To są sztuczne wnusie, z ej aj. Sztucznej inteligencji znaczy.

Ale że jak to?!

Normalnie. Patrz tutaj teraz i uważaj: „Pokaż wnusie na zjeżdżalni z dziadkiem Donaldem”. I cyk. I teraz „wyślij”. I tak kilka razy w tygodniu. ☺☺

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Polaków trzeba na nowo uczyć Europy. Tusk chce ich obudzić”.

PROF. KAZIMIERZ KIK, politolog, o wiecu zwołanym przez szefa PO 4 czerwca, w rozmowie z „Rzeczpospolitą”

Barwy kampanii europejskiej. Smuteczek w sztabie PeŁo. Nie dość, że krzywe poparcia się przecinają, to jeszcze badania pokazują, że z mobilizacją elektoratów jest krucho. Stąd pomysł wielkiego wiecu, który na 4 czerwca zapowiada Zły Donald z Sopotu. Rok temu, pamiętamy, też był wielki marsz Donalda. Jeśli nas pamięć nie myli – „przeciwko drożyznie, złodziejstwu i kłamstwu”. Jak się domyślamy, w tym roku hasła pozostaną te same.

Na razie nie ogłoszono oficjalnie nazwy wielkiego wiecu. A jest potrzebna. Podpowiadamy więc: może zamiast Marszu Milionów teraz Wiec Miliardów? Ale jakich miliardów? – ktoś zapyta. Na początek może tych, które rozpierzono wskutek pacyfikacji TVP i Orlenu. To w sumie całkiem dużo miliardów, potrzebny jest więc bardzo duży wiec.

Tymczasem w kampanii europejskiej po stronie PiS szczególnie wyróżnia się była premier Bełata Szydło, która najwyraźniej została mocno połączona nominowaniem jej na „twarz kampanii do europarlamentu”. Co ciekawe, premier Bełata jest przyjmowana bardzo entuzjastycznie przez lud PiS-owski w terenie. Inny był premier, Mateusz, ma z tym gorzej. Ale może dlatego, że jeździ wspierać głównie tych kandydatów, których sam przehorsował.

Natomiast gniewne pomruki dotarły do nas z Wielkopolski, gdyż albowiem nie w pełni naświetliliśmy tydzień temu działalność Szynkowskiego vel Sęka. Wspomnieliśmy jedynie, że w boju o europarlament wspiera on Wojciecha Kolargola Kolarskiego. Na co oburzyli się inni czołowi kandydaci z regionu, twierdząc, że popularny Szynka popiera także ich. Uzupełniamy więc: Szynkowski vel Sęk popiera wszystkich! I Rychna Czarneckiego, i Barta Wróblewskiego, i w ogóle wszystkich! Nie ma ważniejszej figury niż Sz. vel S.! Bez jego poparcia dostać się można najwyżej do Żabki, a nie do Brukseli!

Tymczasem u prezydenta Andrzeja Sebastiana. W dużym pałacu trwają poszukiwania osoby odpowiedzialnej za wypuszczenie tweeta z kondolencjami dla narodu irańskiego po śmierci Ebrahima

Ja nazywam się Kaczyński,
a z Putinem to Tajdaczyl się
ten Tusk z PiS...



Ra'isiego, prezydenta Iranu i wcześniejszego głównego sędziego. Sprawa faktycznie jest gruba, bo gość odpowiada coś za 2,5 tys. egzekucji plus wiele innych mało fajnych działań. Nie bez kozery stwierdzimy, że akcje Marcina Masty Mastalerka nie stoją już tak wysoko jak dawniej.

Warszawskim ratuszu z kolei zachodzą w głowę, kto podpuścił Rafcia Czajkowskiego do akcji z usuwaniem krzyży z urzędów. Złe języki mówią, że dupiarza (jak sam o sobie mówił) na minę wsadzili ludzie Tuska. I że niemąłą rolę w tej sprawie odegrała niejaka Gajewska, która kiedyś gorąco go wspierała, a teraz nienawidzi z całego serca.

Jedna sprawa się natomiast wyjaśniła. Otóż Donald Tusk będzie kandydował na prezydenta Polski. Jak to? – zapytacie. – Przecież publicznie zadeklarował, że nie będzie kandydował na prezydenta Polski. Ano właśnie dlatego. Wiecie przecież, jak to jest z Donaldem. A tak na serio: jeśli ktoś myśli, że Zły Donald z Sopotu chce oddać najbliższe lata sprawom protektoratu polskiego, to go nie zna. W numerze z pre-

zydentem chodzi o to, że z premierostwa zawsze można zrezygnować, żeby iść do Brukseli. Z prezydentury – nie bardzo.

Jeśli ktoś myślał, że prezydent Andrzej Sebastian będzie wetował ustawę za ustawą, to jest w mylnym błędzie. Osoba głowy państwa chętnie by sobie powetowała, ale nie bardzo ma co – poza ustawą o tzw. języku śląskim. Rzecz w tym, że na biurko prezydenckie niewiele trafia. A przyczyna jest prozaiczna – proces legislacyjny leży. A leży z tego prostego powodu, że czterech partnerów koalicyjnych nie potrafi się dogadać w najprostszych sprawach. Nas to jednak specjalnie nie martwi. Jak bowiem wiadomo, nadmiar legislacji szkodzi.

Ponieważ osoba głowy państwa nie ma co wetować, wzięła się do blokowania kandydatury ambasadorskich. Pałac ogłosił więc, że nie zgadza się na zastąpienie Szatkowskiego Najderem w placówce przy NATO. Radek Reset Sikorski upiera się, że go wyśle nawet bez zgody prezydenta. Od biedy w tym przypadku dałoby się to zrobić, bo NATO to nie państwo, tylko organizacja międzynarodowa. Jednak w przypadku państw sprawa się komplikuje, bo nikt nie przyjmie tzw. listów uwierzytelniających podpisanych przez Donalda czy Radka. I nie da się tego przeskoczyć.

Wszystko to budzi coraz większą furię Radka, który próbuje odwołać nawet takich ambasadorów, którym tuż po planowanej dacie odwołania i tak kończy się kadencja. Postanowił też wrażeń ambasadorów wziąć głodem. Na początek obciął niektórym pensje o jedną trzecią. Przeliczył się jednak, gdyż na razie nikt z tego powodu nie zrezygnował.

Staramy się, jak wiecie, dostrzegać wiadomości, które komentują się same. Z radością odnotowujemy wypowiedź Siemoniaka Tomasza, który w sprawie budowy zapory na granicy z Białorusią oświadczył, że chodzi o to, by zamiast PiS-owskiego muru powstały tam „bagna czy mokradła, czy też wały”. Co do kwalifikacji kadr PeŁo w zakresie bagna – nie mamy wątpliwości. Co do robienia wałów – też. Pozostaje tylko pytanie, czy wiedzą też, jak robi się mokradła. ☹☹

dwaj
panowie



FOT. ROBERT CAROZINSKI

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



ZATRUTE OWOCE '68

Szał na ulicach Paryża – Zrewoltowani studenci domagali się odrzucenia „starego świata” i wszelkich autorytetów. Ich postulaty w ogromnej mierze trafiły po latach do mainstreamu

Czerwone pacyfki – W czasie zimnej wojny „obrońcy pokoju” na Zachodzie dużo chętniej krytykowali militarystykę amerykańską niż sowiecką

Rewolwer zamiast megafonu – Fala czerwonej przemocy zalała Niemcy i Włochy. Lewacy terroryści wzięli tam na celownik wielki biznes i instytucje państwowe

Holenderski oprawca Rzeczypospolitej – Ogromny wpływ na gospodarczy, a w konsekwencji również polityczny upadek państwa Polaków i Litwinów miały Niemcy

Niewolnicy Waszyngtona – Pierwszy prezydent Stanów Zjednoczonych był plantatorem i właścicielem kilkuset Murzynów. Czy zostanie strącony z cokołów?

Zatruty puchar królowej – Bona zgromadziła w czasie pobytu w Polsce wielki majątek. Bogactwo sprowadziło na nią ostatecznie nieszczęście

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



Z Wojciechem Cejrowskim, komikiem, pisarzem
i przedsiębiorcą mieszkającym w Arizonie
rozmawia Maciej Pieczyński

Tusk jest kolaborantem systemu unijnego





MACIEJ PIECZYŃSKI: 1 maja minęło 20 lat Polski w Unii Europejskiej. Zapewne taki euroentuzjasta jak Wojciech Cejrowski hucznie świętował tę wielkopomną rocznicę. A już zupełnie poważnie: te dwie dekady to o dwie dekady za dużo?

WOJCIECH CEJROWSKI: Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, co nam Unia dała, natomiast da się pokazać, co zniszczyła lub niszczy. Kopalnie, elektrownia Turów, przemysł cukrowniczy, polskie kutry na Bałtyku; byliśmy światowym potentatem dostaw surowca do produkcji papierosów mentolowych – zniszczone, skóry na futra eksportowaliśmy nawet do USA – zniszczone.

Listę zniszczeń da się stworzyć, a listy pożytków się nie da, bo nie wiemy, co by w Polsce było, gdyby Polski w Unii nie było.

Ktoś może wskazywać różne inwestycje z funduszy europejskich i mówić, że tego by nie było, gdyby nie Unia, ale to żaden dowód. Bo... może gdyby nie Unia, to byłoby coś lepszego, co byśmy zbudowali za własne pieniądze, bez tych wszystkich ograniczeń, które idą za każdą unijną dotacją.

Jedną z koszmarnych konsekwencji bycia w Unii jest to, że wójt w gminie przestał myśleć o tym, jak zarobić forszę na miejscu, jak stworzyć takie warunki, by w gminie była produkcja, która generuje podatek dochodowy, i gmina w ten sposób ma forszę na drogi, kanalizację i inne takie. Dzisiejszy wójt myśli o tym, jak zdobyć darmową kasę z Unii, a nie jak wygenerować forszę w gminie.

Fundusze unijne to to samo co chwilówki – łatwo się bierze, ale to jednocześnie najdroższa forsa na świecie. Kto się kiedyś wpakował w chwilówkę, ten wie. A Polska jako państwo wpakowała się 20 lat temu.

W ramach Unii jesteśmy państwem podległym, a do tego w stanie likwidacji, a nie rozwoju.

Jest pan w stanie powiedzieć cokolwiek dobrego o Unii Europejskiej?

Na szczęście się wali i bankrutuje.

A może problemem Polski nie jest Unia, tylko nieudolność albo uległość naszych polityków, którzy nie potrafią forswać interesu Warszawy na brukselskich salonach?

Forsowanie interesów Warszawy powinno się odbywać na salonach

warszawskich. Ta koncepcja, którą pan przedstawia, to jest od razu pozycja klęczącego petenta, który musi jechać do Brukseli i tam na cudzych salonach coś załatwiać. Prawidłowa pozycja negocjacyjna powinna być taka, że jak Ursula lub Angela mają coś do Polski, to niech się pofatygują do Warszawy. Mocarstwa europejskie mają zainwestowane w Polsce o wiele więcej pieniędzy niż Polacy u nich. Czyli kto ma więcej do stracenia? My u nich czy oni u nas? To jest bardzo mocna pozycja negocjacyjna, trzeba tylko umieć negocjować.

Lewar nacisku na Berlin lub Paryż leży w Polsce – wystarczy drobny nacisk na niemieckie i francuskie firmy, wystarczy drobne administracyjne utrudnienie wobec firmy Orange lub Auchan i to właściciele tych firm zaczynają naciskać na swoich przedstawicieli w Berlinie i Paryżu, żeby się JAKOŚ, DO CHOLERY, DOGADALI Z POLSKĄ, BO JA TAM WŁAŚNIE TRACĘ PIENIĄDZE.

„Idziemy do Parlamentu Europejskiego, żeby odrzucić Zielony Ład i pakt migracyjny” – obiecuje Jarosław Kaczyński. Pana ta obietnica przekonuje?

PiS szedł do władzy zreformować sądy – nie zreformował przez osiem lat. PiS szedł do władzy likwidować aborcję – gdy dostał głosy środowiska pro-life, olał to środowisko. A pakt migracyjny to Jarosław mógł odrzucać przez ostatnie lata bez wychodzenia z Warszawy, ale... zbudował w płockiej Petrochemii muzeum mańskie miasteczko, bo tania siła robocza z Pakistanu potrzebna, oraz wpuścił do Polski 2 mln imigrantów i rozdał im numery PESEL, zasiłki, mieszkania, szpitale, szkoły, czołgi, amunicję... Nawet wraku, w którym zamordowano mu brata, nie potrafił odzyskać, więc trzeba być naiwnym, by sądzić, że da sobie radę z Zielonym Ładem.

Krytycy PiS – zarówno z prawa (Konfederacja), jak i z lewa (PO, „Gazeta Wyborcza”) – zarzucają partii Kaczyńskiego hipokryzję. Argumentują, że przecież PiS sam zaakceptował Zielony Ład. Mateusz Morawiecki broni się, twierdząc, że akurat na antyrolnicze regulacje to on nigdy się nie godził. Co pan na to?

Kłamie.

„Teraz Bosak z Mentzenem będą pełzać na kolanach o akceptację Hołowni i tej innej hołoty,

bo przecież są partią europejską. Poczekajmy kilka tygodni, a Bosak będzie przekonywał, że euro jest dobre” – stwierdził pan w niedawnej rozmowie z Pawłem Lisickim w programie „Antysystem”. Skąd tak ostra ocena Konfederacji? Przecież to jedyna poważna siła eurosceptyczna w polskiej polityce.

Eurosceptyczna – co to znaczy? Że trochę się z tobą ożenię, ale w pewnych sprawach się z tobą nie ożenię? W Unii się albo chce być, albo nie chce być. Ja nie chcę, Konfederacja chce. A oni są pańskim zdaniem lekko sceptyczni czy bardzo sceptyczni? I w czym konkretnie się to wyraża? Co to w ogóle za postawa? Czy w roku 1939 była jakaś partia „sceptyczna” wobec niemieckiej inwazji na Polskę?

Ja już nie mam czasu na takie zabawy w słówka – chcę doczekać niepodległości Polski, a Konfederacja proponuje przedłużanie agonii.

Zostawmy Konfederację, ale pozostawmy przy sprawach unijnych. Komisja Europejska ogłosiła, że w Polsce znów zapanowała praworządność. Tym samym nie grożą nam już sankcje unijne, przewidziane w art. 7. Tymczasem nowa władza nie wprowadziła żadnych znaczących zmian w wymiarze sprawiedliwości, a jedynie zadeklarowała ich wprowadzenie. Czyżby „praworządność” w języku Unii oznacza „rządy Tuska”?

Pan się teraz bawi słowami. Po co? Rządzą nasi albo nie nasi. Dla Unii Tusk to „nasi”, a naszym się pomaga. Mam się bawić w słówka? OK... „Praworządność” w języku Unii oznacza, że mają prawo rządzić nasi, a nie mają prawa rządzić nie nasi.

Zdaniem wielu komentatorów PO w naginaniu, a nawet łamaniu prawa poszła o wiele dalej niż PiS. Dotyczy to choćby siłowego i wątpliwego prawnie przejęcia mediów publicznych. Można odnieść wrażenie, że za to samo, za co Kaczyński dostanie od Brukseli po łapach, Tusk otrzyma pochwałę i odznakę bojownika o demokrację. Jak pan to skomentuje?

A co tu komentować? Powiedział pan prawdę. No ja może bym to podkreślił: COKOLWIEK zrobi Kaczyński, dostanie po łapach, a cokolwiek zrobi Tusk, nie dostanie. Tylko powody są dla mnie niejasne. Przecież zarówno Kaczyński, jak i Tusk są w każdym swoim działaniu wiernymi psami Unii Europejskiej – robią, co im Unia kazała. Wymieniają się



Co tydzień w środy w naszym serwisie internetowym DoRzeczy+ program „Antysystem” – rozmowy Pawła Lisickiego i Wojciecha Cejrowskiego FOT. DO RZECZY

stanowiskami – raz jeden jest premierem, raz drugi, raz jedna partia wystawia swojego prezydenta (Komorowski), raz druga (Duda), ale niezależnie od tej wymiany realizowany jest grzecznie i służalczo plan Unii wobec Polski. Więc doprawdy nie wiem, dlaczego im się Kaczyński nie podoba. Przecież robi, co każą. A że czasami zaszczeka lub warunie na Brukselę... Jakie to ma znaczenie praktyczne?

Pewnie właśnie dlatego im się Kaczyński nie podoba, że „warczy”. A dokładniej: używa retoryki konserwatywnej i suwerennościowej, która zdaniem brukselskich elit powinna już dawno odejść do lamusa. Ale zapewne według pana to zbyt mało, by stwierdzić, że Kaczyński jest lepszy od Tuska?

Nie o to mi chodziło. Uważam, że to z punktu widzenia tych mafiosów z Unii jest dobre i pożyteczne, że Kaczyński czasami na nich warunie. Bo to prowadzi do panowania nad narodem polskim. Gdy nikt nie warczy, wówczas naród sam się zaczyna buntować i obecnie mamy ruchy chłopskie skierowane w Zielony Ład.

A gdy Kaczyński warczał, ale nic konkretnego nie robił, to naród głupio myślał, że skoro Kaczyński warczy, to coś tam w Brukseli załatwia i nadal mamy szansę. Z punktu widzenia Unii jest korzystne takie pozorne warczenie. Ono jest odpowiednikiem „licencjonowanej opozycji”, którą komuniści tolerowali w czasach PRL. Wiadomo było, że ta licencjonowana opozycja niczego konkretnego nie osiągnie, ale wentylowała nastroje społeczne na zasadzie „ktoś warczy, ktoś się stawia, ktoś WALCZY O POLSKĘ, to ja już nie muszę osobiście”.

Może jednak sympatia Unii do Tuska na coś się Polsce przydała? Embargo na zboże z Ukrainy dalej obowiązuje, mur na granicy nie tylko nie został

zniesiony, lecz także ma być zmodernizowany... W niektórych „suwerennościowych” sprawach Platforma weszła w buty PiS i jest w nich nawet skuteczniejsza, bo nie dostaje po głowie od Brukseli. To chyba dobrze?

A konkretnie CO dobrze? Pan cały czas pyta i analizuje w trybie poddańczym. „Musimy być w Unii, tak jak za komuny musieliśmy być pod zarządem moskiewskim, czyli w Układzie Warszawskim” – to jest ten poddańczy punkt widzenia. Gdy tymczasem ja uważam, że NIE należy się cieszyć z dupereli, ale walczyć o niepodległość. Mnie się KPN podobał bardziej niż KOR i Żołnierze Wyklęci bardziej od Czterech Pancernych. A świętym zostanie prymas Stefan Wyszyński, a nie Książa Patrioci.

Teraz młodzi czytelnicy zupełnie nie wiedzą, o czym gadamy... Dobra, powiem to tak: Tusk jest KOLABORANTEM systemu unijnego i to, że czasami coś skutecznie wytarguje, mnie nie obchodzi, bo mnie obchodzi NIEPODLEGŁOŚĆ RP zamiast kolaboracji z Unią, w Unii, dla Unii, przy Unii.

Twarzą rzekomego przywrócenia praworządności jest Adam Bodnar. Znany jest ze swoich lewicowych poglądów. Teraz chce rozszerzyć przepisy o tzw. mowie nienawiści m.in. o kwestie płci, tożsamości płciowej czy orientacji seksualnej. Czeka nas rewolucja światopoglądowa?

No niestety nie rewolucja. Gdyby to była rewolucja, czyli gwałt, nagła i radykalna zmiana, to może byśmy się bronili, ale to jest powolne gotowanie żaby, a nie żadna rewolucja. Społeczeństwo polskie jest stopniowo i łagodnie przyzwyczajane do zboczeńców i chorych umysłowo. Facet, który uważa się za kobietę, jest chory umysłowo, czyli należy leczyć głowę, a nie obcinać narządy i doczepiać cycki – tak uważam i chciałbym, aby moje prawo

do wypowiadania takiej opinii było zagwarantowane konstytucyjnie.

Mowa nienawiści powinna być chroniona prawnie. Nikt nie potrzebuje wolności słowa do wygłaszania poglądów popularnych – wolność słowa potrzebna jest wtedy, gdy ktoś ma do powiedzenia coś niepopularnego. Bodnar wymyśla paragrafy do niszczenia ludzi, którzy myślą po swojemu, a nie tak jak każe władza.

Å propos niszczenia ludzi, którzy myślą po swojemu... Niedawno „Gazeta Wyborcza” świętowała swoje 35. urodziny. Chętnie się dowiem, czego z tej okazji dziennikarzom od Michnika życzy Wojciech Cejrowski?

Zadał pan pytanie wredne. Ludzie w Polsce się stale nienawidzą. No i diabeł się cieszy. „Gazeta Wyborcza” to ZŁO wcielone. Popiełuszko powtarzał nam do znudzenia: „Zło dobrem zwyciężaj”. Chodziłem na te Msze za Ojczyznę, słuchałem tych słów i byłem młody, i byłem w konspiracji, i byłem pełen adrenaliny, i zapału, i szczerzej-naturalnej-uzasadnionej nienawiści do komunistów, i kompletnie nie rozumiałem tych słów ks. Popiełuszki, bo widziałem tylko ZŁO–DOBREM, czyli „bądź frajerem jak amisez – gdy cię biją, daj się pobić”.

Teraz dorosłem i wiem, że najważniejsze było słowo ZWYCIĘŻAJ. Diabła, masonerię, zło wcielone, „Gazetę Wyborczą” najskuteczniej ZWYCIĘŻA się dobrem. Męski Różaniec przynosi diabłu więcej szkody w jego planach i działaniach niż ładunek wybuchowy podłożony pod gabinetem, gdzie robią aborcje.

Dziennikarzom tego obiektywnie wrednego szatańskiego Michnika życzę zbawienia duszy. Każdy z nich ma duszę nieśmiertelną, a jeżeli ja im życzę zbawienia, to oznacza, że się najpierw będą musieli nawrócić. Życzę im nawrócenia na wiarę katolicką, reszta „zrobi się sama”.

Przenieśmy się na Wschód. Czy pańskim zdaniem w interesie Polski jest powstrzymanie rosyjskiego imperializmu?

Tak pan to pytanie skonstruował, że można udzielić jedynie złych odpowiedzi. Roski imperializm jest zawsze dla Polski groźny, więc leży w interesie Polski obrona przed ruskim czy niemieckim imperializmem. Ale... gdyby powstrzymanie rosyjskiego imperializmu miało się odbyć w formie wojny nuklearnej,

którą Ameryka stoczy na Mazowszu i Podlasiu, to wówczas NIE leży w interesie Polski powstrzymanie rosyjskiego imperializmu.

To czy nie lepiej, żeby Rosja wykrwawiała się dalej na Ukrainie? Może lepiej dalej faszerować Kijów bronią, zamiast naciskać na pokój?

Dalsze faszerowanie Kijowa bronią prowadzi do tego, że Kijów coraz więcej tej broni sprzedaje na czarnym rynku, tak jak karetki, które dostał w darze z Polski. Dalsze faszerowanie Kijowa bronią powoduje, że coraz więcej Ukraińców i Rosjan ginie. Ja jestem katolik, więc nie podoba mi się takie cyniczne podejście, żeby podsycać konflikt w takim CELU, aby zginęło więcej ludzi, nawet ruskich. Dalsze faszerowanie Kijowa bronią prowadzi do eskalacji rodzajów stosowanej broni, czyli zaczynamy mieć do czynienia z taktyczną bronią atomową. Faszerowanie Kijowa bronią nie dało na razie nic dobrego – Putin przestawił gospodarkę na tryb wojenny, wszystkiego (włącznie z ludźmi) ma 10 razy więcej niż Ukraina, więc nie ma możliwości się wykrwawić i przegrać.

Co z tym fantem zrobić, nie wiem. Instynktownie mam do konfliktu Rosja – Ukraina stosunek taki jak do konfliktu Niemcy – Rosja w czasie drugiej wojny światowej. Polsce się nie opłaca wygrana żadnej ze stron, podobnie jak Polsce się nie opłaca przegrana żadnej ze stron.

Jeśli Kijów zgodzi się oddać część ziem w zamian za pokój, to na jakiś czas działa ucihną, ale prędzej czy później Rosja znów uderzy. Albo rozłoży Ukrainę od środka. I w końcu ją podbije. Warto ryzykować taki scenariusz?

Co to znaczy „czy warto ryzykować”? A co Polska ma w tej sprawie do powiedzenia lub do ryzykowania? Jeżeli Rosja podbije Ukrainę, to dla Polski bardzo dobrze, bo Ukraina nie wejdzie do Unii Europejskiej, czyli polskie rolnictwo nie pójdzie do likwidacji, a jednocześnie niedobrze, bo nasza granica z Rosją się wydłuży, a Rosja to odwieczny wróg Rzeczypospolitej i Rosjanie traktują Polskę jako swoje tereny.

Uwaga: prowokacyjne pytanie. Kto jest dla suwerenności Polski większym zagrożeniem: Bruksela czy Moskwa?

W tej chwili Bruksela, ale to się może zmienić w minutę. Zachód sprzedał nas

Ruskom w Jałcie, więc być może sprzeda nas znowu przy stole rozmów o pokoju na Ukrainie. Rosjanie mogą odpalić pocisk nuklearny w Białystok jako sygnał odstraszać sojusz NATO.

Jak daleko powinna sięgać polska pomoc dla Ukrainy?

Na poziomie państwowym powinna być zerowa. Na poziomie indywidualnym niech każdy decyduje samodzielnie, na ile chce pomagać, ile uchodźców przyjąć PRYWATNIE pod swój PRYWATNY dach lub ile PRYWATNEJ forsy wysłać do Kijowa.

Czego powinniśmy zażądać w zamian?

Pan mnie prowokuje, a w zasadzie zeruje na tym, że ja jestem szczerzy. Za pomoc indywidualną nie powinniśmy żądać niczego – ofiarom wojen nie godzi się pomagać w zamian za coś. A za pomoc państwową powinniśmy odzyskać Lwów, czyli ziemie rdzennie polskie wraz ze wszystkimi zabytkami, biblioteką.

Mogłem jednak ugryźć się w język... Kijów za nic w świecie nie oddałby Lwowa Polsce. A nawet gdyby, to przecież tam mieszkają Ukraińcy, a nie Polacy. I raczej nie powitaliby nas z kwiatami. Po co nam taki problem na głowie?

Dlatego powiedziałem panu, że na poziomie państwowym pomoc powinna być ZEROWA, bo wtedy i tylko wtedy państwo polskie nie musi wymagać niczego w zamian.

A EWENTUALNY problem z Ukraińcami zamieszkującymi Lwów dałoby się rozwiązać w sposób identyczny jak z Polakami zamieszkującymi polski Lwów w momencie zakończenia drugiej wojny światowej. Polaków wysiedlono do Wrocławia.

Niektórzy komentatorzy przedstawiają wojnę na Ukrainie jako konfrontację zachodniego liberalizmu i rosyjskiego konserwatyzmu. Inni uważają, że to bujda, bo Rosja nie ma nic wspólnego z prawdziwą prawicą, a Ukraina walczy o niepodległość, a nie o prawa LGBT. A pan jak na to patrzy?

Im dłużej patrzę, tym bardziej mi wychodzi bujda, ale trochę inna od tej, którą pan opisał. Konflikt jest nadal graniczny. Jest to kłótnia sąsiadów, którzy nadal i cały czas robią ze sobą interesy na OGROMNĄ SKALĘ. Firmy ukraińskie i rosyjskie kooperują, importują

■ i eksportują, wiele firm istnieje po obu stronach granicy. Sam Zełenski opowiadał przed wojną, że Rosjanie i Ukraińcy to bracia. To by znaczyło, że się bracia pokłócili o miedzę i tłuką po głębach, ale nadal są braćmi. Ostatecznie wypiją wódkę i się pogodzą, a my wyjdziemy na frajerów.

Sondaże wskazują, że za pół roku na fotel prezydencki w USA wróci Donald Trump. Nie obawia się pan, że będzie wobec Kremla równie uległy jak Tucker Carlson, który w słynnym wywiadzie nie zadawał Putinowi żadnych trudnych pytań, a jedynie biernie wysłuchiwał wygadywanych przez niego bredni?

Tucker Carlson nie jechał do Putina zadawać trudnych pytań. Pojechał, by nagrać opinie i propagandę Putina, które były zupełnie nieobecne w amerykańskich mediach. Chcieliśmy się z tego wywiadu dowiedzieć, co Putin mówi na temat wojny. Na podobnej zasadzie transmituje się przemówienia ajatollahów z Iranu – nie dlatego, że oni nam powiedzą prawdę, ale po to, by się dowiedzieć, co mówią o Ameryce i jak to mówią.

A Donald Trump nigdy nie był miękkim negocjatorem, przeciwnie – był bardzo twardy i skuteczny. Putin się go bał i za Trumpa siedział cicho. Krym zajął za kadencji miękkiego Obamy, Ukrainę zaatakował za kadencji śpiącego Bidena; w czasach Trumpa wygaszono kilka konfliktów zbrojnych i tego należy oczekiwać ponownie, gdyby Trump wygrał, co w tej chwili jest MAŁO prawdopodobne. Naród go popiera i to pan widzi w sondażach, ale to nie naród organizuje wybory i nie naród liczy głosy, tylko demokraci. Administracja Bidena ma wiele sposobów na to, by Trump nie wygrał.

Ja się modłę codziennie na kolanach o to, by Trump rządził kolejne cztery lata, ale to będzie wymagało cudu od Boga. I o taki cud się modłę.

Trump obiecał, że jeśli zostanie prezydentem, to w ciągu doby zakończy wojnę na Ukrainie. Nie zdradził w jaki sposób. A pan jak myśli – co Trump może zrobić, żeby zakończyć wojnę?

Żadna tajemnica. Są zapisy rozmów Trumpa z Putinem. Trump po prostu mówił Putinowi: Nie atakuj na Ukrainie ani nigdzie indziej. Putin na to: Bo co? Trump: Nie chcesz wiedzieć, co ja wtedy zrobię, Włodzimierzu, nie chcesz wiedzieć. I Putin siedział grzecznie na

Węgry mają Orbána – faceta, ojca narodu; Polska ma Hołownię, Biedronia, Błaszczaka...

Krymie, bo naprawdę nie wiedział, co ten wariat Trump może zrobić.

Czyli jeśli Trump wygra wybory, to zmusi Putina do wycofania się z Ukrainy? Czy zmusi Putina i Zełenskiego, żeby usiedli do rozmów i jakoś się dogadali? Jak pan myśli?

Bracia wypiją wódkę, a reszta świata, który finansował tę wojnę, wyjdzie na frajerów. Putin zarobił już na tej wojnie i na sankcjach KUPE FORSY. W ramach sankcji wiele firm zachodnich wycofało się z Rosji i... Ruscy przejęli te firmy za bezcen. Heineken postawił w Rosji browar. Po ogłoszeniu sankcji sprzedał ten browar za jednego rubla i się wycofał. Czyli jakiś ruski oligarcha kupił gotowy browar za jednego rubla.

Czy aby na pewno Trumpowi zależy na powstrzymaniu rosyjskiego imperializmu w Europie Środkowo-Wschodniej? Przecież dla niego rachunek ekonomiczny jest ważniejszy od utrzymywania roli USA jako światowego policjanta. Skąd pewność, że w pewnym momencie nie uzna, iż bardziej opłaca mu się dogadać z Putinem niż bronić flanki wschodniej NATO?

Eee... Że co? Ale pan namieszał wątków! Trump dba o interesy Ameryki, a nie Europy Środkowo-Wschodniej. Jest prezydentem Ameryki i Amerykanów, a nie Polaków i Czechów. Jeżeli rola światowego policjanta się Ameryce opłaca, bo np. powstrzymuje Chiny i Rosję przed ekspansją naruszającą interes amerykański, to Trump w to zainwestuje.

Ameryce ZAWSZE bardziej opłacało się i nadal bardziej opłaca się dogadywanie z Rosją niż walka. Mocna flanką wschodnią może być kartą przetargową lub sposobem na odstraszanie Rosji, ale... gdyby flanką wschodnią okazała się w danej chwili zbyt kosztowna, to oczywiście, że nas sprzedadzą, tak jak to zrobili po drugiej wojnie światowej. I naprawdę trudno mieć do Ameryki o to pretensję, bo interes to interes, a nie sentymenty. Pan uważa, że młody chłopak

z Arizony ma zostawić swoją żonę i dzieci i ryzykować śmierć w obronie Polski? Polak ma ryzykować w obronie Polski, a Amerykanin w obronie Ameryki.

Jakie szanse i możliwości otwiera przed Polską potencjalna prezydentura Trumpa?

Przed Polską? A co ma piernik do wiatraka? Potencjalna prezydentura Trumpa otwiera szanse i możliwości dla Ameryki, a nie dla Polski. Pan uważa, że oni tam w Ameryce ciągle o nas myślą? Oni myślą o sobie. Teraz też i to nie zależy od tego, kto konkretnie siedzi w Białym Domu.

Mocna Ameryka oznacza osłabienie Chin, Rosji, Iranu, czyli tańszą ropę i gaz na rynkach światowych, ale Tusk w Polsce utrzyma wysokie ceny benzyny, bo skoro rząd zbiera forszę z akcyzy, a akcyza stanowi procent ceny, to władzy się opłaca bardziej, gdy benzyna jest droga niż tania.

Na koniec przenieśmy się na Węgry. Jak to jest, że Budapeszt prowadzi bardziej suwerennościową politykę niż Warszawa? Dlaczego Węgrów stać na poważną debatę w sprawie wojny i skali poparcia dla Ukrainy, a Polaków nie?

Węgry mają Orbána – faceta, ojca narodu; Polska ma Hołownię, Biedronia, Błaszczaka... Jest mi pan w stanie pokazać jakiegoś mężczyznę na szczytach polskiej władzy? Same ciepłe kluchy i miękkie parówki. Tusk jest twardziellem? Śliski piskorz. A Duda – czy emanuje mocą? Kosiniak? Bosak-Mentzen? Ostatnim facetem, jakiego pamiętam, był Lepper; no to go zabili.

W Polsce od bardzo dawna nie istnieje prawica. PiS jest partią socjalistyczną, Konfederacja to chłopcy, którzy lubią pieścić stołki. Brak facetów w polityce.

A może Węgrom łatwiej jest flirtować z Putinem i kręcić nosem na pomoc Ukrainie, bo jest daleko od Rosji i nie musi się obawiać, że padnie jej ofiarą?

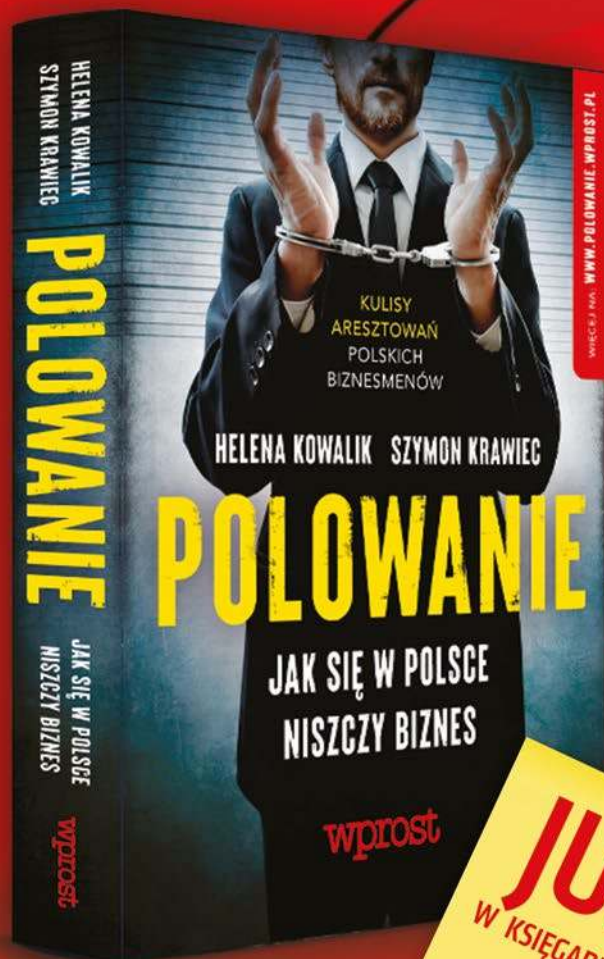
Po drugiej wojnie światowej byli w tym samym miejscu co teraz, jednak padli ofiarą Rosji, czyli pańskie „daleko od Rosji” to iluzja.

Wierzy pan, że doczekamy się jakiegoś polskiego Orbána?

Nie. Każdego kandydata zabiją zawczasu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

SENSACYJNA, OPARTA NA FAKTACH



KULISY
GŁOŚNYCH
SPRAW
I ARESZTOWAŃ

WSTRZĄSAJĄCE
RELACJE

ROZMOWY
Z EKSPERTAMI
I LUDŹMI
Z WYMIARU
SPRAWIEDLIWOŚCI

PONAD
500
NAZWISK
I FIRM

AUTORAMI SĄ
DOŚWIADCZENI
DZIENNIKARZE
ŚLED CZY

JUŻ
W KSIĘGARNIACH

Bezprawne areszty, popisowe zatrzymania, stawianie zarzutów bez pokrycia w dowodach. Tasiemcowe rozprawy sądowe, prawdziwe historie o twardym zetknięciu się z więziennymi realiami.

Bohaterami tej książki są ludzie sukcesu, rozpoznawalni biznesmeni z pierwszych stron gazet, jedni z najbogatszych Polaków, którzy w jednej chwili znaleźli się w środowisku zupełnie dla siebie obcym, znanym im dotąd jedynie z filmów kryminalnych.



Zamawiając książkę wraz z PDF na stronie

KSIAZKA.WPROST.PL

Otrzymasz gratis praktyczny poradnik stworzony w oparciu o porady adwokatów i osobiste relacje osób zatrzymanych.

W przypadku chęci zakupu większej liczby książek, prosimy o kontakt
+48 539 953 631, +48 508 040 664



PARTNERZY:



Polska
Rada
Biznesu



ZPP
Związek Przemysłowców
i Pracy



WEI
Wielki Enterprise
Institute



Fundacja
Court Watch Polska



FUNDACJA
POMYŚL
O PRZYSZŁOŚCI

Comparic.pl



MY
COMPANY



BRIEF



Tusk Ruska się chwytła

Co się porobiło z Donaldem? – pytają się nawzajem strwożonym szeptem jego zwolennicy i ścisząc głos, uściślają: oszalał?! Mają na myśli oczywiście jego propagandowo-polityczną ofensywę, która ma przekonać Polaków, że PiS to agentura Putina, „scenariusz pisany cyrylicą” i „płatni zdrajcy pachołki Rosji”. Nawet oddani kibice władzy obawiają się, że to za grube, by mogło się udać. Zresztą sondaż, zrobiony zaraz po sejmowej szarży premiera przez IBRiS, powinien być wystarczającym sygnałem do natychmiastowego porzucenia tematu – z narracją „PiS to sukces Rosji w Polsce” zgodziło się tylko 30 proc. ankietowanych (w analogicznych sondażach dotyczących uwięzienia Kamińskiego i Wąsika, włamania do TVP, PAP i domu Zbigniewa Ziobry „za” było zawsze 40 proc.). Odrzucił ją nawet co piąty zdeklarowany wyborca



Rafał A. Ziembkiewicz

Wzmożenie „PiS to Rosja” nie odbija się od żadnych nowych faktów, nie dodaje nic nowego do dotychczasowego wieloletniego hejtu. Czy premier sądzi, że będzie inaczej, gdy nada propagandowemu recyklingowi rangę raportu rządowej komisji?

PO, a w elektoracie Trzeciej Drogi – ponad dwie trzecie.

Nie dbając o to, Tusk pokazał szybko, że sejmowe wystąpienie nie było, jak niektórzy sądzili, nieopanowanym wybuchem złości, ale przemyślanym otwarciem nowego rozdziału w walce z PiS. Premier zapowiedział odtworzenie zlikwidowanej tuż po wyborach komisji do spraw zbadania wpływów rosyjskich

– oczywiście w zmienionym składzie i z innymi ekspertami, gwarantującymi zmianę „lex Tusk” w „lex Kaczyński”. Ponieważ Szymon Hołownia – który najwyraźniej wspomniany sondaż przeczytał – od poparcia dla takiej komisji się odciał, Tusk zmodyfikował projekt w kierunku komisji rządowej, o niejasnym umocowaniu prawnym i kompetencjach. W kolejnych wypowiedziach uściślił,

że na początek widzi w PiS dziewięciu podejrzanym, a jako najbardziej „umoczonego” we współpracę z Rosją wskazał Antoniego Macierewicza. Ponieważ członków komisji wyznaczy de facto on sam, a jej prace i przesłanki, na których oprze swój raport, będą niejawne, można to już uznać za „udowodnione”.

MEDIALNE KURIOZUM

Zdaniem dziennikarzy mających wgląd w kuluary Tusk swoim zwyczajem nikogo o niczym nie uprzedził, żadnych wątpliwości ani krytycznych uwag nie chce słuchać, wręcz reaguje na nie irytacją – pojawiły się głosy, że po prostu zafiksował się na pomysł zdelegalizowania PiS jako rosyjskiej agentury, jak kiedyś, nie przymierzając, Jarosław Kaczyński na „piątce dla zwierząt”. Niesławny partyjny spot z czaszkami, nawet na lewicowo-liberalnych salonach przyjęty z zażenowaniem, szczególnie że PO upubliczniła go nazajutrz po zamachu na Słowacji, miał być wręcz podyktowany przez premiera.

Koniunkturę wyczuły rywalizujące o pańską łaskę „wolne media”, szybko odpowiadając na polityczne zapotrzebowanie – „likwidatorzy” przejętej bezprawnie TVP Info stworzyli nawet natychmiast specjalny, demaskatorski program „Niebezpieczne związki”; w pierwszym odcinku gośćmi Doroty Wysockiej-Schnepf byli Tomasz Piątek, od wielu lat brylujący w roli antypisowskiego Daenikena (obecnie niepublikujący już w „Gazecie Wyborczej”, ale na portalu Reset Obywatelski), oraz gen. Piotr Pytel, bohater pamiętnego wywiadu dla „Wyborczej” „Rosja już tu jest” oraz, w odmiennym sensie, serialu „Reset”. To ostatnie ma chyba decydujące znaczenie dla jego obecnej działalności, bo gdyby nawet tylko połowa z tego, co ujawnili o nim prof. Sławomir Cenckiewicz i Michał Rachon, była prawdą (a przedstawiono dowody, że prawdą jest wszystko), Pytel powinien być już dawno zdegradowany i odbywać karę więzienia.

I to Pytłowi właśnie przypadała rola głównego „świadka oskarżenia”, którym może posłużyć się Tusk. W tygodniku „Newsweek”, pozbawionym po odejściu Tomasza Sekielskiego redakcyjnego przywództwa, Ringier Axel Springer oddał byłemu szefowi kontrwywiadu z czasów Tuska i Cichockiego okładkę

oraz siedem kolumn, na których powtarza on i rozbudowuje tezy ze wspomnianego już wywiadu z „Gazety Wyborczej” sprzed półtora roku. Ciągłość podkreśla to, że autorką wywiadu jest ta sama Donata Subbotko – nie jest to zresztą męcząca praca, gdyż tylko podrzuca ona Pytłowi kolejne dziedziny, w których ma on wykazać, że i tu „PiS przygotowuje Polskę do połknięcia przez Rosję”.

Mówiąc poważnie i z całą odpowiedzialnością: tekstu równie kuriozalnego, głupiego i kompromitującego nie było w polskich mediach od czasu, gdy Jacek Żakowski ze śmiertelną powagą oskarżył w „Gazecie Wyborczej” Jarosława Kaczyńskiego o ludobójstwo i świadome wymordowanie setek tysięcy Polaków przy użyciu smogu i wirusa SARS-CoV-2. Używając słów w najwyższym emocjonalnym diapazonie, przedstawia Pytel tego rodzaju „dowody” agenturalności PiS, jak „głosowanie wspólnie z Orbánem” (co w takim razie z Tuskiem, który właśnie w chwili, gdy wywiad szedł do druku, w sprawie paktu migracyjnego zagłosował „przeciwko całej Europie” razem z Orbánem i równie „putinowskim” premierem Słowacji?). Inne dowody: udział byłego premiera w zjeździe partii konserwatywnych w Hiszpanii („sabacie czarownic pod czerwoną gwiazdą”). Konszachty prezydenta Dudy z byłym i możliwe, że również przyszłym prezydentem USA („Jeździ do Trumpa, który jest prorosyjskim politykiem myślącym w kategoriach finansowych”) i udzielenie wywiadu telewizji Fox News, w której pracował wtedy Tucker Carlson. „Ważne stanowiska dla Ordo Iuris, orbitujące wokół Rosji”. Przejęcie przez Macierewicza jako szefa MON „instytucji międzynarodowej działającej pod agendą NATO” (tzw. Centrum Eksperckiego Kontrwywiadu). Pojawienie się na Forum Ekonomicznym w Karpaczu domniemanego agenta KGB. Oczywiście – istnienie internetowej grupy „Kasta” i aktywność w niej Tomasza Szmydta.

Długo trwa wliczanie przez Pytła dowodów, że „Zjednoczona Prawica na każdej płaszczyźnie – politycznej, światopoglądowej, społecznej – pchała nas w objęcia Putina”; wymieniłem tylko te najbardziej konkretne. Można jeszcze do nich dorzucić zaskakujący wątek wiążący PiS z Putinem poprzez Izrael i „zagadkowe kontakty premiera Netanjahu”. Pytel

niedwuznacznie sugeruje, że PiS celowo kupił od tego ostatniego system Pegasus z blokadą uniemożliwiającą podsłuchiwanie telefonów obsługiwanych przez „rosyjskie sieci”.

Ciekawym wątkiem jest też zdrada „opłacanych przez Rosję dziennikarzy”. Tu nawet padają konkrety: tygodnik „Sieci” przeprowadził przecież wywiad z rosyjskim ambasadorem, a Forum Ekonomiczne i „Do Rzeczy” współpracowały z węgierskim portalem Visegrad 24. Ale najgroźniejsza agentura to „symetryści”: „Dzięki symetrystom PiS mogło trwać osiem lat”. Dlatego jednym z zapowiadanych przez Pytła kierunków pracy „odbudowywanych służb” („Ja nie aspiruję do stanowisk, ale jeżeli Ojczyzna wezwie, nie będę się uchylał” – chyba pierwszy raz słowo na „o” pada w „Newsweeku” bez ironicznego kontekstu) musi być wymuszenie „rozliczenia mediów z ich Suwartów”, bo „ich [tj. mediów] relacje z tamtą władzą były głębokie” (przypomnijmy, że Suwart to fikcyjne nazwisko, którym parę lat temu Wirtualna Polska podpisała kilka kryptoreklamowych artykułów sponsorowanych).

Można by cytować wszystkie te paranoiczne rojenia bez końca, ale z braku miejsca ograniczmy się już tylko do pointy: PiS zdradza Polskę i jest agenturą Putina, ponieważ destabilizuje państwo i podważa zaufanie do jego instytucji, a przede wszystkim jest przeciwko Unii Europejskiej. A przyszły wytyczny z samej brukselskiej wierchuszki, że – zgodnie z barejowską logiką – „każdy pijak to złodziej”; kto przeciwko Unii, ten agent Putina – proste i nie trzeba dodatkowych dowodów.

Aha: dodajmy, że jeszcze groźniejszą od PiS agenturą Putina jest Konfederacja, a najbardziej Marek Jakubiak, który przyniósł na sejmową komisję zdjęcia Noska, Duszy i samego Pytła w czapkach z „Aurory” („Generał Nosek i ja odnosiliśmy sukcesy, jeśli chodzi o zwalczanie działań wojskowego wywiadu Rosji, nasza efektywność jest trudna do zakwestionowania”). A od kogo mógł te zdjęcia mieć?

PROPAGANDA Z RECYKLINGU

Osiem kolumn – licząc z okładką. Osiem bitych kolumn kuriozalnych, spiskowych teorii, przypominających zapis terapii chorego ma schizofrenię

■ paranoidalną. Obwieszczane jako rewelacje powszechnie znane fakty, z których nic nie wynika, insynuacje „nie twierdzą, że Kaczyński jest kontrolowany przez KGB, ale są podstawy, by to podejrzewać”, nieustanne mruganie okiem z sugestią „przypadek?”, absurdalne skojarzenia i interpretacje, utopione w retoryce propagandowego wstępniaka... Tylko że to nie kolejny z patostreamów Pińskiego ani tweety karmiącego go „wiedzą pozarozumową” Giertycha, to wywiad z człowiekiem, którego Donald Tusk i Jacek Cichocki osadzili kiedyś na arcyważnym stanowisku szefa kontrwywiadu oraz przyszłego, prawdopodobnie, członka, a co najmniej eksperta kapturowej komisji Tuska, która ma liderowi PO dostarczyć haków na PiS.

Nic nowego – jako się rzekło, wszystkie te uciężne brednie opowiadał już Pytel we wrześniu 2022 r. w „Gazecie Wyborczej”, a i wcześniej poszczególne tezy z jego wywiadu i z ostatnich wystąpień Tuska zostały wielokrotnie przemielone przez „wolne media”. I – podobnie jak ogłoszone przez Żakowskiego „ludobójstwo” – nie wywarły na opinii publicznej żadnego wrażenia. Wzmoczenie „PiS to Rosja” nie odbija się od żadnych nowych faktów, nie dodaje nic nowego do dotychczasowego wieloletniego hejtu. Czy premier sądzi, że będzie inaczej, gdy nada propagandowemu recyklingowi rangę

To raczej kolejne obciążenie niż sukces – nawet najbardziej indyferentni politycznie wyborcy pamiętają, że kiedy Tusk był w opozycji, nazywał budowę muru na granicy „największym łajdactwem rządów PiS” i wzywał, by „nie traktować jak wrogów tych biednych ludzi, którzy szukają swego miejsca w życiu”. A wspierające go bezwarunkowo lewicowo-liberalne salony, które „refugees welcome” uczyniły jednym z głównych haseł antypisowskiej nienawiści, wystrychnął Tusk na skończonych idiotów, co, delikatnie mówiąc, nie zwiększa w społeczeństwie gotowości słuchania ich politycznych rekomendacji.

Ruch z komisją wydaje się o tyle ryzykowny, że miotanie absurdalnych oskarżeń o agenturalność może nie spodobać się w NATO. Ale Tusk ma podstawy, by liczyć, że Zachód machnie na to ręką. Po tym, jak PiS ogłosił, jakoby „udowodnił”, iż w Smoleńsku Putin z premedytacją zamordował polską delegację z prezydentem na czele, i nigdy tych dowodów nie przedstawił na forum międzynarodowym ani nie nadał sprawie domniemanego zamachu żadnego oficjalnego biegu, nasi sojusznicy zapewne nabrali już do polskich wewnętrznych wojenek dystansu. Większym problemem jest, że wszystko to recykling. Najwyraźniej na finiszu eurowyborów Tusk naprawdę nie znalazł nic innego, czym mógłby spróbować zmobilizować rozłąający mu się elektorat.

dzi, których udziela Sroczynski, są trafne, ale dalece nie wyczerpujące, i ograniczają się praktycznie do sfery komunikacji. Publicysta wskazuje pięć kwestii kluczowych dla wyborców, w których rząd codziennie zaprzecza sam sobie. Ale zaprzeczanie sobie to tylko skutek faktu, że Tusk nie wie, co zrobić, a tym bardziej nie wiedzą tego jego podwładni i koalicjanci (spróbowałiby zresztą być mądrzejsi od „prezydenta Europy”!). Kilka miesięcy rządzenia pokazało, że osiem lat w opozycji zostało całkowicie zmarnowane na jałowe oskarżanie PiS o wszystko i ogłaszanie końca świata, cokolwiek by zrobić. Obóz lewicowo-liberalny uległ myśleniu magicznemu: odsuńmy PiS od władzy, „oczyszcmy” państwo ze wszystkiego, co przez te osiem lat zrobił, a „znowu będzie, jak było” i wszystkie problemy rozwiążą się same.

PUDROWANIE PROBLEMÓW

Już lata 2007–2014 pokazały, że Tusk rządzić nie umie – umie tylko przykrywać jedne problemy drugimi i odsuwać wszystko z pola widzenia albo na później. Zamiast rozwiązania problemu szuka grespu – kiedyś potrafił zaskoczyć cały rząd z ministrem finansów na czele rzuconą spod palca obietnicą wejścia za dwa lata do strefy euro, teraz tak samo, bez żadnej konsultacji z ekspertami, MON i MF, obiecał nagle umocnienia na granicy.

W latach koniunktury to wystarczało, sprawy po wejściu do Unii szły jako tako samym rozpędem – w dodatku wtedy PO rządziła z jednym tylko koalicjantem, zainteresowanym konkretnymi, wybranymi obszarami. Ale teraz, gdy i Europa stanęła przed poważnymi wyzwaniami, nie wystarczyło nawet na kilka miesięcy. A zbliżają się wybory, od których zależy to, co dla Tuska najważniejsze: jego powrót do polityki europejskiej. Jeśli EPL nie uzna wyniku w Polsce za sukces, to akcje obecnego premiera bardzo spadną.

Dlatego rzuca na szalę, co mu zostało – a skoro nie zostało nic, to chwyta się płynącego z centrali wskazania, by eurowybory zamienić w plebiscyt: „Kto za pogłębieniem integracji Europy, kto za Putinem?”, usiłując zbudować atmosferę zagrożenia wojną i nadaje byle błahej pyskówce w telewizyjnym studiu rangę starcia cywilizacji, pokrywając tę rozpaczliwą szamotaninę agresywnością i pozorami zdecydowania.

Aby do wyborów... © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tusk rzuca na szalę, co mu zostało – a skoro nie zostało nic, to chwyta się płynącego z centrali wskazania, by eurowybory zamienić w plebiscyt: „Kto za pogłębieniem integracji Europy, kto za Putinem?”

raportu rządowej komisji? Czy liczy, że rewelacje o „destabilizowaniu przez PiS państwa w interesie Putina” podciągnie PR-wsko druga składowa jego nowej narracji – „obrona granicy”? Równoległe z polowaniem na „agenturę Putina” ogłosił wszak Tusk budowę na wschodzie jakiejś rodzimej Linii Maginota, fortyfikacji sięgających do 100 km w głąb kraju (!!), by zatrzymać migrantów, z których 80 proc. to mężczyźni w wieku poborowym, 90 proc. ma rosyjskie wizy i w ogóle nie są to żadni uchodźcy, tylko wojna hybrydowa.

Nawet życzliwy Tuskowi portal Agory gazeta.pl pisze – co prawda, piórem „symetrysty” Grzegorza Sroczynskiego: „Niemal nic nie idzie tak, jak miało iść, próba przesterowania debaty publicznej w stronę »płatnych zdrajców pachołków Rosji« to de facto paniczna ucieczka od niewygodnych pytań, jakie stawia własny elektorat”. I sam zadaje pytania: „Dlaczego mobilizacja siada, a wyborcy z 15 października – to wiadać we frekwencji wyborczej i w badaniach – okazują rządowi désintéressement? Dlaczego z atmosfery zwycięstwa nie zostało po paru miesiącach niemal nic?”. Odpowie-

Michał Rachoń w swoim sztandarowym porannym programie dyskutuje z zaproszonymi gośćmi o bieżących wydarzeniach i najważniejszych tematach ostatnich godzin w polskiej polityce.

Od poniedziałku
do piątku

7:30

w Telewizji Republika

@michalrachon

#JEDZIEMY



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika oglądać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz w lokalnych multipleksach naziemnych MUX w: Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku i w części woj. opolskiego i małopolskiego. Aktualna lista MUX dostępna jest na serwisie www.tvrepublika.pl – gdzie także obejrzysz TV Republika na żywo. Wszystkie programy znajdziesz na kanale YouTube: @Telewizja_Republika.



Piotr Semka

Dorota Gawryluk trzyma się sprytnej taktyki uchylania się od jednoznacznej odpowiedzi na pytania o jej polityczne plany

Studio pełne błękitnego światła, starannie dobrana muzyka mająca podkreślić powagę programu, publiczność, która w odpowiednich momentach klaszcze, nagradzając wybrane wypowiedzi prowadzącej. To program „Lepsza Polska” Doroty Gawryluk. Jego dramaturgia ustawiona jest tak, aby czynić z Doroty Gawryluk swoistego arbitra, a także apostoła politycznego pojednania. Widać, że jej kwestie przygotowane są bardzo starannie i mają na celu budowanie jej autorytetu. Żadnego spontanu.

Ten program ogląda prawie milion ludzi. Stacja Polsat Zygmunta Solorza-Żaka nie żałuje pieniędzy na ogromne billboardy reklamujące show. Wielu osobom kojarzą się one już z kampanią wyborczą. Jak można podejrzewać – spece od reklamy Polsatu włożyli dużo wysiłku, aby to skojarzenie potwierdzić na różne sposoby. Sposobem fotografowania gospodyni programu i specjalnym doбором barw kojarzących się raczej z plakatami polityków niż ze stylem medialnej gwiazdy.

Od paru miesięcy dywagacje, czy Dorota Gawryluk zamierza wystartować w najbliższych wyborach prezydenckich, rozpalają wyobraźnię publicystów politycznych. Sama Dorota Gawryluk trzyma się sprytnej taktyki uchylania się od jednoznacznej odpowiedzi na pytania o jej polityczne plany.

Dziennik „Fakt” wysłał reportera na spotkanie z gwiazdą Polsatu ze studentami dziennikarstwa na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Już samo przywitanie wyglądało jak wizyta oficjalna. Na Dorotę Gawryluk czekał rzecznik prasowy uczelni prof. Robert Szwed, a studenci przywitali gościa z Warszawy entuzjastycznymi oklaskami.

Jeden z wykładowców uczelni, ks. dr Rafał Pastwa, poruszył temat jej politycznych planów w bardzo określny sposób. „Mam ze sobą notes z nadrukiem Prezydent



Kto się boi Doroty Gawryluk

Rzeczypospolitej Polskiej. Czy złoży pani autograf? Może się przyda na przyszłość”. Dziennikarz „Faktu” tak opisuje tę scenę: „Wyraźnie zażenowana Dorota Gawryluk, z lekkimi oporami, wzięła do ręki czerwony notatnik. Zaczęła go oglądać i... nie podpisała, zamieniając wszystko w żart [...]”. Chwilę później kolejny z uczestników [spotkania] zaczął drążyć temat ewentualnej prezydentury gwiazdy Polsatu. – Czy gdyby hipotetycznie została pani wybrana na urząd prezydenta, chciałaby pani, żeby zwracać się do niej prezydent czy prezydentka? – zapytał. I tym razem Gawryluk wywinęła się od bezpośredniej odpowiedzi. Skupiła się na wcześniejszych pytaniach, a potem stwierdziła z uśmiechem, że ostatniego nie pamięta”. Jak relacjonuje „Fakt”, pytana już wprost o ewentualną prezydenturę odpowiada unikami: „Ja nie chcę dywagować, spekulować. Spekulacji na ten temat jest mnóstwo. Zostawmy to dzisiaj”.

Ostatnio zwolennicy tezy o politycznych ambicjach Gawryluk uzyskali pośrednie potwierdzenie, że coś jest na rzeczy. Popularna prezenterka została prezesem stowarzyszenia Lepsza Polska. Nowa organizacja została „przerobiona” z dawnego, także Polsatowskiego, stowarzyszenia Program Czysta Polska.

Formację tę powołał w październiku 2019 r. Zygmunt Solorz-Żak, ale miała służyć popularyzacji haseł ekologicznych. W swym poprzednim wcieleniu Czysta Polska miała zajmować się ochroną przyrody przed zanieczyszczeniami i promo-

wać transformację energetyczną. Teraz, jak ujawniła Wirtualna Polska, 10 maja 2024 r. doszło do oficjalnej zmiany nazwy i znacznego rozszerzenia celów nowego stowarzyszenia.

Lepsza Polska stawia sobie za cel m.in. budowanie społeczeństwa obywatelskiego. Nic dziwnego, że taka zmiana znów wywołała falę spekulacji, że jest to element harmonogramu przygotowań Gawryluk do kampanii prezydenckiej. Część obserwatorów rynku medialnego w Polsce wskazuje, że dla każdego dziennikarza, który nie ma ukrytych planów politycznych, sytuacja podejrzeń o podwójną rolę gwiazdy medialnej i polityka byłaby nie do zniesienia i wywoływałaby szybkie dementi. A Gawryluk uchyla się od jasnej deklaracji lub zamienia wszystko w żart. Skojarzenia z karierą Szymona Hołowni nasuwają się w naturalny sposób.

MIESZKANKA ZBIOROWEJ ŚWIADOMOŚCI

Najbardziej nerwowo reaguje środowisko „Gazety Wyborczej”, które gwiazdę Polsatu zawsze podejrzewało o prawicowy przechyl. „Duda namaści Gawryluk, Małsterek pomoże jej w kampanii prezydenckiej” – dywaguje na łamach dziennika z Czerskiej wysoko stojąca w hierarchii tego pisma Dominika Wielowieyska. Stawia tezę, że relacje Gawryluk z otoczeniem Morawieckiego są bliskie. Wielowieyska powołuje się na serwis „Poufna Rozmowa”, który ujawnił e-maile do bliżej niesprecyzowanej „Doroty”, które zagraniczni

hakerzy wydobyli ze skrzynki byłego szefa kancelarii premiera Morawieckiego – Michała Dworczyka. Publicystka „Wyborczej” powołuje się na opinie z wewnątrz Polsatu wskazujące, że gigantyczne koszty kampanii billboardów Doroty Gawryluk nijak mają się do wyników oglądalności i zysków, które program przynosi.

Jeszcze ostrzej zareagował na podejrzenia o polityczne plany prezenterki Polsatu publicysta „GW” Wojciech Maziarski. Ciska gromy na prezenterkę: „Start Doroty Gawryluk w wyborach prezydenckich oznaczałby, że wielki przedsiębiorca deleguje do Pałacu Prezydenckiego swoją pracownicę. Takie praktyki znamy z republiki postradzieckich”.

Ale nerwowość związana z podejrzeniem Gawryluk o chęć powtórzenia kariery Szymona Hołowni dotyka też największej partii opozycyjnej. Jeśli zapytać w PiS o Gawryluk, to można zobaczyć jak na dłoni linię podziału w największej partii opozycji. Politycy utożsamiani z obozem Mateusza Morawieckiego zaklinają się, że ich szefowi ani w głowie traktowanie Gawryluk jako scenariusza B na wypadek, gdyby były premier nie otrzymał nominacji prezydenckiej. W ich opinii wszystko jest grą Zygmunta Solorza. Zupełnie inne stanowisko prezentują przeciwnicy Morawieckiego. Ci nie mają żadnych wątpliwości, że Morawiecki i Mastalerek, jak to ujmują, „coś knują z Gawryluk”. Im dłużej rozmawia się z nimi na ten temat, tym mocniejsze staje się wrażenie, że jest to bardziej funkcja antypatii do byłego premiera niż konkretne fakty. Czyżby więc tropy prowadziły mimo wszystko do gabinetu Zygmunta Solorza-Żaka?

GAWRYLUK JAK ODBEZPIECZONY PISTOLET

„Czy pani Dorota w ogóle nadaje się na prezydenta?” – pytam jednego z doświadczonych obserwatorów styku mediów z polityką. „Oczywiście, że tak – odpowiada. – Jest bardzo sprawna, mocna, twarda i wyrachowana. Żeby dotrzeć na stanowisko dyrektora pionu informacji i publicystyki telewizji Polsat, trzeba mieć twarde łokcie. Funkcjonowanie na jej stanowisku oznaczało konieczność ucierania się z politykami. Gdyby miała wystartować, to miałaby duże szanse. Oczywiście nie żeby wygrać, ale żeby ugrać 5–6 proc.” – wyjaśnia mój rozmówca.

Istotnie, nowe trendy w polityce wydają się sprzyjać takiemu projektowi. Na pomysły zdroworozsądkowej siły nieangażującej się w świętą wojnę PiS z PO wylansowali się Krzysztof Stanowski i jego Kanał Zero. Świeża twarz Doroty Gawryluk mogłaby przejąć wielu wyborców, którzy dotąd głosowali na Hołownię. Tym bardziej że obecny marszałek Sejmu stracił wiele politycznego seksapilu na swoim nowym stanowisku.

Inny analityk medialny porównuje ewentualny start Gawryluk z polityczną przygodą Magdaleny Ogórek jako kandydatki SLD w 2015 r. „Magda zdobyła 2 proc. i już sporo namieszała. Jeśli Gawryluk może liczyć, moim zdaniem, na 4–5 proc., to zdobędzie potencjał do politycznego handlu przed drugą turą wyborów. Na żadną wygraną nie ma szans, ale na pewno uzbiera poważną pulę głosów, która będzie żetonem w politycznej rozgrywce”.

A kto będzie wielkim Szu w grze tym żetonem? Prawie wszyscy pytani o to odpowiadają: Zygmunt Solorz-Żak.

Twórca Polsatu ma w swoim imperium trzy typy branż: medialną, energetyczną i telekomunikacyjną. Wszystkie te trzy branże silnie spięte są z polityką państwa. Wszystkie one mają ogromne znaczenie dla infrastruktury krytycznej Polski. Jednocześnie wszystkie balansują na brzegu koniunktury. Są niezwykle wrażliwe na ewentualny kryzys ekonomiczny. W wypadku energetyki regulacje wprowadzane przez politykę, np. Zielony Ład, mogą zabić biznes energetyczny właściciela Polsatu w pół roku. Z kolei telekomunikacyjna część imperium Solorza-Żaka ma bardzo silnych rywali w postaci Deutsche Telekom i francuskiego Orange. W obu wypadkach za zachodnimi koncernami stoi kapitał państwowy. I wreszcie branża telekomunikacyjna w naturalny sposób jest w polu zainteresowania służb specjalnych, speców od podsłuchów czy logistyków odpowiedzialnych za infrastrukturę bezpieczeństwa państwa.

Wszystko to oznaczać może, że możliwy start Doroty Gawryluk na prezydenta może być straszakiem, za którego pomocą Zygmunt Solorz-Żak chce wzmocnić swoją pozycję w rozmowie z Donaldem Tuskiem i jego ministrami. A sama Gawryluk może bez obaw odgrywać rolę w politycznych szachach twórcy Polsatu, bo wie, że ten potrafi odwdziżyć się za

pełną lojalność w takich wyrafinowanych misjach. Jeden z analityków medialnych mówi: „Każdy wie, że Solorz jest bardzo lojalny wobec tych, którzy są lojalni wobec niego. Kto z nim trzyma, w razie jakiegoś niepowodzenia nie zostanie na lodzie. Tak było np. z Wiesławem Walendziakiem, niegdyśszą nadzieją prawicy, który po odejściu z polityki dostał wysokie funkcje w biznesowym imperium Solorza. Na razie więc widać, że »operacja Gawryluk« to po prostu jeden z atutów Solorza w grze z obozem Platformy. Solorz w każdej chwili może zacisnąć hamulec i plan zatrzymać, ale zrobi to zapewne najpóźniej, jak się tylko da. A na razie będzie ten plan wprowadzał w życie, budując jednocześnie rozpoznawalność Doroty Gawryluk”.

„Jeszcze pół roku temu ktoś, kto nigdy nie oglądał Polsatu, nie wiedział, kim jest stylizowana na anioła narodowego pojednania pani Dorota – mówi jeden z polityków PSL. – Teraz, gdy jej program ogląda prawie milion ludzi, jakiś ich procent może uznać, że to ona jest prawdziwym antidotum na duopol PO-PiS, a nie Trzecia Droga, która utraciła już sporo swej atrakcyjności. W polityce jest trochę jak w handlowym marketingu. Nowy produkt zawsze znajdzie klientów, którzy znużeni są dotychczasowymi markami. A »Wyborcza« reaguje na to alergicznie, bo nawet jeżeli podejrzewa, że to gra Solorza-Żaka, to siłą rzeczy zmniejsza to szanse kandydata Platformy i rozszczelnia monopol polityczny Donalda Tuska. Nic dziwnego, że piszą oburzone wstępniaki o oligarchizacji życia politycznego w Polsce”.

Jeżeli plany Solorza-Żaka naprawdę przewidują start Gawryluk, to musi się ona zdecydować najpóźniej do końca jesieni 2024 r. Jej patron jest w stanie zafundować jej całkiem udaną kampanię. Okazuje się, że sukces Hołowni był obserwowany uważnie przez wszystkich największych graczy na styku biznesu i polityki w Polsce. Dorota Gawryluk musi się liczyć z tym, że przez najbliższe parę miesięcy będzie musiała nadal wysłać swoją inteligencję, aby nie potwierdzać ewentualnego startu, ale jednocześnie nie dementować tego jednoznacznie. „Jest bardzo dobra w te klocki. Na pewno da sobie radę” – komentuje z gorzkim uśmiechem jeden z polityków.

W Polsce jest wiele grup, które podobnie jak Szymdt posiadają dostęp do tajemnic państwowych, a nie podlegają procedurze sprawdzającej, którą są objęci funkcjonariusze publiczni pracujący z informacjami niejawnymi. Oprócz sędziów są to prokuratorzy, konstytucyjni ministrowie, w tym premierzy i wicepremierzy, a także np. prezesi Instytutu Pamięci Narodowej i Najwyższej Izby Kontroli. To całkiem duże grono osób ulokowanych w kluczowych obszarach działalności państwa, których nikt nie sprawdza na okoliczność rękojmi dochowania tajemnicy państwowej.

PO CO CI WIEDZIEĆ

Oczywiście sam dostęp do informacji niejawnych, nawet tych o najwyższych klauzulach, nie powoduje, że każda tajemnica państwowa jest dostępna dla każdego uprawnionego. Niezależnie od tego, czy ma do nich dostęp z urzędu czy też przyznany w wyniku postępowania sprawdzającego. Przy dostępie do tajemnic obowiązuje zasada z angielska nazywana „need to know”, oznaczająca, że możesz wiedzieć tylko tyle, ile jest ci niezbędne do wykonywania twojej pracy.

Sędzia Szymdt, który rozpatrywał odwołania funkcjonariuszy, którym odebrano zgody na dostęp do informacji niejawnych lub ich nie udzielono, mógł poznać tylko dane funkcjonariuszy i przyczyny odmówienia im dostępu do tajemnic państwowych. Wiedza, że jakiś funkcjonariusz służb ma problemy z nałogami czy jest zadłużony, jest oczywiście dla obcych służb cenna przy werbowaniu agentury. Jednak do największych tajemnic państwowych Szymdt dostępu nie miał. Nie oznacza to zarazem, że inni sędziowie takiego dostępu nie mają.

– Najbardziej wrażliwym elementem systemu są wnioski o kontrole operacyjne. Sędzia uzyskuje bowiem dostęp do materiałów operacyjnych dotyczących np. osób podejrzewanych o szpiegostwo. To zaś jest wiedza bezcenna dla służb państw obcych. W moim przekonaniu sędziowie, a także prokuratorzy rozpatrujący takie wnioski powinni przechodzić pełną procedurę sprawdzającą – mówi Jacek Wygoda, sędzia Sądu Najwyższego w stanie spoczynku i były prokurator.

Ślepe służby



Cezary Gmyz

Ucieczka sędziego Tomasza Szymdta na Białoruś pokazuje problem polskiego kontrwywiadu. Mechanizmy, których używa, nie są skuteczne. To wróży kolejne problemy w przyszłości



Wtóruje mu Grzegorz Ociecek, były wiceszef dwóch służb specjalnych Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Centralnego Biura Antykorupcyjnego. – Naiwnością byłoby sądzić, że wszyscy sędziowie i prokuratorzy to ludzie kryształowo uczciwi dający ręką na docho-
wania tajemnicy państwowej. Zdarzają się wśród nich osoby z nałogami czy o nieuregulowanym życiu osobistym. Na przykład mężowie zdradzający żony – mówi. Zwraca uwagę, że tego typu skazy w życiorysie w przypadku osób podlegających postępowaniom sprawdzającym bywają często przyczyną odmowy dostępu do informacji niejawnych. Przy okazji – gdyby sędzia Szmydt podlegał postępowaniu sprawdzającemu, to zapewne nie uzyskałby dostępu do tajemnic państwowych. Jedną z przesłanek odmowy dostępu do tajemnic państwowych są bowiem długi, a – jak wynika z oświadczenia majątkowego sędziego Szmydta – mimo bardzo dobrych zarobków borykał się on z problemami finansowymi.

Sędziowie mają dostęp do informacji niejawnych bez postępowania sprawdzającego, bo sami sobie takie prawo przyznali. Było to prawie ćwierć wieku temu. Wówczas to Sąd Najwyższy wydał uchwałę, że przepisy ustawy o ochronie informacji niejawnych sędziów nie interesują. Pikanterii całej sprawie dodaje to, że na czele składu sędziowskiego stał Jan Wasilewski, który w 1944 r. był politrukiem Ludowego Wojska Polskie, a następnie kierował Kancelarią Prezydenta Bolesława Bieruta.

WYDZIELIĆ I SPRAWDZAĆ

Zdaniem Jacka Wygody należałoby wśród sędziów i prokuratorów wydzielić grupę osób, które zajmują się postępowaniami, w których pojawiają się tajemnice państwowe, i takie osoby powinny podlegać postępowaniom sprawdzającym. – Zdaję sobie sprawę, że podniósłby się krzyk, że to ograniczenie niezawisłości sędziego i niezależności prokuratora, bo decyzje o przyznaniu dostępu przyznawałyby służby specjalne. Ale ja nie widzę problemu, bo przecież takie decyzje podlegają kontroli sądowej – przekonuje.

Grzegorz Ociecek byłby nawet za tym, żeby wobec osób mających dostęp do tajemnic państwowych można było

stosować tzw. testy integralności. – To rozwiązanie znane z krajów anglosaskich, USA, Wielkiej Brytanii i Australii – tłumaczy. – Tam funkcjonariusze publiczni mogą być poddawani swoistego rodzaju testom uczciwości noszącym czasem znamiona prowokacji. Na przykład czy są odporni na korupcję. Czasem takie sprawdzenie ma charakter losowy. Po prostu typuje się przypadkowego funkcjonariusza i proponuje się mu łapówkę – dodaje. Wspomina, że Anglosasi, choć mają wysokie gwarancje wolności osobistej i prywatności, wychodzą z założenia, że podobne metody są dopuszczalne, bo chodzi o bezpieczeństwo państwa.

Innym pomysłem byłoby utworzenie specjalnej instytucji, która odpowiadałaby za ochronę tajemnic państwowych oraz wydawanie poświadczeń bezpieczeństwa. Dziś za to odpowiedzialne są Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz Służba Kontrwywiadu Wojskowego. Te borykają się z nawałem sprawdeń i bardzo często nie dotrzymują terminów wydania poświadczenia. To obciążenie sprawia, że postępowania robione są po łebkach.

Nawet w stosunku do osób podlegających postępowaniom sprawdzającym, czyli np. funkcjonariuszom służb czy urzędnikom, jest to procedura mocno niedoskonała. – Postępowania sprawdzające to biurokratyczna bzdura. W 90 proc. opierają się one na informacjach wpisanych przez sprawdzanego w ankiecie. Oczywiście one mogą być uciążliwe dla sprawdzanego, ale nie jest to procedura mogąca wykryć agenta obcego wywiadu – mówi rozmówca „Do Rzeczy”, były funkcjonariusz służb specjalnych. – Służby nie mają narzędzi, aby te informacje sprawdzić. Na przykład jeżeli ktoś ma kochankę i nie wpisze jej do ankiety albo nie powie o niej w czasie rozmowy, a wyznaczy trzech polecających, którzy o kochance nie wiedzą albo gwarantują dyskrecję, to służby nie mają jak się o niej dowiedzieć. W ramach tego postępowania nie wolno prowadzić pracy operacyjnej, czyli np. podsłuchu, obserwacji itp. Można realizować tylko czynności opisane ściśle w ustawie. Jeżeli jakkolwiek funkcjonariusz zrobi więcej, to popełni przestępstwo. I funkcjonariusze nic więcej nie robią, bo słusznie się boją – zaznacza. W środowisku służb

znane są przypadki ukrywania informacji, które powinny się znaleźć w ankiecie bezpieczeństwa. Na ogół dotyczą one osób, które mają mocne umocowanie polityczne.

Działania sprawdzające kandydata do poznania tajemnic państwowych są w gruncie bardzo powierzchowne. Ankieta, którą muszą wypełnić osoby ubiegające się o dostęp do tajemnic państwowych, wydaje się bardzo szczegółowa, ale w gruncie rzeczy pomija niektóre kwestie. A sprawdzenie niektórych informacji jest wręcz niemożliwe. Tak jest np. z kontami bankowymi w rajach podatkowych. Jeśli sprawdzany ich nie ujawni, to ich wykrycie jest bardzo trudne. Podobnie jest z nieruchomościami, które – jak to się mówi w żargonie służb – są „parkowane na słupy”, czyli kupowane przez podstawione osoby.

POTOMKOWIE SOWIECKICH DORADCÓW

Inna sprawa to badanie powiązań rodzinnych i towarzyskich. Sprawdzenie obejmuje tylko najbliższych krewnych i powinowatych – małżonków, dzieci, rodzeństwo czy teściów. Nie ma obowiązku podawania, czym zajmują się wujkowie czy stryjowie, czy kim byli dziadkowie i pradiadkowie. I nie jest to wcale sprawa bez znaczenia. W Polsce wciąż żyje wielu potomków chociażby sowieckich doradców wojskowych. Ich dzieci, wnuki czy nawet prawnuki często nawet nie mówią po rosyjsku. Jednak Sowietom całkiem świadomie wycofali tylko część swoich doradców. Nie darmo w Rosji mówi się, że najlepszymi czeki-
stami są dzieci czekistów. Niestety, są oni dla naszych służb niewidoczni, choć tożsamość ich przynajmniej częściowo dałoby się ustalić, badając akta w IPN. Owszem, służby udzielając dostępu do informacji niejawnych, robią również kwerendę w zasobie Instytutu, jednak nie sięga ona pokolenia dziadków. Co najwyżej rodziców. – Możemy przeprowadzać tylko takie sprawdzenia, których żądają od nas instytucje odpowiedzialne za wydawanie poświadczeń bezpieczeństwa osobistego. Informacji, że ktoś miał dziadka, który był sowieckim oficerem, takie sprawdzenia nie obejmują – mówi Rafał Leśkiewicz, wieloletni dyrektor Archiwum IPN.



Z ks. prof. Dariuszem Oko, filozofem i teologiem, kierownikiem Katedry Filozofii Kultury Wydziału Filozofii Papieskiego Uniwersytetu im. Jana Pawła II w Krakowie rozmawia Ryszard Gromadzki

Kościół jak ziarnko

RYSZARD GROMADZKI: Decyzja prezydenta Warszawy o usunięciu symboli religijnych, a więc przede wszystkim krzyży, ze stołecznych urzędów to znak, że wojna z religią w Polsce wchodzi w nową, bardziej intensywną fazę? Zarządzenie prezydenta Trzaskowskiego przypomina czasy PRL. Komunistom też bardzo przeszkadzały krzyże w przestrzeni publicznej

KS. PROF. DARIUSZ OKO: To przejaw odwiecznej wojny dobra ze złem, ateizmu z teizmem, chrześcijaństwa z antychrześcijaństwem. O tyle rozsądnym ludziom kojarzy się to z komunizmem, bo za tym działaniem stoją wyznawcy ideologii gender, która jest zamiennikiem komunizmu. Wiemy, że duchowe dzieci marksizmu, potomkowie komunistów, jeśli nie nawrócili się na chrześcijaństwo, to są raczej wyznawcami genderyzmu. To jest pseudoreligia, którą teraz wyznają. Genderyzm ma wiele wspólnego z komunizmem. Genderyści są w wielu aspektach podobni do komunistów. Ludzie tego pokroju, często z tych samych rodzin, organizowali komunistyczne pochody pierwszomajowe, w których nieśli portrety Lenina, Marksa czy Stalina, a teraz organizują pochody genderowe. To jest ciągłość. Każdy człowiek musi w coś wierzyć. Nie możemy do końca wszystkiego udowodnić, szczególnie

w sprawach podstawowych, więc każdy musi wyznawać jakąś wiarę. Jeśli odrzuca Jezusa Chrystusa, odrzuca Boga, to musi wierzyć w coś innego. Na przykład w taką pseudonaukę i ideologię, którą jest gender. Trzeba też mieć na uwadze, że za działaniem, z którym mamy do czynienia w Warszawie, stoi także kalkulacja polityczna. Widocznie ludzie, którzy decydują się na takie kroki, liczą, że skorzystają na tym politycznie.

Czy ta kalkulacja polityczna, to, że Rafał Trzaskowski zdecydował się na taki ruch teraz, może wynikać z przekonania, że Warszawa jest dziś na tyle zeświecczonym miastem, iż decyzja o usunięciu symboli religijnych z urzędów nie spowoduje reakcji? Genderyzm pokonał katolicyzm w Warszawie? Oczywiście słychać głosy oburzenia po decyzji Trzaskowskiego, ale szerszych protestów nie ma. Nikt nie mówi o bojkocie władz Warszawy.

Trudno mówić o bojkocie, bo ludzie mają sprawy, które muszą załatwiać w urzędach. W czasach komunistycznych ludzie też chodzili do urzędów, bo była to konieczność życiowa. Ale wiemy, jakie od lat są wyniki wyborów w Warszawie, jak duże jest też poparcie dla politycznych wyznawców ideologii genderowej.

Co charakterystyczne, zarządzenie, o którym mówimy, zakazuje ekspozycji

wania krzyży, ale już nie symboli czy flag genderowych. Widać, jak jakaś pseudoreligia koniecznie zaraz musi zastąpić prawdziwą, najlepszą religię. Widocznie człowiek nie może żyć bez jakiejś religii. Jak nie chodzi o kościół, to musi chodzić o mauzoleum Lenina i Stalina. Jeśli nie wierzą w Chrystusa, to muszą w coś wierzyć, choćby w tęczową flagę. To dlatego często te same osoby, które zdejmują krzyże, bardzo chętnie zaraz wieszają tęczowe flagi. Warszawa jest przy tym szczególnie zateizowanym, zeświecczonym miastem, być może najbardziej w Polsce. Także dlatego, że tam, jako do głównego ośrodka władzy komunistycznej, ściągano nieproporcjonalnie wielu ateistów, oportunistów i karierowiczów – to w dużym stopniu do dzisiaj tworzy ducha tego miasta. Poza tym wysokie zeświecczenie młodego pokolenia powoduje, że ludzie, którzy podejmują taką decyzję, kalkulują, że na niej politycznie zyskają, a nie tracą.

Nie zabrakło księdza zdecydowanego sprzeciwu ze strony Episkopatu po decyzji prezydenta Trzaskowskiego?

Było coś w tym rodzaju. Kardynałowie Nycz i Ryś razem wypowiedzieli się krytycznie na ten temat. Może to wystąpienie

przetrwa gorczy

Często te same osoby, które zdejmują krzyże, bardzo chętnie zaraz wieszają tęcze flagi. Widać, jak jakaś pseudoreligia koniecznie zaraz musi zastąpić prawdziwą, najlepszą religię

potraktowano jako wystarczający głos ze strony biskupa miejsca. Mamy obecnie rząd, który realizuje program skrajnie ateistycznej lewicy, która pragnie unicestwienia Kościoła. Widać, że letni katolicy czy pseudokatolicy, którzy są w tym rządzie czy popierają ten rząd, zgadzają się na maksymalną dostępność aborcji czy walkę z Kościołem. Widać gołym okiem, że to nie ci letni czy kulturowi katolicy nadają ton w tym rządzie, tylko radykalna lewica. To oni posłusznie, bez protestu, wdrażają nakazy ateistów, bo widocznie tak niewiele się od nich różni.

Czy rosnąca opresja wobec katolików w Polsce może być katalizatorem nowych postaw? Można mieć nadzieję, że pojawiają się wojownicy gotowi do zdecydowanej obrony wiary, bez względu na konsekwencje? Takich postaw bardzo dziś brakuje w polskiej przestrzeni publicznej.

Można mieć taką nadzieję, tylko trzeba być realistą. Prawdopodobnie w Pol-

sce będzie powtarzać się wiele zjawisk, z którymi mamy do czynienia na Zachodzie. Trzeba jednak pamiętać, że Zachód jest bardzo różny. Postawy antychrześcijańskie, genderowe dominują w Europie Zachodniej, lecz w Stanach Zjednoczonych jest mocny opór wobec nich ze strony chrześcijaństwa, ostry sprzeciw dla genderowego szaleństwa. Z tego powodu jest też tam głęboki podział kulturowy i polityczny – podobnie jak u nas. Polska kulturowo, duchowo jest o wiele bardziej podobna do Stanów Zjednoczonych niż do Europy Zachodniej. Jesteśmy wciąż najbardziej religijnym krajem, najbardziej wierzącym w Europie.

Ci, którzy walczyli z krzyżem w historii, którzy rugowali go z przestrzeni społecznej, w końcu zawsze przegrywali...

Tak, często Kościół musiał – i musi – urządzać pogrzeb tym, którzy głosili jego ostateczny upadek i koniec, oraz

odbudowywać społeczeństwo po ich szaleństwach i zbrodniach. Jednak działania ludobójcze ateistów wyrządziły chrześcijaństwu wielkie szkody, po których musi się ono długo podnosić, niekiedy przez całe wieki. Rewolucja francuska była takim ciosem dla Kościoła, że choć później były okresy odrodzenia, jak po upadku Bonapartego, to jednak chrześcijaństwo we Francji zostało bardzo osłabione – i ten stan trwa do dzisiaj. Z kolei do osłabienia chrześcijaństwa w Niemczech przyczyniła się rewolucja protestancka Lutera. To jej dalekosiężnym skutkiem był prawie całkowity zanik protestantyzmu w Niemczech Wschodnich w czasach komunizmu. Okazał się on za słaby, by stawić mu czoła (w przeciwieństwie do polskiego katolicyzmu). Skutki zwalczania religii mogą być dewastujące przez całe wieki. Kościół może nie móc się z nich podnieść przez stulecia. Naziści mordowali przede wszystkim Żydów, a komuniści przedsiębiorców, ale jednak jedni i drudzy na drugim miejscu szczególnie chętnie mordowali księży, w tym się zgadzali. Tym ludobójcom wszec czasu zawsze szczególnie przeszkadaliśmy – co jest dla nas wielkim zaszczytem i potwierdzeniem wartości naszej misji. Niestety, te największe bestie dziejów mogą odnieść częściowy, tymczasowy sukces na ziemi, doprowadzić do takiego zniszczenia Kościoła, że ten prawie zaniknie. Wiemy, że oni mogą przegrać na sądzie ostatecznym. Jeżeli z takim bagażem ludobójstwa i nienawiści staną przed Bogiem, to zdziwią się najpierw bardzo, że On rzeczywiście istnieje. Zakrwawieni od stóp do głów obnażą cały ogrom swej nienawiści i zbrodni, a Niebo jest dla ludzi kochających. Ci ludobójcy, mordujący miliony, zagrożeni są wiecznym potępieniem. W tym sensie na pewno przegrają. Tu, na ziemi, mogą odnosić sukcesy. Diabeł, ich ojciec, też odnosił i odnosi czasowe „sukcesy”. Diabeł doprowadził do męczarni i śmierci Jezusa, więc tym bardziej może zniszczyć chrześcijan. Mamy jednak zapewnienie, że Kościół ocala, będzie choćby jak ziarno gorczy.

Podjąłby się ksiądz profesor biblijnej wykładni tego, co teraz dzieje się w Warszawie?

Myślę, że tu bardzo pasuje obraz syna marnotrawnego. Zauważył, że

FOT. DAMIAN KLAMKA/EST NEWS

■ żyjemy teraz w największym bogactwie i luksusie, których nie było nigdy wcześniej w dziejach świata, a także Polski. Powinniśmy Bogu codziennie dziękować na kolanach za to, że jest nam tak dobrze; bez naszej zasługi, dzięki ciężkiej pracy i nieraz wielkim ofiarom poprzednich pokoleń cieszymy się wolną Polską, największym dobrobytem w dziejach. Zamiast dziękować za to Bogu, odrzucały Boga. Ludzie stają się ateistami. Są tak skoncentrowani na swoich przyjemnościach i egoizmie, że np. nie chcą mieć dzieci. Największą katastrofą, z którą mamy do czynienia w Polsce, jest katastrofa demograficzna. Nie mamy dzieci i nie będziemy mieć dzieci. Tak jest niestety we wszystkich bogatych kulturach. Mamy dwa zasadnicze powody obecnego kryzysu: bogactwo redukujące ludzi do konsumentów, a także potężną pracę propagandy ateistycznej, która wypełnia media, kulturę oraz politykę i oślepia ludzi, oddziela ich od Boga. Myślę, że te dwa czynniki są szczególnie ważne. Okaz-

trawnego wobec ojca. Chodzi o majątek, a jak się już go przejmie, to ojciec może zniknąć z życia, może nawet umrzeć. Takie sytuacje nieraz spotykałem w duszpasterstwie. Kiedy rodzice przepisali już na dzieci majątek, te, obdarzone nim, nagle traciły wszelkie zainteresowanie nim, gotowość do pomocy. Dawały rodzicom do zrozumienia, że teraz mogą już umierać albo przynajmniej wynieść się do domu starców. Rodzice są bliscy, fizyczni, dotykalni, spędzamy z nimi często w domu nawet ćwierć wieku, po Bogu im najwięcej zawdzięczamy. Jeśli tylu ludzi aż w tak łajdacki, prymitywny, wulgarny, drański sposób zachowuje się wobec własnych rodziców, to jak tacy ludzie tym bardziej będą niewdzięczni wobec Boga, który jest niewidzialny? Ludzie dziś są niewdzięczni wobec kultury narodowej, wobec Polski, która jest rzeczywistością duchową. Ludzie nieraz są dziś tak egoistyczni, tak nastawieni na przyjemności zmysłowe i konsumpcję, tak oświeceni ateistyczną propagandą,

pokolenia, dopóty będą się bawić. Dopóki nie trafią w jakieś bardzo złe miejsce, jak chlew, jak narkomani na ulicach amerykańskich miast.

Kiedy Jezus dokonał rozmnożenia chleba i ryb czy zamienił wodę w wino, miał mnóstwo zwolenników, którzy zapewne ścigali do niego z całej Palestyny. Kiedy zaczyna mówić o czymś wyższym, duchowym, o Eucharystii, to nagle prawie wszyscy go opuszczają. Tego już nie chcą słuchać. Nawet apostołowie chcą odejść. Ale Jezus ani na jotę nie zmienia swego nauczania. Wielu współczesnych polityków z pewnością zmieniłoby przekaz, byleby zatrzymać ludzi. A Jezus traci nie tylko zwolenników, lecz także bezpieczeństwo, bo przecież te tłumy bronią go przed nienawiścią faryzeuszów, którzy chcą go zabić. Jezus nie zmienia ani słowa. To też obraz dla naszych czasów. Dotąd bycie w Kościele było łatwe. Byliśmy w większości, przetrwaliśmy komunizm i istotnie przyczyniliśmy się do jego upadku, mieliśmy „naszego” papieża – to była dominująca kultura. To było lekkie i przyjemne, jak chodzenie za Jezusem po Palestynie. Teraz zaczyna być trudniej i widać, jak wiara wielu ludzi była powierzchowna, jak łatwo dają się kupić i przechodzą na pozycje antychrześcijańskie. Zauważmy, że w pewnym momencie i sam Jezus był bezradny. Zwolennicy go opuścili, a demokratyczna, uwiedziona większość skazała go na śmierć. Musimy się liczyć z tym, że taki czas nadejdzie również w Polsce, że staniemy się prześladowaną mniejszością. Ale wtedy trzeba być jak Chrystus, być wiernym Bogu, choćby nas znowu zabijali. A mogą nas zabijać. Są napędzane takie nienawiść i agresja, że po niegodziwych, niesprawiedliwych procesach mogą przyjąć fizyczne prześladowania, długoletnie więzienia i nawet zabójstwa. Mamy jednak tak wspaniałe, polskie wzorce w postaciach kard. Wyszyńskiego, ks. Popiełuszki, Witolda Pileckiego czy rodziny Ulmów. To są polskie wzory, to jest polski duchowy kapitał. Cokolwiek by się działo, choćby nas znowu zabijali, mamy być wierni Bogu i Chrystusowi. To jest najważniejsze. Bądźmy z Jezusem i Maryją, a reszta będzie nam dodana nawet w najgorszych prześladowaniach.

Ludzie, którzy tak łatwo porzucają chrześcijaństwo, są jak biblijny syn marnotrawny, który zachłysnął się przyjemnościami świata. To bardzo dobry obraz dla wielu ze współczesnego pokolenia

zuje się, że wiara wielu ludzi była słaba, za bardzo tylko kulturowa, dlatego ulega pod naciskiem bogactwa i propagandy. Ludzie tak łatwo przechodzą na stronę kultury śmierci. To najmocniej przejawia się w tym, że nie są w stanie mieć dzieci, że nawet jak mają jedno dziecko, które jakoś „cudownie” przemknie się między chemią a aborcją, mówią, że to jest tak straszne, że nigdy więcej. U wielu króluje totalny egoizm, życie od przygody do przygody. Tacy ludzie nigdy nie zawrą małżeństwa, nigdy nie będą mieć dziecka. O seminarium duchowym czy zakonie nawet nie ma co mówić. Do wojska też nigdy nie pójda, przenigdy nie będą bronić ojczyzny, przy pierwszym wystrzale uciekną nawet na inny kontynent. Wobec Polski, która im tyle dała, są przecież podobnie niewdzięczni i obojętni jak wobec Boga – najważniejsza jest przecież najbliższa przyjemność. Powszechna jest ta czarna niewdzięczność – jak syna marno-

że tracą zdolność rozumienia wyższych rzeczy i życia według nich.

Współczesne społeczeństwo jest figurą syna marnotrawnego z Jezusowej przypowieści?

Ludzie, którzy tak łatwo porzucają chrześcijaństwo, są jak biblijny syn marnotrawny, który zachłysnął się przyjemnościami świata. Pragnął tylko pieniędzy ojca, żeby zanurzyć się w te przyjemności. To bardzo dobry obraz dla wielu ze współczesnego pokolenia. Ten syn nie chce pieniędzy ojca, żeby założyć rodzinę, mieć dzieci. On chce żyć jak utracjusz. Całkiem możliwe, że dopóki były pieniądze ojca, dopóty myślał z pogardą o nim i o bracie, bo oni za wiele pracowali i za mało się bawili. Myślę, że postawa młodszego syna w dużym stopniu oddaje obraz współczesnego społeczeństwa, które opuszcza Kościół dla przyjemności zmysłowych. Dopóki będą pieniądze od ojca, wypracowane przez poprzednie



KAROL GAC: Skąd pomysł, by pójść „na swoje” i założyć kanał na YouTube „Otwarta Konserwa”?

KRZYSZTOF ZIEMIEC: Decyzję wymusiło życie. Jestem w mediach 30 lat, byłem w wielu ciekawych miejscach i redakcjach, ale większość rzeczy, które mogłem zdobyć, osiągnąłem. Jedyne, co mogłbym jeszcze zapisać na swoim koncie zawodowym, to coś własnego, za co mogę brać pełną odpowiedzialność i traktować to jako swoje dziecko. I to jest to!

Żona przypomniła mi ostatnio pewne, chyba prorocze, słowa sprzed dekady. Na jednym z bankietów po Wiktorach znaleźliśmy się obok Edwarda Miszczaka, który powiedział mi wówczas: „Ziemiec, masz taką markę, że powinieneś założyć »Ziemiec media« i zbijać na tym kapitał, bo w mediach zrobiłeś już wszystko”. Ambicją każdego dziennikarza jest



Z Krzysztofem Ziemcem, dziennikarzem, byłym prezenterem „Wiadomości” i „Teleexpressu” TVP rozmawia Karol Gac

Nie mam planu B

■ **móc podpisywać się pod wszystkim w 100 proc. Wielokrotnie już o tym mówiłem i wielokrotnie byłem za to krytykowany, ale w dużych redakcjach nie jest tak, że każdy z nas jest całkowicie niezależny. Życie dziennikarskie nie jest takie zero-jedynkowe, jak się wielu wydaje.**

Wiemy, że kanał będzie tworzyć grupa dziennikarzy. Zdradzi pan ich nazwiska?

Nie mogę, ponieważ trwają negocjacje. To, co nas ogranicza, to czas i możliwości finansowe. Na pewno chcemy zatrudniać kolejnych dziennikarzy. Docelowo chcemy mieć kilka różnych formatów, np. dotyczących polityki zagranicznej czy kultury. Również debaty polityczne, ponieważ widzę duże braki na rynku medialnym. Wcześniej narzekało się, że są one jednostronne, bo w studiu dyskutują dziennikarze „Sieci” z „Gazetą Polską”, co było oczywiście złe. Dzisiaj zastąpili ich dziennikarze np. „Polityki” i OKO.press, a to nie jest realny spór.

Jest pan doświadczonym dziennikarzem, ale Internet jest dla pana nowością. Czujecie pan ekscytację?

Jestem najbardziej doświadczoną osobą w zespole, bo większość kolegów jest młodsza, ale czujemy podobną ekscytację. Oni widzą, że można mieć coś swojego, a ja pomimo wieku cały czas potrafię się ekscytować pracą, planować, czego w ostatnich latach bardzo mi brakowało. Może więc dobrze, że ktoś za mnie podjął tę decyzję o rozstaniu z TVP?

Przed naszą rozmową przejrzałem media liberalno-lewicowe i „plotkarskie”. Zgodnie twierdzą, że Krzysztof Ziemięć wypada w rozmowach fatalnie, a „Otwarta Konserwa” nie ma żadnych szans. Może to przewrotny, ale jednak komplement?

Też to czytałem. Z uśmiechem. Gdyby ci eksperci, którzy się tam wypowiadają, popatrzyli na wpisy naszych widzów, to zobaczyliby, że w większości są oni zadowoleni. Coś, co mnie zaskakuje, a jednocześnie mówi wiele o kondycji obecnego dziennikarstwa, to ich opinie, że rozmowy były ciekawe, a ja potrafię słuchać rozmówców. To przecież podstawa naszego zawodu! To gość ma być głównym bohaterem, a my tylko moderujemy, zadajemy pytania. To znaczy, że wielu dziennikarzy nie potrafi albo nie chce słuchać i zaprasza rozmówców po to, by ich skompromitować lub się wywyższyć.

W kanale „Otwarta Konserwa” chcemy zatrudniać kolejnych dziennikarzy. Docelowo chcemy mieć kilka różnych formatów, np. dotyczących polityki zagranicznej czy kultury

Zatrzymajmy się więc na chwilę przy tym temacie. Wychodzi pan z tradycyjnego dziennikarstwa po kilku dekadach. W jakiej jest ono obecnie kondycji?

Wydaje mi się, że radio i telewizja przeżywają pewien zakręt, bo nie potrafią się odnaleźć w nowej rzeczywistości cyfrowej. Widać to po danych. Ludzie przestają oglądać TV, bo nie mają ochoty, czasu albo mają to wszystko w sieci, bez pośredników i bez tych samych od lat ekspertów.

W jakiej części to wina samych mediów?

Nie dość, że dążą one do polaryzacji, to serwują ludziom bezwartościowe treści. Ciągłe słyszymy też argument, że „ludzie tego chcą”, a przecież mamy wiele dowodów na to, że odbiorcy poszukują jednak czegoś innego.

Jako początkujący dziennikarz internetowy sam się z tym mierzę i jednocześnie dziwię, że w Internecie sprawdzają się formy zarówno bardzo krótkie, jak i bardzo długie. I wszystko się ogląda. To fenomenalne zjawisko. Telewizja jest tu na straconej pozycji, bo myśli w starych kategoriach. Szefowie większości stacji telewizyjnych i gazet zatrzymali się trochę w latach 90., gdzie pozycja ich tytułów, a także ich samych, była gigantyczna. Kiedy nam wskazywali, co jest dobre, a co złe. A odbiorcy mieli im ufać. Te czasy się skończyły, a tradycyjne media nie do końca wiedzą, jak się w tym odnaleźć.

News „Krzysztof Ziemięć na budowie w Irlandii” lotem błyskawicy obiegł polskie media. Czy to nie jest anegdotyczny dowód na ich kondycję? Przypomina mi to nieco historię z Dorotą Gawryluk, którą media obsadziły w roli kandydatki na prezydenta, tylko zapomnieli do niej zadzwonić.

Rzeczywiście, porównując te sytuacje, to poza dwoma dziennikarzami, którym powiedziałem tylko, że jestem „na robocie”, nie ujawniając gdzie, nikt do mnie nie zadzwonił. Pozostałe media zachowały się jak kserograf. To mówi wiele o ich kondycji. Jedni zrobili to pewnie bezmyślnie, a inni specjalnie – dla wyświetleń i reklam. Było wiadomo, że jedni czytelnicy sprawdzą to z ciekawości, a inni z nienawiści. Ludzie czuli satysfakcję, że mi się

rzekomo nie powiodło, co też pokazuje, że dla niektórych, którzy kreują się na tolerancyjnych i inteligentnych, praca fizyczna jest czymś złym i godnym potępienia.

Zmieńmy nieco wątek. Nie było panu żal, że został pan zmuszony do odejścia z Telewizji Polskiej?

Oczywiście, że tak. Zwłaszcza że dla wielu dziennikarzy ich miejsce pracy i ludzie, z którymi pracują, są jak rodzina zastępcza. Są jednak takie sytuacje w życiu, na które nie mamy wpływu.

Po wyborach parlamentarnych wszyscy wiedzieli, że zmiany w mediach publicznych będą kwestią czasu. Spodziewał się pan, że nastąpią one w taki sposób?

Szczerze? Nie. Część osób spodziewała się gruntownych czystek, ale część, w tym ja, uważała, że to niemożliwe, bo byłoby to bezsensowne. Stało się, jak się stało.

Po pana pierwszym nagraniu w „Otwartej Konserwie”, w którym poruszył pan m.in. temat pracy w TVP, pojawiło się wiele komentarzy, że Krzysztof Ziemięć chce się wybielić, a przez lata firmował propagandę w TVP. Jak pan na to odpowie?

Nie chciałem ani się wybielić, ani – jak zasugerował ostatnio Jacek Kurski – przypodobać się „drugiej stronie”. Stwierdziłem, że to taki moment, w którym należy zostawić za sobą to, co było, skoro rozpoczynam coś nowego. Jednak ze względu na to, że ludzie bardzo często pytają o te same sprawy, chciałem odpowiedzieć na część powtarzających się pytań. Teraz, po kilku tygodniach, widzę, że pewnych osób nie da się przekonać, bo i tak wiedzą swoje. Dla niektórych będę więc uosobieniem największego zła, co też jest ciekawe. Bo dla czego akurat mnie wzięto na celownik? Widocznie musi tak być.

Jacek Kurski powiedział też, że „Ziemięć nie wytrzymał presji”. Ostatnie lata to była skrajna polaryzacja. Jednocześnie dano przyzwolenie na to, by wręcz dehumanizować dziennikarzy i gości TVP oraz obrzucać ich łajnem. Liczył się pan z tym, że coś takiego może nastąpić?

Nie spodziewałem się czegoś takiego. Sam się zastanawiam, czy byłam na

tyle naiwny czy też nie zdawałem sobie sprawy, że są w wielu z nas tak głębokie pokłady nienawiści. Kiedy pracowałem w „Wiadomościach” i TVP do 2015 r. i dużo jeździłem po Polsce, to czasami ktoś zapytał, czy nie jest mi wstyd tam pracować. Od 2016 r., kiedy TVP zaczęła się zmieniać, lista tych, którzy skazywali nas niemal na wywózki, zamieniła się w falę. Pamiętam manifestację na placu Powstańców, tuż po objęciu władzy przez Jacka Kurskiego, na którą przyszło kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Już wtedy wiedzieli, że wszystko jest złe! Pytanie skąd? Czy ktoś im to narzucił? Bo w 2016 r. telewizja była bardzo otwarta i przychodzili do niej wszyscy.

Jeśli pyta pan zaś o hejt, to zaczął się on wówczas automatycznie. Atakowano nas za wszystko, a na każdego z nas lały się wiadra pomyj. Byłem w szoku, jak można tak mówić. Dzisiaj widzę, że hejt był celowy, skierowany na konkretne osoby, które nie miały prawa funkcjonować w przestrzeni publicznej. Pamiętam sierpień 2017 r., gdy byłem na wakacjach i zadzwonił wydawca, czy mógłbym zrobić wywiad z premier Beatą Szydło po tragicznej wicherze, która zniszczyła obóz harcerski. Powiedziałem: „OK, ale potrzebuję, by ktoś z Warszawy przywiózł mi garnitur”. Tak też zrobiono, ale zapomniano o eleganckich butach. Poprosiłem o kadrowanie od pasa, ale ktoś zrobił zdjęcie, gdzie było widać moje buty, i się zaczęło. Moi do niedawna znajomi rozpętaли aferę, że jestem prymitywem, wieśniakiem, bo nie umiem się ubrać i gdzie są styliści. Nikt nie wiedział, jaka jest prawda, a wszyscy wydali wyrok.

Jak żyć pod taką presją i falą hejtu? Większość ludzi przecież nie wie np. o wiadomościach prywatnych, życzeniach śmierci czy atakowaniu rodziny.

Wtedy, te osiem-dziewięć lat temu, to był dla mnie szok, bo nigdy się z czymś takim wcześniej nie spotkałem. Sam w sobie takich emocji nie mam. Nigdy bym nikogo publicznie nie wyzywał i nie odmawiał mu racji bytu. Byłem w głębokim stresie i nie wiedziałem, jak na to reagować. Początkowo chciałem odpisywać każdemu, co kosztowało mnie dużo zdrowia. Było to też zabójcze dla moich najbliższych. Kłopoty miały moje nastoletnie dzieci. Wytykano je palcami, że są „tego Ziemca”. Nazwano mnie przecież „zabójcą Adamowicza”. To haniebne. Walczyłem też

z dawnymi kolegami, którzy kłamali, że powiedziałem na antenie coś, co faktycznie się nie zdarzyło. Żadna z tych osób mnie nie przeprosiła.

Myszę, że gdybym nie był osobą spokojną z natury, gdybym nie był osobą wierzącą, która ma kod DNA swoich zachowań, i nie miał rodziny, to pewnie bym się znalazł na obrzeżach życia. To był celowy atak, który trafił na wrażliwą osobę. Było to dla mnie straszliwie trudne.

Wiara w Boga pomogła przetrwać ten trudny czas?

Zdecydowanie. Jeśli ktoś jest naprawdę wierzący i mimo że ma momenty zwątpienia, to wie, że Ktoś nad nim jednak czuwa. Mocniejsi w wierze mówili mi wprost: „Skoro jesteś wierzący, to się przyjmuje ten krzyż i się go niesie, nawet jeśli nie jest za twoje grzechy”. To pomogło. Wierzę, że wszystko jest po coś i wszystko ma swój sens. Choćby po to, by nas to utwardziło. Dzisiaj z dystansem patrzę na ten hejt.

Po takiej fali hejtu, gdybym nie był osobą spokojną z natury, gdybym nie był osobą wierzącą i nie miał rodziny, to pewnie bym się znalazł na obrzeżach życia

Był taki moment, kiedy obawiał się pan realnie o bezpieczeństwo swoje lub rodziny? Albo myślał pan sobie: „Po co mi to?”

W styczniu 2019 r. nastąpił moment, kiedy moja żona powiedziała: „Dość, musisz to przerwać, bo to jest dla nas niebezpieczne”. Odkładałem ten moment, bo to prosto to było trudne. Jednak pod wpływem jej słów złożyłem wypowiedzenie. Jednak finalnie zostałem w TVP. Już po tej sytuacji Robert Mazurek powiedział mi, że źle zrobiłem, bo trzeba było rzucić to wszystko i zacząć od nowa. Ale pamiętałem książkę Tomasza Lisa, gdzie opisywał swoje odejście z TVN, gdy jego telefon milczał. I to przy jego pozycji i układzie medialnym przed 20 laty. Wiedziałem, że mój telefon też nie zadzwoni. Owszem, na początku będzie rozgrzany, ale tylko po to, by użyć mnie jako młota.

Ktoś może powiedzieć: „Jeśli jesteś dobrym dziennikarzem, to znajdziesz inną redakcję”.

OK. A czy widać kogokolwiek z TVP, kto się teraz odnalazł w innej dużej redakcji niż TV Republika? Nie.

Wiemy przecież, że jest w nich zakaz zatrudniania ludzi związanych z TVP.

To pan to powiedział. Mogę tylko zwrócić uwagę czytelników, by uważnie się rozejrzeli. Ktoś powie „propagandystów się nie przyjmuje”. Ale czy Maria Przełomiec, Maria Stepan albo ludzie związani z „Pytaniem na śniadanie”, które nie zajmowało się polityką, byli propagandystami?

Czy nie jest też tak, że w dużej mierze za obecną polaryzację odpowiadają media?

Oczywiście nie można wrzucać wszystkich do jednego worka i generalizować. Dziesięć lat temu myślałem, że pojęcie „czwartej władzy” odchodzi w niebyt, ale to się absolutnie zmieniło. Mamy polaryzację i wiele mediów staje się często narzędziem do załatwiania różnych politycznych spraw, także wewnątrz wła-

snej formacji. Bywa, że różne wrzutki są robione przez ludzi, którzy nie lubią innej frakcji. Zgadzam się z poglądem, że media często kreują, a nie tylko opisują.

Może to niezręczne na starcie, ale sam pan przyznaje, że „Otwarta Konserwa” jest medialnym start-upem. Czy Krzysztof Ziemięć ma plan B, jeśli projekt np. nie będzie się bilansował?

Trudne pytanie na koniec. Nie mam planu B. Tak jak nie miałem planu B w sprawie TVP, bo wierzyłem, że jakoś się obroni. Teraz też go nie mam, bo wierzę, że jakoś się obroni. A jeśli coś się nie uda, to – cytując Rafała Patyrę – „zobaczmy, gdzie Bóg poprowadzi”. Gdyby nie to, że sytuacja w TVP się zmieniła i większość z nas musiała się z nią rozstać, to nie poszedłbym o krok do przodu, a to, co teraz robimy, jest jak skok do przodu. Być może gdybym został w telewizji, to robiłbym to samo przez lata, a ten szklany sufit by się tylko obniżał.



Łukasz Zboralski

Lekarz obejrzy tylko nogę, bo za rękę już NFZ nie zapłaci, szpitale tracą na dwóch zabiegach u jednego pacjenta, więc każą mu wyjść i zapisać się na ponowne przyjęcie. Jeśli medycy chcą dobrego pacjenta, to muszą oszukiwać. Czy tak powinno to działać?

Koszmarne historie o trudnym leczeniu może opowiedzieć prawie każdy polski pacjent. Jeśli jednak zestawimy kilka przypadków naraz, to nasz system leczenia, za który płacimy w składkach bajątkowe sumy, zaczyna wyglądać na szokująco niesprawny i obojętny na zdrowie ludzi.

Historia pierwsza. Pani Maria. Po raz pierwszy od wielu lat zapisała się do specjalisty na NFZ. Wcześniej leczyła się zwykle prywatnie, ale ma blisko 70 lat i zaczynają się poważniejsze schorzenia – ból w biodrze. Zarejestrowała się do ortopedy w szpitalu w Świeciu (Kujawsko-Pomorskie). – Tak się złożyło, że tydzień przed terminem wizyty przewróciłam się i upadłam na wyprostowane ręce. Od tego czasu zaczęła boleć mnie prawa ręka, ale ponieważ ból nie był tak intensywny, pomyślałam, że nie będę siedzieć kilka godzin, zajmując komuś miejsce na SOR, tylko pokażę to na wizycie – opowiada. – Ból przez kolejne dni narastał i wreszcie pojechałam do szpitala. W gabinecie lekarz zza biurka, niczego nie badając, tylko porozmawiał na ten temat. Dodałam, że mam jeszcze problem z ręką. Nawet jej nie obejrzał, usłyszałam tylko: „Ale z tym to proszę zejść do recepcji i zarejestrować się na następną wizytę” – relacjonuje pacjentka. Nie miała wyjścia, zeszła i zapisała się na kolejną wizytę, która odbędzie się za blisko dwa miesiące. – To będzie cudowne uleczenie, bo do tego czasu to ja już sama rozwiążę ten problem – śmieje się smutno pani Maria. – Pójdę sama prywatnie do ortopedy, poproszę o prześwietlenie i ktoś się zajmie leczeniem mnie.



Chory system ochrony zdrowia

Historia druga. Pan Zbigniew. Ma ponad 70 lat. Choruje na nowotwór. Ostatnio się okazało, że musi przyjąć chemię. Został zapisany na termin w bydgoskim szpitalu. Wstał o godz. 5, by samochodem dojechać do lecznicy. – Tam siedziałem najpierw długo w kolejce przed gabinetem, by dowiedzieć się, że najpierw muszę mieć konsultację kardiologiczną – opowiada. – To oczywiście wszystko wydłużyło, ale ostatecznie udało się, przyjmą mnie na oddział. Teraz położą mnie i podadzą chemię, a potem mam mieć wszczepiony specjalny port, by podawanie tych leków ułatwić. Jednak portu nie wszczepią mi teraz, choć będę leżał trzy dni w szpitalu. Muszę wyjść i zapisać się na kolejny termin, kiedy znów mnie przyjmą. Czy to ma sens? – pyta.

Historia trzecia. Lekarz rodzinny, piszący na portalu X pod pseudonimem Dr Kermit House. W ubiegłym tygodniu zamieścił pełen rozżalenia wpis. Zezłościł go fatalny mechanizm dostarczania seniorom darmowych leków. Wymusza on bowiem na takich pacjentach chodzenie od gabinetu do gabinetu. „Czy do ciężkiej cholery Izabela Leszczyna i Ministerstwo Zdrowia mogłoby się wziąć za bezsens przepisów o darmowych lekach 65+? Bo wczoraj pacjent miał wizytę u psychiatry,

dostał trzy opakowania leku z refundacją, ale żeby dostać lek bezpłatnie, to musi następnego dnia przyjść do lekarza rodzinnego” – napisał i pokazał skan recepty z wypisanym lekiem na depresję. Dodał, że pacjent miał 80 lat i bezsensowne kolejne odwiedzanie innego lekarza jest dla takich ludzi kłopotliwe.

BUBLE PRAWNE

Ta ostatnia historia została od razu skomentowana na portalu społecznościowym przez minister zdrowia. „To pomyśl PiS. Odpowiednią zmianę przepisów wysłałam już do KPRM, to niestety ustawa i wszystko trwa długo” – napisała Izabela Leszczyna. I udowodniła, że zarzut wobec poprzedników nie jest chybiony. Zacytowała ustawę, która okazała się buble powodującym problemy.

W ustawie z 13 lipca 2023 r. znalazł się bowiem zapis, że po ukończeniu 65. roku życia „przysługuje bezpłatne zaopatrzenie w leki, środki spożywcze specjalnego przeznaczenia żywieniowego oraz wyroby medyczne [...] na podstawie recepty wystawionej przez lekarza lub pielęgniarkę udzielających świadczeń opieki zdrowotnej w ramach umowy o udzielanie świadczeń opieki zdrowotnej z zakresu

go, że lekarz był niemiły czy nie chciał mu się pracować. On po prostu nie chciał mieć kłopotów w pracy. Dlaczego?

– Trzeba wyjaśnić, jak działa ten system. W poradni specjalistycznej rozlicza się wizytę, wpisując odpowiednie „koszyki NFZ”, które są wycenione na odpowiednią liczbę punktów, a ta jest przeliczana na złotówki. I np. jak przychodzi pacjent z wynikiem tomografii i mam się z nim zapoznać, bez innych badań, to taka wizyta wyceniona jest na 44 punkty, czyli ok. 70–80 zł – tłumaczy Jakub Kosikowski, lekarz w trakcie specjalizacji z onkologii, rzecznik Naczelnej Izby Lekarskiej. – Jeśli natomiast podczas wizyty zlecam badanie laboratoryjne albo obrazowe typu USG, RTG, to zależnie od ich kombinacji będzie „koszyk NFZ” wyceniany punktowo. I tu pojawia się problem, bo, w uproszczeniu, nie mamy dostępnych wszystkich kombinacji, takich, jakie powinniśmy robić w danych chorobach. Jeśli zrobi się więcej niż jedno badanie z jednego koszyka, to NFZ rozliczy i tak stałą kwotę punktów skalkulowaną na jedno. Szpital nie dostanie więc zwrotu pieniędzy za poniesione koszty ponad to jedno badanie. I np. trafia pacjent do neurologa, a ten robi mu USG tętnic szyjnych i badanie fali mózgowych. No to wycena będzie taka sama, jak gdyby zrobił jedno badanie, więc nawet ich koszt się nie zwraca – tłumaczy.

Jak sobie radzą w takich przypadkach lecznice? Ano właśnie tak jak z panią Marią. Musi umówić się na oddzielną wizytę i wówczas NFZ zapłaci za badanie, które podczas konsultacji zostanie zlecone. Niestety, nie można pani Marii zapisać jednego dnia na dwie wizyty – system blokuje takie możliwości w obawie przed nadużyciami ze strony lekarzy i szpitali. W efekcie na potrzebne od razu badania pacjenci muszą czekać czasem miesiącami, do następnej wizyty.

Jak pokazuje przykład pana Zbigniewa – jest jeszcze gorzej. Bo i on nie zostanie odesłany bez powodu, by po raz kolejny zostać przyjęty w tym samym szpitalu.

– Za jednym pobylem pacjenta w szpitalu można rozliczyć tylko jedną „chorobę”. Więc jak pacjent w trakcie pobytu jest na dwóch oddziałach, to NFZ zapłaci tylko za ten droższy – tłumaczy Kosikowski. Gdyby więc szpital jednocześnie podał panu Zbigniewowi chemię, a potem wszczepił mu potrzebny mikroport, to

szpital zrobiłby sobie dług, bo za jedną z tych procedur pieniędzy by nie dostał.

Są miejsca, gdzie lekarze próbują obejść system tak, by nie zmuszać ciężko chorego seniora do kolejnej podróży do szpitala. Wówczas po prostu muszą posunąć się do oszustwa. Działają np. tak, że pacjent zostaje wypisany ze szpitala o godz. 23.59 i zupełnie „nielegalnie” leży sobie na łóżku do rana, a rano zostaje przyjęty na nowy oddział i za dalsze procedury medyczne dla niego NFZ już płaci.

LECNICE POPADAJĄ W DŁUGI

Czy można się dziwić, że szpitale – kosztem czasu i zdrowia pacjentów – nie chcą tracić na usługach? Chyba nie. Bo ich zadłużenie już jest gigantyczne. Dobrze pokazało to spotkanie Parlamentarnego Zespołu do spraw Szpitali Samorządowych, który 21 maja omawiał sprawę zadłużenia lecznic. Rynekzdrowia.pl przedstawił dane, które podał tam Rafał Głowczyński, wicedyrektor Departamentu Nadzoru i Kontroli Ministerstwa Zdrowia. Wynikało z nich, że na koniec trzeciego kwartału 2023 r. zadłużenie ogółem szpitali samorządowych wyniosło 14 mld 637 mln zł, w tym zobowiązania wymagalne – 1 mld 834 mln zł.

Jak pokazał Związek Szpitali Powiatowych Województwa Śląskiego, trudno dziś szpitalom w ogóle nie tracić na leczeniu pacjentów. NFZ płaci bowiem za mało za procedury.

Średnio jedna placówka traci od 700 do 19 tys. zł na świadczeniach dla pacjentów. Wycięcie hemoroidów? Średnio szpital dostaje 3279 zł, a średni koszt, który ponosi, to 4225 zł. Każdy taki zabieg to strata 950 zł dla lecznicy. Przy skomplikowanych operacjach dług powiększa się od razu gigantycznie. Jest krwotok w czaszce i trzeba wykonać arteriografię tętnicy podstawnej mózgu z kontrastem? Koszt: blisko 28 tys. zł. NFZ zwraca średnio 8,5 tys. zł. Jedna taka procedura i dług szpitala wzrasta o prawie 20 tys. zł.

Na razie nikt nie ma chyba jednak odwagi powiedzieć Polakom wprost, że pieniędzy na ich leczenie jest w systemie za mało. Tymczasem pieniądze płyną poza systemem. Lekarze nie protestują, bo im więcej komplikacji dla pacjentów leczonych na NFZ, tym więcej przychodów w prywatnych gabinetach.

podstawowej opieki zdrowotnej albo lekarza posiadającego prawo do wykonywania zawodu, który zaprzestał wykonywania zawodu i wystawił receptę dla siebie albo dla małżonka, albo dla osoby pozostającej we wspólnym pożyciu, albo dla krewnych lub powinowatych w linii prostej, a w linii bocznej do stopnia pokrewieństwa między dziećmi rodzeństwa”.

Można to odczytać tak, że prawo do wystawiania takich recept mają wyłącznie lekarze POZ. A ponieważ konsekwencje finansowe za recepty, które okazują się wystawione niezgodnie z regułami, ponoszą lekarze, część specjalistów nie wypisuje darmowych leków seniorom i odsyła ich do lekarzy pierwszego kontaktu.

– W dużej mierze recepty na darmowe leki dla seniorów, które trafiają do apteki, to są recepty wystawione przez lekarzy POZ – potwierdza Marcin Piątek, farmaceuta, prezes Okręgowej Rady Aptekarskiej w Bydgoszczy. – Część specjalistów też wystawia takie recepty – dodaje.

SZALEŃSTWO KOSZYKÓW NFZ

Historia pani Marii także okazuje się być głęboko związana z mechanizmami systemu opieki zdrowotnej. Jej ręka nie została obejrzana i przebadana nie dlate-

Tabletka podziaków



Zuzanna Dąbrowska

Szumnie zapowiadany pilotaż wprowadzający pigułkę „dzień po” bez recepty od 15. roku życia na razie okazał się klapą. Apteki na rządowy program patrzą z rezerwą

Będzie oznakowanie aptek, które biorą udział w pilotażu antykoncepcji awaryjnej. Razem z NFZ pracujemy nad tym, aby apteki mogły potwierdzić udział w programie bez ryzyka kar za złamanie zakazu reklamy” – poinformowało Ministerstwo Zdrowia na platformie X. To reakcja na niewielki odzew punktów aptecznych chcących dołączyć do pilotażu, mająca przekonać placówki, by jednak wzięły w nim udział. 1 maja weszło w życie rozporządzenie ministra zdrowia w sprawie programu pilotażowego w zakresie usług farmaceuty dotyczących

zdrowia reprodukcyjnego. W aptekach, które przystąpią do programu, farmaceuta (tylko on; takiej możliwości nie ma technik medyczny) będzie mógł wystawić receptę na tzw. antykoncepcję awaryjną. Nie będzie już konieczna wizyta u lekarza. Ogromne emocje społeczne, a także sprzeciw prezydenta Andrzeja Dudy, który ustawę zawetował, wzbudziła zapisana w przepisach skandalicznie niska dolna granica wieku dla uzyskania tabletki – to zaledwie 15 lat (przypomnijmy, że od pewnego czasu w Polsce 15-latką nie kupi już napoju energetycznego...).

Pilotaż był zapowiadany przez resort zdrowia jako „przywracanie praw kobietom”. – Rozwiązanie proponowane przez Ministerstwo Zdrowia nie jest rozwiązaniem idealnym, ale jest jedynym możliwym i zgodnym z prawem do czasu wyboru nowego prezydenta. Prezydenta, dla którego prawa kobiet, czyli prawa człowieka, będą prawdziwą, a nie tylko deklaracyjną wartością – powiedziała minister Izabela Leszczyna po wecie prezydenta (ostatecznie pilotaż wprowadzono rozporządzeniem). Dodała, że wierzy, iż farmaceuci to specjaliści, któ-

rzy kierują się wiedzą medyczną, a nie wiedzą „zaczerpniętą nie wiadomo skąd i tak naprawdę nieprawdziwą”. – Liczymy na to, że farmaceuci to ludzie, którzy mają świadomość, że lepiej zapobiegać niechcianej ciąży niż ją abortować. I na to liczymy – wskazała Leszczyna.

Do pilotażu mogą przystępować wszystkie apteki, podpisując umowę z Narodowym Funduszem Zdrowia. Aby wydać na prośbę pacjentki pigułkę „dzień po”, magister farmacji – z co najmniej rocznym stażem – musi najpierw przeprowadzić z nią wywiad. W przypadku dzieci, czyli zgodnie z polskim prawem osób poniżej 18. roku życia, obecność rodzica nie jest wymagana. MZ stwierdziło bowiem, że jest to usługa, a nie świadczenie medyczne, a więc rodzic nie ma nic do powiedzenia.

SPEKTAKULARNA PORAZKA

Tymczasem media, co istotne – liberalne-lewicowe, których autorki głośno opowiadały się za przywróceniem pigułki „dzień po” bez recepty (tak było do 2017 r.), piszą o klapie pilotażu. „Zaledwie 380 z kilkunastu tysięcy aptek w Polsce wyraziło chęć wypisywania

recept na antykoncepcję awaryjną” – donosi „Gazeta Wyborcza”. Wyliczono, że zaledwie ok. 3 proc. wszystkich punktów aptecznych na mapie kraju zgłosiło się do rządowego programu. „Wyborcza” zauważa, że Narodowy Fundusz Zdrowia zwlekał z udzieleniem odpowiedzi na pytanie o to, ile aptek zdecydowało się wejść do pilotażu. Dziennik sugeruje, że to przez fatalnie niskie zainteresowanie i NFZ po prostu czekał, aby móc się pochwalić mediom trochę lepszym wynikiem. Co ciekawe, w całym województwie mazowieckim, którego stolica, będąca jednocześnie stolicą Polski, uznawana jest za najbardziej progresywne miasto w kraju, zainteresowanie wyraziło zaledwie 29 aptek. „To byłoby mało na samą tylko Warszawę, a mowa o największym pod względem liczby mieszkańców i powierzchni województwie” – wskazuje „GW”. Pilotaż tylko trochę większym powodzeniem cieszy się na Śląsku – 79 aptek – oraz w Wielkopolsce – 63 apteki. Z kolei na Podlasiu do programu chce dołączyć zaledwie siedem punktów.

Porażka pilotażu, który miał być przecież jednym z filarów wojny z „zaściankiem”, stała się dla rządu problemem. Re-sort zdrowia robi, co może, aby przekuć porażkę w choćby umiarkowany sukces. „NFZ przejmuje się możliwym fiaskiem programu” – zauważa „Wyborcza”. Prezes Funduszu próbuje zachęcać aptekarzy do dołączenia. W tym celu wydał komunikat głoszący, że „farmaceuta jest niezależny i samodzielny w podejmowaniu decyzji w zakresie czynności zawodowych”. Stąd nie będzie kar dla tych pracowników aptek, którzy będą się domagali, by nieletnia pacjentka miała zgodę rodzica, lub wprost odmówią wydania pigułki dziewczynce, która nie ukończyła 18 lat.

WOJNA Z APTEKARZAMI

Niektórzy politycy chcą iść z „nienowoczesnymi” aptekarzami na wojnę. „Proponuję wam, dziewczyny, zrobić mapę z aptekami i zaznaczyć te, które chcą mieć klientów, i te, które nie potrzebują, bo mają »światopogląd«. I róbmy zakupy w tych, które klientów szanują. Zaraz im się poprzestawiają »priorytetem« – tak do bojkotu konsumenckiego nawołuje znana z kontrowersyjnych wypowiedzi poseł Magdalena Filiks (Koalicja Obywatelska). Na ten głos szybko

odpowiedziała minister zdrowia. Izabela Leszczyna zapowiedziała stworzenie mapki, której domaga się Filiks. „Zawsze wiedziałam, że jesteś najlepsza. Jestem dumna, że mamy taką minister zdrowia. I z ciebie dumna” – odparła z zachwytem poseł Magdalena Filiks. Znacznie większy dystans do nawoływań parlamentarzystki KO ma Marek Tomków, prezes Naczelnej Izby Aptekarskiej. „Nie mieszajcie państwo farmaceutów do swojej polityki. Staramy się pomóc przede wszystkim kobietom z problemami. Proszę własnej politycznej bezsilności nie przenosić tam, gdzie jest zbędna” – zaapelował do Filiks.

Do poseł nie docierają jednak żadne argumenty. „Panie Marku, rozdzielam właścicieli aptek, farmaceutów i biznesmenów. To nie jest bezsilność polityczna; to jest bezsilność milionów polskich kobiet, które nie mają dostępu do europejskich standardów. Dały temu wyraz na ulicach, że nie chcą żyć wśród katolibów” – podkreśla kontrowersyjna polityk.

Wołaniem na puszczy wydają się być rozsądne słowa Tomkowskiego o tym, aby nie wprowadzać w społeczeństwie kolejnych kompletnie zbędnych podziałów. „Zachęcanie do znakowania aptek i farmaceutów skończy się tym, że ktoś je faktycznie oznaczy sprayem. A wtedy na mapce będzie do narysowania krzyżyk. Na programie. Znamy się na swojej pracy, poradzimy sobie. Jak zawsze” – stwierdził prezes NIA. Dodać należy, że Marek Tomków nikłego zainteresowania pilotażem upatruje w tym, że ten dopiero się rozkręca i po prostu wymaga czasu. – Nie sądzę, żeby tu chodziło o bardziej prawicowe poglądy. Raczej o to, że apteki dopiero przymierzają się do tego pilotażu. Jestem przekonany, że liczba aptek w programie będzie systematycznie rosła – wyjaśnia.

W przestrzeni medialnej formułowane są bardziej radykalne pomysły na to, jak odwrócić sytuację. – Moim zdaniem, jeżeli wyniki projektu mają być miarodajne i oddawać rzeczywisty stan, to powinny w nim wziąć udział wszystkie apteki, a nie zgłaszać się do niego samodzielnie, i mówię to z pełnym przekonaniem. Farmaceuci powinni po prostu przygotowywać sprawozdania po miesiącu czy po dwóch i wysyłać je do ministerstwa – postuluje magister farmacji Agnieszka Dyl, która jednocześnie w dość absurdalny sposób tłumaczy

to, dlaczego start pilotażu był tak fatalny. Jej zdaniem „opieszłość aptek w przystąpieniu do programu może wynikać z tego, że jego start zbiegł się w czasie z długim weekendem majowym”.

– Najlepszym rozwiązaniem byłoby, gdyby każdy farmaceuta sam mógł dołączyć do programu, bez oczekiwania na to, aż zrobi to jego apteka. Po to się kształcimy, aby samodzielnie i w zgodzie ze swoją wiedzą wykorzystywać zdobyte kompetencje. Tymczasem może dochodzić do sytuacji, w których konkretni farmaceuci w niektórych aptekach będą chcieli wziąć udział w takim pilotażu, a apteka już nie – mówi portalowi Medonet.

POLITYKA WAŻNIEJSZA NIŻ MEDYCyna

Okazuje się, że co farmaceuta, to opinia. Stowarzyszenie Farmaceutów Katolickich Polskich opublikowało swój sprzeciw wobec pilotażu, wskazując, że nie służy on dobru pacjentów. „Powszechnie przyjmuje się, że osoby niepełnoletnie nie są zdolne do podejmowania samodzielnych i odpowiedzialnych (autonomicznych) decyzji dotyczących leczenia. Tym bardziej nie można zgodzić się na samodzielne (bez zgody i wiedzy rodziców/opiekunów prawnych) decydowanie o przyjmowaniu preparatów ingerujących w układ rozrodczy, powodujących dalekosiężne skutki oraz budzących poważne zastrzeżenia moralne” – czytamy w stanowisku organizacji.

Stowarzyszenie podkreśla, że wbrew rozpowszechnianym przez zwolenników tzw. antykoncepcji awaryjnej tezom pigułka „dzień po” w konkretnych warunkach może mieć działanie wczesnoporonne. Jednocześnie wielu farmaceutów sprzeciwia się przekształcaniu swojego zawodu w bycie usługodawcą oraz stawiania pacjenta w roli klienta.

Polityczność całej sprawy dostrzega samorząd lekarski. Podjął on decyzję o całkowitym niewłączeniu się w proces konsultowania rozporządzenia resortu zdrowia w sprawie pilotażu. Rzecznik Naczelnej Izby Lekarskiej, Jakub Kosikowski, ocenił, że decyzja ta wynika z przekonania, iż projekt jest bardziej inicjatywą polityczną niż medyczną. Pilotaż potrwa do 30 czerwca.



Z Barbarą Gizą i Adamem Wyżyńskim,
pracownikami FilMOTEKI Narodowej – Instytutu Audiowizualnego
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Film utopiony w Wiśle



TOMASZ Z. ZAPERT: W jakim celu władza ludowa zorganizowała w roku 1949 zjazdy stowarzyszeń twórczych?

BARBARA GIZA: Od połowy 1948 r. nastąpiło zaostrzenie polityki kulturalnej, które polegało na stopniowej centralizacji i instrumentalizacji życia kulturalnego oraz na rosnącym podporządkowaniu twórców decyzjom politycznym, zwłaszcza ideologicznej doktrynie implementowanej z ZSRS. Po powstaniu – w grudniu 1948 r. – PZPR nastąpił ostateczny koniec pluralizmu zarówno w polityce, jak i życiu kulturalnym oraz zwiększenie ideologicznego nadzoru nad kulturą. Narady reprezentantów różnych dziedzin sztuki miały na celu narzucenie twórcom oficjalnego progra-

mu władzy, a w istocie – socrealistycznej metody twórczej. Trwały przez cały rok 1949 i dotyczyły praktycznie wszystkich dziedzin twórczości: literatury, muzyki, plastyki, architektury. Jednym z nich był Zjazd Filmowy w Wiśle, który rozpoczął się 17 listopada i był ostatnim zjazdem twórczym w tamtym roku.

Wprowadzie towarzyszy Lenin utrzymywał, że kino jest najważniejszą ze sztuk, ale to właśnie filmowcy kończyli ów zjazdowy korowód w Polsce, choć ich spotkanie miało się odbyć wcześniej...

ADAM WYŻYŃSKI: Rzeczywiście, zjazd odbył się jako ostatni z zaplanowanej serii, co jednak nie oznacza, że film deprecjonowano. Przeciwnie, zamierzano nadać mu istotną rolę w procesie szerokiego

komunikowania nowego systemu ideologicznego w społeczeństwie. Kluczową rolę miały zaś odgrywać scenariusze filmowy, napisany przez odpowiednio uświadomionego literata, i powstały na jego podstawie film, zrealizowany z m.in. udziałem przygotowanych ideologicznie aktorów, kompozytorów, scenografów, którzy mieli swoje zjazdy wcześniej. W kontekście wiedzy o zasadniczej dla nowego systemu roli literatury, jak również wobec tego, że właśnie ją uczyniono bohaterką spotkania w Wiśle, należy raczej wnioskować, że film uważano za sztukę bardzo ważną, skoro to pisarzom powierzono zadanie zmiany jego kształtu, wymowy i charakteru. Zdawano sobie sprawę z siły oddziaływania



Zjazd filmowców w Wiśle, listopad 1949 r.

FOT. JERZY BARANOWSKI/PAP

filmu – w tym sensie pozostawał sztuką najważniejszą, ale uznano, że siłę tę mają w dużej mierze „zagospodarować” literaci – kluczowi kreatorzy filmowej wizji nowego świata i człowieka. Zjazd w Wiśle był więc może zarówno ostatnim podsumowaniem, jak i bardzo ważnym akordem wieńczącym serię wcześniejszych spotkań środowisk artystycznych organizowanych przez władzę.

Kto zasiadł w prezydium obrad?

B.G.: Skład prezydium został pomyślany tak, aby stanowił reprezentację środowisk, które w różnych rolach: z jednej strony władzy, z drugiej – twórców i dziennikarzy, spotkały się w czasie Zjazdu. W prezydium zasiadli: Jerzy Andrzej-

jewski, pisarz i przedstawiciel jeszcze przedwojennych środowisk intelektualnych, Wacław Żdżarski, dziennikarz i krytyk filmowy kierujący w tamtym czasie Klubem Sprawozdawców Filmowych przy Stowarzyszeniu Dziennikarzy RP, Grażyna Bacewicz – kompozytorka, Wanda Jakubowska i Aleksander Ford – reżyserzy oraz przedstawiciele władzy: Lesław Wojtyga, p.o. kierownik Wydziału Kultury KC PZPR, wiceminister kultury Włodzimierz Sokorski, który przewodniczył obradom, oraz Stanisław Albrecth – dyrektor Przedsiębiorstwa Państwowego „Film Polski”, odpowiedzialnego za całą ówczesną kinematografię. Gościem specjalnym zjazdu, również zaproszonym do prezydium, był sowiecki reżyser Grigorij Aleksandrow, któremu przypadła rola propagatora wzorców sowieckich, a w szczególności zasad socrealizmu.

Największą ofiarą obrad padł Tadeusz Sarnecki?

A.W.: Treść stenogramu z obrad zjazdu, który to dokument zachował się w Archiwum FINA i został w całości opublikowany w książce, stanowi lekturę fascynującą także dlatego, że można maksymalnie blisko zapoznać się z reakcjami werbalnymi każdej ze stron tego spotkania. Zarówno władzy, której celem było narzucenie twórcom socrealizmu jako jedynej obowiązkowej metody działania i myślenia, jak i samych twórców postawionych przed tą koniecznością. Bardzo ciekawe jest to, w jaki sposób reakcji pozytywnych, otwartych, deklarujących gotowość do współpracy, ale były też neutralne, a nawet jedna otwarcie wyrażająca dystans. Nie wszyscy też zrozumieli, w jakiego rodzaju spotkaniu uczestniczą i czego się od nich oczekuje, inni przeciwnie – sprawnie posługiwali się językiem, na który władza liczyła, wygłaszając polityczne deklaracje. Tadeusz Sarnecki wypowiedział opinię, która wywołała na sali znaczące poruszenie. Stwierdził, że dotychczasowe powojenne sukcesy polskiego kina zawdzięczać należy w większości zagranicznym twórcom, którzy pracowali przy realizacji filmów. Nie zapisano w stenogramie wydarzeń, które nastąpiły po przemówieniu Sarneckiego, jednak ze wspomnień jednego

z uczestników zjazdu – reżysera Huberta Drapelli – wynika, że został on wyprowadzony z sali przez ministra Sokorskiego i poproszony o natychmiastowy wyjazd z Wisły oraz zdymisjonowany z funkcji dyrektora wytwórni Filmów Fabularnych w Łodzi. Potem pracował m.in. w charakterze dziennikarza i kierownika kina.

W sali zagościła modna wtedy samokrytyka. Ten termin dla współczesnego czytelnika brzmi enigmatycznie, chyba trzeba go wyjaśnić...

B.G.: Samokrytyka była ówczesnie jednym z podstawowych składników rytualnych zachowań publicznych. Składano ją powszechnie, co było związane z nieustanną kontrolą ze strony partii uważającej dojście do socjalizmu za proces, w którym należy ciągle korygować indywidualne błędy i dążyć do samodoskonalenia. Wygłaszane publicznie samokrytyki miały być wyrazem przechodzenia na wyższy poziom świadomości, dlatego były wymagane. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się to może kuriozalne, ale pamiętajmy, że system komunistyczny przywiązywał do form językowych bardzo dużą wagę i trzeba było wiedzieć, w jaki sposób należy zabierać publicznie głos, aby nie narazić się na porażkę. Najmocniejszą samokrytykę wygłosiła w Wiśle reżyserka Natalia Brzozowska, która mówiła o swoim przecież udanym, poetyckim filmie „Kopalnia”: „Prawie we wszystkim, co dotąd zrobiłam – mało obchodziła mnie treść, tylko z punktu widzenia artystycznego brałam te rzeczy, uważając jedynie, żeby była proporcja treści, ale sens, ideologia obchodziła mnie mało. Od czasu, kiedy zaczęłam się interesować sprawą ideologii socjalistycznej, nie pracowałam, nie pisałam prawie wcale. Przez okres niepracowania, ale walki innego gatunku [sic!] – zupełnie zmieniło się moje podejście nie tylko do treści, ale zmienił się mój stosunek do formy. Dziś patrzę na dawne moje filmy, czuję obcość”.

Najbardziej kajał się Anatol Stern?

A.W.: Reprezentował jeszcze kinematografię międzywojenną. Miał w niej znaczący udział, lecz w Polsce Ludowej znalazła się ona w ostrzu silnej krytyki. Nawet w czasie obrad pokazano film „Gehenna” z 1938 r. w reżyserii Michała Waszyńskiego, do którego Stern napisał

■ scenariusz – na podstawie powieści Heleny Mniszkówny, której książki wówczas wycofywano z publicznego obiegu. Pokaz ten miał jednak za zadanie uczynienie Sterna obiektem ataków politycznych, czego on sam miał zresztą pełną świadomość. Dlatego w swoim wystąpieniu bronił innych przedwojennych filmów, do których napisał scenariusze: „Róży” i „Barbary Radziwiłłówny” Józefa Lejtesa, tłumacząc, że zawarte w nich postępowe treści zostały wycięte przez ówczesną cenzurę, co nie uchroniło go przed krytyką ze strony władz. Wiceminister Sokorski skomentował, że można by Sternowi wybaczyć uczestnictwo w pracy nad „Gehenną”, ale jego głos świadczy o tym, iż nie zrozumiał nie tylko swojej przeszłości, lecz także istoty zadań współczesności.

Z postulatem narzuconego made in ZSRS socrealizmu usiłował walczyć Antoni Bohdziewicz?

B.G.: Bohdziewicz był jedyną osobą ze wszystkich występujących, która tak dobitnie i jednoznacznie podjęła próbę polemiki czy wręcz sprzeciwu wobec narzucanego przymusu. Jego płomienne wystąpienie było najważniejsze na zjeździe, ze względu na postawę kontestacji, którą okazał z godną podziwu odwagą. W sposób kwiecisty, erudycyjny i dowcipny podważył wytyczne, które władze zamierzały siłą wdrożyć. Podał w wątpliwość system wielopoziomowej kontroli wewnętrznej, którą przechodził projekt filmowy od pomysłu do oceny gotowego filmu. Uznał ten system za niewydolny. Zapłacił za to wysoką cenę. W czasie zjazdu publicznie został zaatakowany i skrytykowany jako niemal wróg polityczny. Przez ponad sześć lat nie mógł realizować filmów. Pozwolono mu tylko na pracę wykładowcy. Filmowcy zgodnie wspominają, że był znakomitym pedagogiem. Jego córka Anna Bohdziewicz udostępniła nam do tej publikacji notatki, które reżyser sporządził przed wystąpieniem.

Wiele dyskusji wzbudził obraz „Robinsona warszawskiego”...

A.W.: Paradoksalnie, choć historia realizacji tego obrazu jest skomplikowana i długa, w czasie Zjazdu mówiono o nim stosunkowo niewiele. Tuż po wojnie Jerzy Waldorff w książce pt. „Śmierć miasta” opisał doświadczenia okupacyjne Władysława Szpilmana, które stały

się kanwą scenariusza Czesława Miłosza i Jerzego Andrzejewskiego. W wyniku rozmaitych ingerencji w treść scenariusza swoje nazwisko wycofał ostatecznie Miłosz, a wersja filmowa w znaczący sposób różniła się od literackiego pierwowzoru. Została zrealizowana w 1949 r., nie miała premiery, ale została publicznie pokazana uczestnikom Zjazdu Filmowego w Wiśle z muzyką Artura Malawskiego. Losy tego filmu są bezprecedensowym przykładem absurdalnych ingerencji władz nie tylko w treść, lecz także w muzykę, której autora wielokrotnie krytykowano w czasie wystąpień zjazdowych. Pod wpływem krytyki film poddano następnie licznym przeróbkom, polegającym zwłaszcza na zamianie twórcy muzyki, o której napisanie poproszono Romana Palestra. Powstała m.in., zachowana do dziś, przerobiona wersja „Robinsona warszawskiego” z muzyką Palestra. W rezultacie kolejnych poprawek i dokrętek zrealizowano ostatecznie film zatytułowany „Miasto nieujarzmione”, którego premiera odbyła się w grudniu 1950 r. Co ciekawe, partytura z muzyką Malawskiego do filmu „Robinson warszawski” zachowała się w zbiorach Filмотeki Narodowej – Instytutu Audiowizualnego.

Dlaczego adaptacja „Domu na pustkowiu” nie wzbudziła entuzjazmu Jarosława Iwaszkiewicza?

B.G.: Napisał „Dom na pustkowiu” specjalnie na potrzeby filmu, zawierając w utworze osobiste przeżycia z czasów powstania warszawskiego. Tytułowy dom na pustkowiu był w istocie w dużej mierze literacko przetworzonym siedliskiem samego pisarza w Stawisku, do którego przybywali uciekinierzy z płonącej stolicy. Pierwotna wersja filmu Jana Rybkowskiego zdawała się zachowywać ducha Iwaszkiewiczowskiej prozy, jednak – znowu – władze dokonały w film daleko idących ingerencji, wprowadzając wątki Armii Ludowej, której oczywiście w pierwowzorze nie było, oraz epizody walki klas. W efekcie powstało dzieło rażąco odległe od idei zawartej w prozie Iwaszkiewicza, odnoszącej się do AK-owskiej atmosfery końca wojny. Po latach skwitował pracę nad „Domem na pustkowiu” jednym zdaniem: „Scenariusz jest napisany tylko w połowie przeze mnie, bo tam mi dopisali czort wie co”.

Książka ujawnia, że już wtedy planowano ekranizację biografii Ludwika Waryńskiego i Mikołaja Kopernika.

A.W.: Postać Waryńskiego była dla komunistycznych władz szczególnie ważna i zasługująca na ekranowe upamiętnienie. Przygotowywano realizację filmu fabularnego o nim, do czego jednak ostatecznie nie doszło. Nawet dwutygodnik „Film” w 1949 r. rozpoczął publikację jednej z wersji scenariusza autorstwa Wiktora Woroszyńskiego pt. „Mazur Waryńskiego. Opowieść filmowa o pierwszej socjalistyczno-rewolucyjnej partii polskiej Proletariat”. W Archiwum FINA znajdują się także inne, niezrealizowane materiały literackie z tamtego okresu dotyczące tych postaci, jak np. koncepcja filmu „Wielki Proletariat”, autorstwa Jana Koechera i Leona Przemskiego. W 1953 r. powstał natomiast film dokumentalny o Waryńskim, zatytułowany „Wielki Proletariat”, w reżyserii Konstantego Gordona. Film fabularny o Waryńskim pt. „Biały mazur” powstał dopiero w roku 1978 za sprawą Wandy Jakubowskiej.

Również Kopernika uznawano wtedy za figurę propagandowo istotną. W 1948 r. zespół filmowy „Warszawa” zaczął prace koncepcyjne nad planowanym filmem o astronomie. Po negatywnych ocenach i kolejnych przeróbkach projektu zaakceptowano materiał do opracowania noweli, która jednak ostatecznie została odrzucona. Zresztą projektów filmowych, które miały szansę zmienić historię polskiego kina, ale przepadły w wyniku decyzji politycznych podjętych po Zjeździe w Wiśle, jest bardzo dużo. Pozostały po nich jedynie rozmaite materiały literackie zachowane w Archiwum FINA.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Książkę „Zjazd Filmowy w Wiśle 1949. Źródła, komentarze, opracowania” opublikowano nakładem Filмотeki Narodowej – Instytutu Audiowizualnego pod redakcją naukową i w opracowaniu Barbary Gیزی oraz Adama Wyżyńskiego – pracowników tej instytucji. Tom

inicjuje projekt naukowy (FINA) dotyczący krytycznej edycji mało znanych źródeł z okresu PRL, o istotnym znaczeniu dla historii polskiej kinematografii.



Piotr Gociek

Aktorskie kreacje Naomi Watts i Toma Hollandera to ozdoba serialu „Capote kontra socjeta”. Równie ciekawe są rozważania o relacji między życiem a literaturą

Ekipa filmowa kręci z pewnego oddalenia rozmowę przy barze. Truman Capote zwraca się wprost do oka kamery: – To prywatna rozmowa!

Stojący nieco z boku Jack Dunphy (partner Capote’a) komentuje: – Z tobą nic nie jest prywatne.

To prawda. Ale tę prawdę prezentuje fikcja w fikcji. W trzecim odcinku serialu „Capote kontra socjeta” towarzyszymy duetowi braci dokumentalistów rejestrujących przebieg wielkiego przyjęcia, które w 1966 r. wyprawił Capote – oficjalnie ku czci Katharine Graham kierującej gazetą „The Washington Post”. Każdy, kto znał pisarza, nie miał jednak wątpliwości: wszystko, co robi Truman Capote, ma na celu tylko jedno: kierowanie uwagi na Trumana Capote’a. Czarno-biały obraz stylizowany jest na materiały robocze filmu dokumentalnego, który nigdy nie powstał. Ale przyjęcie naprawdę się wydarzyło, a Albert i David Maysles naprawdę spędzili trochę czasu, filmując autora „Śniadania u Tiffany’ego”. Tyle że efektem była całkiem inna opowieść – „With Love from Truman” (1966), półgodzinny dokument dostępny dziś na YouTube. Warto go obejrzeć; dostrzeżemy wtedy, jak bardzo tymi ujęciami inspirował się Tom Hollander grający w serialu Capote’a.

PRAWDA KONTRA FIKCJA

Prawda kontra fikcja, prawda fikcji i fikcja prawdy – będziemy kręcić się wokół tych tematów nieustannie. W kinowych filmach, których bohaterem był pisarz („Capote”, 2005, i „Bez skrupułów”, 2006), twórcy skupiali się na okresie, w którym Capote pracował nad swym arcydziełem „Z zimną krwią”. Siłą rzeczy w centrum musiały stanąć pytania o to,

skąd się biorą zło i fascynacja złem. W serialu „Capote kontra socjeta” ciężkiej próbie zostaje poddane głębokie przekonanie pisarza, że ostatnie słowo należy zawsze do tego, kto opowiada jakąś historię. „Ciekawe rzeczy przydarzają się jedynie tym, którzy potrafią o nich opowiadać” – stwierdził kiedyś bodaj psycholog Amos Tversky. Racja, ale w ostatniej dekadzie życia Capote’a było odwrotnie: rzeczywistość wzięła pomstę na jej kronikarzu.

Rzecz inspirowana jest znaną i w Polsce książką Laurence’a Leamera „Kobiety Capote’a”. To opowieść o relacjach między twórcą „Śniadania u Tiffany’ego” a wpływowymi damami nowojorskiej



**SERIAL
NA DISNEY+
„KONFLIKT:
CAPOTE KONTRA
SOCJETA”
USA 2024**

co stworzył. A mówimy o przedsięwzięciu, nad którym pracował kilka dekad. Już w 1958 r. miał powiedzieć, że „Wysłuchane modlitwy” prześladowają go „jak wściekły wiatr”. Los sprawił, że nieukończona książka ukazała się dopiero w roku 1986, dwa lata po śmierci autora.

Strata przyjaźni i zaufania kręgów, w których się obracał, zaciążyła na ostatnich latach życia pisarza. Na ekranie widzimy nakręcającą się spiralę autodestrukcji (łącznie z planowanym samobójstwem i ocaleciem, które przyszło ze strony innego twórcy: Jamesa Baldwina). Oczywiście ostatecznie to nie „łabędzice”, lecz alkohol i depresja zabiły Capote’a, ale trudno

Śniadanie u Trumana

socjety, dla których był więcej niż atrakcją przyjąć: był życiowym przewodnikiem, przyjacielem, powiernikiem najbardziej prywatnych sekretów. Pasja pisarza wzięła górę i w roku 1975 Capote opublikował w „Esquire” fragment swojej nowej, nieukończonej jeszcze powieści „Wysłuchane modlitwy” (w Polsce wydanej także pod innym tytułem: „Spełnione życzenia”), nie szczędząc pikantnych i wstydliwych szczegółów oraz oferując gawiedzi łatwe do odczytania aluzje. Krótko mówiąc, zdradził zaufanie swoich „łabędzic” (tak je zwykł nazywać). One zaś sprawiły, że nowojorska socjeta odwróciła się od pisarza. Zdaniem części przyjaciół Capote’a był to cios, po którym nigdy się nie podniósł. Książka została nieukończona – choć są tacy, którzy w późniejszych latach widzieli jej pełny manuskrypt. Najprawdopodobniej w jednym z alkoholowych szaleńców Capote postanowił zniszczyć to,

oprzeć się wrażeniu, że skandal odebrał mu kilka lat życia. Tom Hollander jest wyśmienity jako Capote, w rolach żeńskich widzimy plejadę gwiazd – to Naomi Watts, Diane Lane, Chloë Sevigny, Calista Flockhart, Demi Moore, Molly Ringwald i Jessica Lange (jako matka pisarza).

„Capote kontra socjeta” to drugi sezon antologii serialowej powstającej pod wspólnym tytułem „Feud” („Konflikt”). Pierwszy sezon opowiadał o rywalizacji aktorek Joan Crawford i Bette Davis podczas produkcji (później) głośnego filmu Roberta Aldricha „Co się zdarzyło Baby Jane?” („What Ever Happened to Baby Jane?”, 1962). Rzecz wymyślona została przez trio Ryan Murphy, Jaffe Cohen i Michael Zam, przy czym oczywiście najważniejszy i najbardziej znany jest ten pierwszy, który sławę zdobył takimi serialami jak „Bez skazy”, „Glee” czy „American Horror Story”. Zdarzały mu się też przedsię-

■ wzięcia nieudane, jak dziwaczna historia alternatywna o świecie kina („Hollywood”) czy niepotrzebny prequel do „Lotu nad kukułczym gniazdem” („Ratched”). Nie zmienia to tego, że Ryan Murphy pozostaje jednym z najbardziej wziętych twórców telewizyjnych ostatnich dekad. „Capote kontra socjeta” przypomina dłaczego.

Drugim ważnym twórcą, który odpowiada za ostateczny kształt tej serii, jest Gus Van Sant („Moje własne Idaho”, „Buntownik z wyboru”, nagrodzony w Cannes „Słoni”), który wyreżyserował sześć z ośmiu odcinków. Zdawać by się mogło, że to dla niego nieodpowiednie zajęcie: Van Sant to przecież specjalista od kina o ludziach z nizin: narkomanach, outsiderach, poturbowanych psychicznie, skrzywdzonych i poniżonych. Jednak gdy się chwilę zastanowimy, wszystko wskazuje na swoje miejsce. Dekoracje to sprawa drugorzędna, skrzywdzonym i poniżonym można być na samym dnie, a także w nowojorskich salonach kąpiących od bogactwa. W serialu „Capote kontra socjeta” wszyscy są ofiarami: zarówno kobiety bezlitośnie sportretowane (ktoś powie: pokazane w krzywym zwierciadle) przez pisarza w „Wysłuchanych modlitwach”, jak i sam Capote, który nagle staje się wyrzutkiem.

PISARZ BEZLITOSNY

Słowo „bezlitosny” jest kluczowe zarówno dla dalszych rozważań nad serialem i metodą twórczą Trumana Capote’a, jak i dla lektury słynnego „La Côte Basque”, czyli opublikowanego w 1975 r. fragmentu „Wysłuchanych modlitw”. Tytuł wziął się od nazwy eleganckiej restauracji, w której Capote zwykł biesiadować ze swoimi przyjaciółkami (choć częściej one bez niego), miejsca, w którym czuły się bezpieczne i rozluźnione. Przy wykwinnych przekąskach i znakomitym winie czas mijał szybko, opinie nabierały ostrości, a przedmiotem obmowy stawał się cały świat. Jak pisał biograf Capote’a, Gerald Clarke: „Ze wszystkich utworów Trumana właśnie »La Côte Basque« można nazwać jego tour de force. Udało mu się przekształcić stolik z manhattańskiej restauracji w rozległą scenę, na której umieścił swoje Targowisko Próżności świata modnej elity” („Truman Capote. Biografia”, wydanie polskie 2008).

Czy pisarz ma prawo być bezlitosny? Ba, wręcz musi. Pobłażliwość i senty-



talizm nie służą arcydziełu. Capote pisał o tym, co widział, i tak, jak to widział. Cała reszta była tylko przebraniem (wątpliwej jakości zresztą, skoro i tak wszyscy od razu domyślili się, o kogo chodzi). Każdy, kto zadaje się z pisarzem, musi zdawać sobie sprawę, że od pierwszego „dzień dobry” jest potencjalną częścią świata, który uwieczniany będzie na papierze. Można na to utyskiwać, ale bądźmy szczerzy: będzie to coś na kształt narzekania bitej przez męża żony, która będzie miała pretensje do reportera: „No bił, bił, wiadomo, że bił. Ale po co o tym zaraz pisać w gazetach?”. Dziewczyna dająca kosza przyszłemu rockmanowi nigdy nie wie, czy nie zostanie wkrótce nieśmiertelniona w balladzie śpiewanej przez wypełnione fanami stadiony. Może jedynie mieć nadzieję, że przedstawi ją jako romantyczną pierwszą miłość, a nie jako wredną chciwą sukę.

Przyjaciółki Capote’a dostały więc to, czego mogły się spodziewać. Dokładnie

wedle metody twórcy, którego szok po wybuchu afery i zbiorowym ostracyzmie też jest zrozumiały: przecież każdego dnia nie czynił nic innego, jak tylko zachwycał towarzystwo celnymi, szyderczymi uwagami na temat wszystkiego i wszystkich. A jego z kolei pretensje muszą przypominać szok dzieciaka chwalonego codziennie za wymyślanie obraźliwych rymowanek, który nie rozumie, dlaczego pewnego razu zamiast braw dostał w skórę – cóż, trzeba było nie szargać dobrego imienia wujcia o szybkiej ręce.

I tak moglibyśmy sprawę zamknąć, ale nie jest tak prosta. Po pierwsze: Czy motywacje Capote’a były przeczyste? Czy jeno w służbie wielkiej literatury spisywał to wszystko? Otóż nie, można mieć wątpliwości. Jak pisze Gerald Clarke, Truman „wykorzystał utwór, żeby odegrać się na części swoich bogatych przyjaciół, którzy z jakiegoś powodu obrazili go. Opowiadanie [„La Côte Basque”



W serialu „Capote kontra socjeta” znajdziemy wiele intrygujących wątków, poczynając od samego pisarza oczywiście i jego relacji z samym sobą, a kończąc na skłonnościach do używek i fatalnych wyborów romansowych FOT. MATERIAŁY PRASOWE

oczywiście i jego relacji z samym sobą, a kończąc na skłonnościach do używek i fatalnych wyborów romansowych. Fascynujący jest wątek relacji Trumana z matką. Na ile ukształtowała jego widzenie świata, ze szczególnym uwzględnieniem postrzegania kobiet? Obiektywnie najważniejsza jest według mnie sprawa, o której wspominałem wcześniej – konfliktu między rzeczywistością, jaka jest, a taką, jaka staje się w rękach opisującego: Gdzie leżą granice, których przekraczać nie wolno? Czy wolność artystyczna usprawiedliwia dowolność sądu? Natomiast gdy spojrzymy na emocje, to w sercu znajdziemy właśnie relację Truman Capote – Barbara „Babe” Paley, którą fenomenalnie zagrała Naomi Watts. Każda chwila, kiedy Watts i Hollander znajdują się razem na ekranie, jest ciekawsza od dowolnej innej sceny tej opowieści. Oto oni: najzabawniejszy i najinteligentniejszy człowiek w Nowym Jorku oraz kobieta, o której Capote mawiał, że ma tylko jedną wadę: jest doskonała.

A potem przyszedł koniec – Capote miał jeszcze żyć niemal przez dekadę, planować, publikować, pisać i opowiadać, że pisze (częściej opowiadać niż pisać), lecz jego gwiazda gasła. Najlepsze lata (1966–1975) miał za sobą. W książce „Kobiety Capote-go” Laurence Leamer, szukając klucza do pisarza, sięga po fragment „Wysłuchanych modlitw”, w którym Capote dokonuje wstawki dramatopisarza Tennessee Williamsa. Jego zdaniem równie dobrze mógłby w ten sposób opisać siebie jako „przygnębionego konusa z umysłem dramaturga, który podobnie jak jedna z jego zagubionych heroin chce zwrócić na siebie uwagę zupełnie obcych ludzi, zyskać ich współczucie za pomocą półprawd. Obcych, bo nie ma przyjaciół, a nie ma przyjaciół, ponieważ jedyni ludzie, którym współczuje, to bohaterowie jego sztuk i on sam; wszyscy pozostali to widzowie”.

„Babe” marzyła o prawdziwym przyjacielu, Truman – o sławie nowojorskiego Balzaka. Czas na przypomnienie, skąd wziął się tytuł nieukończzonej powieści, której fragmentem był nieszczęsny „La Côte Basque”. To motto książki, słowa Teresy z Ávili: „Więcej łez zostało wylanych z powodu wysłuchanych modlitw niż z powodu niewysłuchanych”.

– przyp. P.G.] kryje w sobie listę jego antypatii”. Szczególnym przypadkiem jest postać Ann Woodward, której Capote nie mógł darować, że pewnego razu w Sankt Moritz nazwała go „pedałem”. Zemścił się okrutnie, rozpowszechniając o niej najbrzydlwsze plotki – zwłaszcza tę, że z zimną krwią zastrzeliła swego męża. Wedle policji był to nieszczęśliwy wypadek, choć sprawa nie była w pełni oczywista. Czym innym jednak podejrzenia, a czym innym niezachwiana pewność, z którą Capote publicznie nazywał ją morderczynią. Ann Woodward wkrótce po publikacji opowiadania „La Côte Basque” popełniła samobójstwo.

MELODRAMATYCZNY WĄTEK

Druga wątpliwość to najbardziej poruszający wątek serialu „Capote kontra socjeta” – relacja między pisarzem a najważniejszą z jego „łabędzic”, czyli Barbarą „Babe” Paley. Zarówno biografowie

autora, jak i ludzie z jego kręgu nie mają wątpliwości, że łączyła ich więź szczególna. Być może dlatego, że Capote trochę durzył się zarówno w Babe, jak i w jej mężu; być może dlatego, że szczególnie ceniła jego rady i rzeczywiście uczyniła powiernikiem najgłębszych sekretów. Tak czy inaczej czuła się szczególnie zdradzona, a z kolei to, że także ona odwróciła się od niego plecami, zabiło Capotego najbardziej. „Nie chciałem nikomu zrobić krzywdy” – płakał wieczorami Capote. A rzeczywistość dopisała do całej sprawy jeszcze jeden melodramatyczny wątek, który sprawił, że świat nastawił się wobec pisarza jeszcze bardziej wrogo: „Babe” Paley w chwili publikacji „La Côte Basque” była chora na raka, stan jej zdrowia radykalnie pogorszył się w kolejnych miesiącach; zmarła w lipcu 1978 r.

W serialu „Capote kontra socjeta” znajdziemy wiele intrygujących wątków, poczynając od samego pisarza



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE



Bezkarne



★★★★★
REŻ. KATHERINE HAYWOOD
„SPACEY: BEZ MASKI” (SPACEY UNMASKED)
WIELKA BRYTANIA 2024

Pamiętamy tę historię: u szczytu sławy Kevin Spacey zostaje wyrzucony z planu „House of Cards”, a jego serialowa postać – Frank Underwood – uśmiercona przez scenarzystów. Wszystko przez oskarżenia o molestowanie seksualne. Szeregi ofiar aktora rosną, rzecz kończy się dwoma procesami (w Nowym Jorku i w Londynie). W obydwu przypadkach Spacey zostaje uniewinniony. Nic się nie stało? Katherine Haywood, reżyser filmu „Spacey: Bez maski”, przekonuje, że było inaczej.

W dwuczęściowym dokumencie widzimy kolejnych 10 mężczyzn w różnym wieku, którzy zetknęli się ze Spaceym na różnych etapach jego kariery.

Ich opowieści są do siebie podobne: gwiazdor gustował w umięśnionych chłopcach (jest tu eksmarine, jest i bokser), których zachęcał nie tylko wszędobylskimi rączkami, lecz także wyznaniem, że hetero kręca go najbardziej, bo cała przyjemność w ich „odwróceniu”. Nie będę wchodził w szczegóły, te zeznania są wstrząsające i obrzydliwe zarazem. Dlaczego dopiero teraz? Po pierwsze, lęk przed wpływami gwiazdora. Po drugie, osobiste traumy (by publicznie opowiedzieć o krzywdzie, trzeba zaakceptować rolę ofiary). Po trzecie, reakcja na sądowe uniewinnienie. Nie, panie Spacey, wyrok wyrokiem, ale opowiemy własne historie, żeby już nikt nigdy więcej nie

dał się nabrać na pana słodkie słówka (Spacey ściągał ofiary do swego apartamentu, kusząc a to fikcyjnym przyjęciem „z Bruce’em Willisem”, a to obietnicą jakichś przysług).

Film Haywood przypomina, że to nie mizoginia i jednostronna walka płci (opresyjni faceci kontra kobiety) jest sednem problemu z molestowaniem, ale władza. To, czy drapieżnik jest hetero- czy homoseksualny, ma znaczenie drugorzędne. Najważniejsze jest to, czy z powodu wpływów i sławy czuje się nietykalny, czuje się bezkarne. Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek czuł się teraz bezpiecznym na planie ze Spaceym, nie zmienia tego płomienne (i głupie) apele niektórych innych gwiazd w obronie Kevina (ostatnio Sharon Stone, Liam Neeson czy Stephen Fry). A próby tłumaczenia aktora tym, że za jego ekscesy odpowiada homofobia w Hollywood (bał się coming outu, więc musiał pokątnie zaspokajać swe żądze), są żenujące. ©©



NOWE SERIALE: „FIASKO”

Wielki budżet, nadmiernie ambitny scenariusz (coś jak romantyczny „Atlas chmur”), bardzo kapryśna gwiazda i reżyser debiutant. Co może pójść nie tak? „Fiasco” to przebrana w dokument „making of” satyra na świat kina oparta na humorze, który znamy z „The Office”

czy „Pohamuj entuzjazm”. Dzieło Igora Gotesmana naprawdę bawi, podobnie jak jego poprzedni serial „Rodziny biznes” (także na Netflixie). ©©

Piotr Gociek

• **miniserial „Fiasco” („Fiasco”), Francja 2024**

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 3 „**Wyjęci spod prawa**” („The Outlaws”), Wielka Brytania 2024
- sezon 2 „**Żabek i Ropuch**” („Frog and Toad”), USA 2024
- miniseria „**Gwiezdne Wojny: Opowieści z Imperium**” („Star Wars: Tales of the Empire”), USA 2024

sky SHOWTIME

Zrozumieć Rosję

Po wygraniu wojny domowej bolszewicy biorą się do porządków. Hrabia Rostow dzięki popełnionym w szczeniących latach rewolucyjnym strofom zostaje oszczędzony. Musi jednak zamienić luksusowy apartament na kłitkę na poddaszu. Wyjście z hotelu jest odtąd równoznaczne z samobójstwem.

Aleksandr Iljicz, będąc uosobieniem arystokratycznych cnót (elegancji, patriotyzmu, honoru), stara się trzymać fason, bo tylko tyle mu zostało. Mijają miesiące i lata. Życie w ZSRS, nawet w izolacji, bez przerwy dostarcza dowodów na zbrodniczą naturę systemu. Hrabia idealista samym swoim istnieniem wywiera dobry wpływ na pracowników

i gości Metropoli. Ba! Udziela swemu nadzorcy z bezpieczki lekcji savoir-vivre'u i wiedzy o literaturze.

McGregor, również z wąsami, sprawdza się w rolach dżentelmenów. Niestety, zastosowanie rasowego parytetu odbiera serialowi połowę powagi. Druga połowa też cierpi, bo ekranizacja powieści Amora Towlesa dryfuje w stronę sentymentalnego kina Franka Capry. Najpierw diagnozuje komunistyczną (a może i współczesną) Rosję słowami: „Wszyscy akceptują kłamstwa i myślą tylko o sobie”, by na koniec dojść do konkluzji, że Rosjanie to dobrzy ludzie, tylko trafił się im zły rząd. ©©

Wiesław Chełmniak



★★★★★
**„DŻENTELMEN
W MOSKWIE”
 („A GENTLEMAN
IN MOSCOW”)
WIELKA Brytania
2024**

wyst. Ewan
McGregor, Mary
Elizabeth Winstead,
Johnny Harris

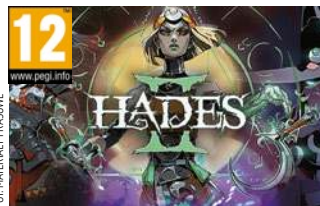


FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „HADES 2”

Życzylibyśmy sobie, żeby każda wychodząca dziś gra była tak dobra jak „Hades 2”, które na razie ograć możemy we wczesnym dostępie na PC. Część pierwsza wyznaczała standardy gatunku. Część druga jest równie dobra.

Pod warunkiem że lubi się gry roguelike o dużym stopniu trudności. Istotą jest tu walka i na typ polu H2 nie zawodzi, ale poziom trzymają też pozostałe aspekty produkcji – od fabuły, poprzez dialogi, do oprawy audio i wideo. Murowany



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

hit, pozycja obowiązkowa dla fanów gatunku. ©© **Radosław Wojtas**

- **Gatunek:** akcji, roguelike
- **Platforma:** PC
- **Producent; wydawca:** Supergiant

DZIĘKUJĘ, ADOLFIE!

HD max

Film donny Cortellesi jest idealnym prezentem na Dzień Matki. Dzień Dziecka można natomiast uczcić, oglądając „Nadzieję i chwałę”. John Boorman uwielbiał pracować na dwa etaty: reżysera i scenarzysty, co nie zawsze przynosiło błogosławione skutki. Tym razem nakręcił film o samym sobie – dziecku wojny, którą postrzegał zgoła inaczej niż rodzice. Niemcy bombardują Londyn, a Billy (alter ego małego Johna) i jego koledzy bawią się przednio. Zwłaszcza gdy lotnicze alarmy zakłócają wysiłki szkolnych pedagogów, usiłujących zaszczepić w podopiecznych dumę z Imperium Brytyjskiego, nad którym nigdy nie zachodzi słońce. Radio nadaje patetyczne mowy króla i Churchilla, lecz małolata bardziej kręci myśkowanie w ruinach tudzież konsumpcja „zdobycznego” dżemu. Chęć życia (u dorosłych objawiająca się rozluźnieniem obyczajów) zawsze zwycięży. Konstatacja mało odkrywczą, lecz szczerą godną pochwały. ©©



★★★★★
**REŻ. JOHN
BOORMAN
„NADZIEJA
I CHWAŁA” („HOPE
AND GLORY”)
WIELKA Brytania
1987**

wyst. Sebastian Rice-Edwards, Sarah Miles,
David Hayman

ACH, CI WŁOSI

KINO

Jacy są mieszkańcy Italii, wiemy dobrze. Krzykliwi, kochliwi, czasem święci, częściej grzeszni. Urodzeni aktorzy. W roku 1946 Włosi mieli dodatkowo zepsute zęby i ćmili papierosy, a amerykańscy żołnierze częstowali ich czekoladą i uczyli demokracji. Historia znana, utrwalona dla potomności przez neorealistów. Wejść drugi raz do tej samej rzeki się nie da, więc wycieczka w przeszłość, zaordynowana przez Paolę Cortellesi, ma inny, prześmiewczy charakter. Komediodramat, który na Półwyspie Apenińskim oglądano chętniej niż „Barbie”, zmierza do celu z gracją, nieosiągalną dla Benigniego. Jest nim ostateczna kompromitacja patriarchy. Bohaterka ma urodę, inteligencję i małżonka, traktującego ją jak ścierkę do podłogi. Dzieci patrzą, sąsiadki współczują, teść wyrokuje, że Delia jest „dobrą gospodynią, tylko niepotrzebnie się odzywa”. Italofile i męscy szowiniści – do kina biegiem marsz! ©© **Wiesław Chełmniak**



★★★★★
**REŻ. PAOLA
CORTELLESI
„JUTRO BĘDZIE
NASZE” („C'È AN-
CORÀ DOMANI”)
WŁOCHY 2023**

wyst. Paola Cortellesi, Valerio Mastandrea,
Emanuela Fanelli



KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Życie z literą „P”

Pamiętaj, skąd jesteście, mieszkamy w domu pod numerem siedemnastym we wsi Niemojew, w gminie Klonowa, w powiecie łódzkim. Naszą ojczyzną jest Polska – niczym przykazanie brzmiały te ojcowskie słowa zasłyszane przez małego Janka po tym, jak niemiecki właściciel jego i całej jego rodziny pobił go i skopał. A ojcu, wymachując przed nosem pistoletem, zagroził śmiercią. Mógł to zrobić w każdej chwili. Ich życie nie miało bowiem żadnej wartości. Wątpili nawet czasem, czy są jeszcze ludźmi czy tylko istotami stygmatyzowanymi przez przyszytą do ubrania literę „P”.

Wywieziono ich z domu późną zimą 1944 r. Dwoje dzieci, ojca, matkę i jej głuchoniemą siostrę. Przeżyli piekło. Potem mówiono, że byli w Niemczech na robotach. Nic takiego. To przecież nie obóz zagłady.

W Łodzi dzieci odebrano rodzicom i zabrano kilka ulic dalej, na Przemysławą. Mieścił się tam Polen Jugendverwahrlager der Sırcherheitspolizei, czyli obóz koncentracyjny dla dzieci od lat dwóch do 16. W skrócie wyglądało to tak: dla dorosłych był Auschwitz, dla dzieci Litzmannstadt.

Do czego potrzebne były niemieckiemu okupantowi polskie dzieci? Do pracy! W końcu „każdego da się zmusić do pracy, nawet dwuipółletnie Marysie i Zosie. Mogą kleić papierowe torby, sortować łądzkie słomy i układać gałązki wikliny, ale wyplatanie tub i koszy na amunicję należało do obowiązków starszych dzieci, jak również ładowanie naboików karabinowych, szycie chlebaków, naprawa mundurów wojskowych i butów. Drobne paluszki za to sprawnie wykrawały skórzane paski do masek prze-



FOT. ALBERT ZAWADA PAP

ciwgazowych. Nie umiesz? A czego to się nie można nauczyć?”. Uczono więc, stosując jedną i tę samą metodę: bicie.

Niespełna trzyletnia Krystyna zgłębiła więc tajniki klejenia kopert, sześćioletni Janek zwrócił zaś uwagę „nordyckim” wyglądem i pewnie pojechałby gdzieś do Germanii, gdyby ojcu nie udało się za ślubne obrączki wykupić dzieci. I znów rodzina była razem, co było jedynym powodem do radości, której zresztą nie należało okazywać. Podobnie jak rozpacz, bo ta była zabroniona – jak wszystko.

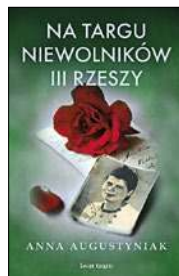
Na targ niewolników do Pforzheim, gdzie ich przywieziono, zjeżdżali się gospodarze z całej górnej Badenii, od Stuttgartu do Karlsruhe. Potrzebowali rąk do pracy, narzekali jednak: „– Kogo nam tu zwieźli, co za resztki, spójrz na te odpadki z Warthegau? Uwierzysz? – jeden bauer pyta drugiego i kręcą głowami. Sami dobrze wyglądają w spodniach przed kolano, długich wełnianych skarpetach i w skórzanych kurtkach. W swojej skórze też się czują dobrze, przywykli do handlu żywym towarem od początku wojny”.

Na robotach najważniejsze były zakazy: „Wszędzie i na wszystko zakazy: na słuchanie radia, na obsługiwanie polskich robotników u fryzjera, szewca i piekarza, na wyjście do kina, gospody na tańce czy na spotkanie z innymi Polakami, na jazdę rowerem, pociągiem czy czymkolwiek, co by znaczyło przemieszczanie się”. Mszę w kościele mieli raz w miesiącu, o wyznaczonej godzinie. Bez Niemców, bez śpiewów, a i bez spowiedzi w konfesonach.

W pracy starali się, świadomi tego, że gdy „dobrze robisz, wtedy nikt cię nie wyśle do lagru i nie spali w krematorium”. Ludzki odruch ze strony właścicieli budził zdumienie. Bo „czyżby w Niemcu naprawdę próżno było szukać człowieka”?

W kwietniu 1945 r. wszystkim przymusowym robotnikom kazano iść pod ratusz, skąd ciężarówkami wywieziono ich na leśną polanę, gdzie ta wyprawa do Niemiec miała dobiec kresu. Uratowały ich nalot i bombardowanie. Wielu zginęło, innym się poszczęściło. Do Oschelbronn i sąsiednich wiosek weszli Francuzi i Amerykanie. Niemki cieszyły się, że to nie Sowoci. Radość ich trwała krótko, żołnierze amerykańscy gwałcili tak jak czerwonoarmiści. A co z Polakami? Poodpruwali sobie litery „P”.

Wstrząsająca, znakomicie napisana książka Anny Augustyniak kończy się przypomnieniem: Podczas procesu przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze deportacje do Trzeciej Rzeszy ludności cywilnej i zmuszanie jej do niewolniczej pracy na rzecz Niemiec zostało uznane za zbrodnie wojenne, za zbrodnie przeciw ludzkości. ©



★★★★★

ANNA
AUGUSTYNIAK
„NA TARGU
NIEWOLNIKÓW
III RZESZY”
ŚWIAT KSIĄŻKI,
WARSZAWA 2023



POCZYTANKI

To, co najważniejsze

Zyć prawdziwie. Żyć autentycznie. Urzeczywistnić się. Zrealizować wiarygodne istnienie. Istnieje tylko jedno dzieło – zbawienie. Mogę być świętym, mogę być niebieskim ptakiem. Wszystko jedno. Nie to jest ważne. Ważne jest, żebym żył naprawdę – zapisuje w eseju „Godzina owoców” Béla Hamvas. Węgierski pisarz, odnotowując, że religijny nigdy nie był, dostrzega, że najważniejsze doświadczenia w jego życiu miały charakter religijny. A gdy analizuje czas, gdy pogrążony był w najczarniejszych myślach, ratuje się, sięgając do św. Jana od Krzyża i Jakoba Böhmego. „Noche oscura del alma. Noc ciemna duszy”. I opowiada Hamvas: „Noc ciemna spada na człowieka wtedy, gdy sięgnie po niego ręka Boga, by go wybrać. To dotknięcie jest straszliwe”. Ale innej drogi nie ma. „Przemiana. I urzeczywistnienie. Mogę być zbawiony tylko wtedy, gdy jestem do końca prawdziwy”.

Ten jeden tytułowy esej z tomu „Godzina owoców” wart jest osobnego wydania i nieustannego czytania, ten jeden esej czyni z Hamvasa (genialnego węgierskiego pisarza i myśliciela) postać na miarę bohatera słynnej noweli Lwa Tołstoja „Śmierć

Iwana Iljicza”. Jeszcze bardziej te tony wybrzmiewają w „Monologu apokaliptycznym”. Ale tak wiele jest tu także innych wspaniałych tekstów. W „Melancholii późnych dzieł” znajdujemy rozważania nad paradoksem zrozumienia: wiek i doświadczenie, kolejne przebyte „noce ciemne duszy” przynoszą twórcę wiedzę nieporównywalną z żadną inną, głębszą. Tyle że w chwili jasności i ostatecznego zrozumienia nie ma jak się nim podzielić, bo jest już za późno.

Blisko jesteśmy zatem negacji dzieła twórczego w ogóle: to, co ważne, jest niemożliwe. A co z tym, co mniej ważne? Przecież „Pisać warto tylko rzeczy ostateczne. Życiorys? – taki, jak na rogach ulic opowiadają członkowie Armii Zbawienia, kiedy wyśpiewują historię swojego nawrócenia? To należy do kręgu literatury”. Tylko literatury. A literatura nie jest rzeczą ostateczną.

Jest... Cóż, jest tylko literaturą. „Ja chciałbym położyć podwaliny pod naukę o świętości życia” – wyznaje Hamvas. W poprzednim przełożonym u nas tomie („Księga gaju laurowego”, 2022) znaleźć mogliśmy erudycyjne i głębokie eseje o klasykach. W „Godzinie owoców” znajdziemy coś jeszcze ważniejszego. ©©



★★★★★
BÉLA HAMVAS
„GODZINA OWOCÓW”
WYDAWNICTWO PRÓBY 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Trzecia na polskim rynku powieść noblisty z 2022 r. nie zawodzi. Choć to opowieść o dwóch imigrantach, to rzecz jest pozbawiona publicystyki. Elegancka, mądra i smutna proza z pytaniem o tożsamość w centrum.



ABDULRAZAK GURNAH
„NAD MORZEM”
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Od Burgundów, ludu, który osiedlił się w Galii w V w., do Burgundczyków, rodu „książąt równym królom” i potężnego księstwa średniowiecza, wbitego między Niemcy i Francję. Fascynujący kawał zapomnianej historii Europy.



BART VAN LOO
„BURGUNDZCY”
ZNAK

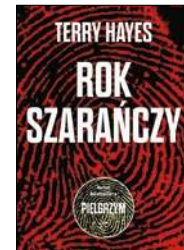
Środkowa część monumentalnej trylogii francuskiego historyka nosi podtytuł „Ofiary” (w pierwszej była mowa o katach, w trzeciej będzie o popelcznikach i współwinnych). Trudno przecenić wagę tej publikacji.



THIERRY WOLTON
„HISTORIA KOMUNIZMU NA ŚWIECIE”, T. 2
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Thriller szpiegowski z niespodziewaną zmianą gatunku przed finałem – nowa powieść autora bestsellerowego „Pielgrzyma”, cenionego scenarzysty (m.in. drugi i trzeci film z serii „Mad Max”). ©©

recenzuje Piotr Gociek



TERRY HAYES
„ROK SZARAŃCZY”
REBIS

KOMIKS TYGODNIA: „DIETER LUMPEN”

Od Turcji do Karaibów, od Chin do Wenecji – Dieter Lumpen to człowiek, który wszędzie czuje się jak u siebie. Cykl opowieści o tym poszukiwaczu przygód to dzieło duetu Jorge Zentner i Rubén Pellejero (ten ostatni odpowiada m.in. za kontynuację cyklu Hugona Pratta „Corto Maltese”). Pięć



JORGE ZENTNER, RUBÉN PELLEJERO
„DIETER LUMPEN”
LOST IN TIME 2024

albumów plus prolog w jednym tomie. Na Zachodzie klasyka, u nas – nowość. ©©

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Surrealistyczne światy

Z okazji setnej rocznicy ogłoszenia przez André Bretona w 1924 r. „Manifestu surrealizmu” Muzeum Narodowe w Warszawie przygotowało przekrojową wystawę „Surrealizm. Inne mity”, która gromadzi ponad 300 dzieł sztuki. Najstarsze z nich powstawały w dwudziestoleciu międzywojennym, najnowsze to prace współczesne. To m.in. obrazy, rysunki, rzeźby fotografie – eks-

ponaty z kolekcji warszawskiego muzeum, a także wypożyczone z kolekcji polskich i zagranicznych. A wśród nazwisk, których łącznie jest ponad 60, znajdują się m.in. Zbigniew Dłubak, Zdzisław Beksiński, Erna Rosenstein, Władysław Hasior, Maria Anto, Alfred Lenica, Teofil Ociepka, Jerzy Kujawski, Urszula Broll, Goshka Macuga, Zbigniew Makowski, Max Ernst, Wifredo Lam.

Jak piszą autorzy: „[wystawa] porzuca ortodoksyjny sposób myślenia o samym surrealizmie jako o historycznym ruchu mającym określone ramy czasowe i geograficzne na rzecz potraktowania go jako zjawiska globalnego, inkluzywnego i różnorodnego”. ©©

GDZIE? Muzeum Narodowe w Warszawie
KIEDY? do 11 sierpnia



FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE



FOT. MUZEUM CZARTORYSKICH HANK

KOŚCIUSZKOWSKA WRAŻLIWOŚĆ

I kolejna rocznicowa ekspozycja – choć rocznica z marca – tym razem z okazji 230. rocznicy złożenia przez Tadeusza Kościuszkę przysięgi na krakowskim rynku, która rozpoczęła insurekcję. Wystawa nie skupia się na działalności politycznej Naczelnika, ale pokazuje jego romantyczne i wrażliwe oblicze. Kościuszko pięknie szkicował (i nie były to tylko rysunki umocnień wojskowych). Na wystawie zobaczymy więc m.in. jego rysunki, a także korespondencję. ©©

GDZIE? Muzeum Narodowe w Krakowie
KIEDY? do 11 sierpnia

POŻEGNANIE

Polak w podróży



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

Siedem lat temu przeprowadziłem dla „Do Rzeczy” wywiad z Janem A.P. Kaczmarskiem. Okazał się jednym z najsympatyczniejszych artystów, z jakimi miałem przyjemność rozmawiać. Nie tylko mówił ciekawie i wyczerpująco, lecz także miał dystans do swoich dokonań oraz realistyczne podejście do świata kultury i sztuki. Opisując pracę w Hollywood, stwierdził: „Liczy się bardziej sukces komercyjny niż sama jakość dzieła”.

Jan A.P. Kaczmarek chciał początkowo zostać dyplomatą, więc wybrał się na studia prawnicze. Staż w awangardowym Teatrze Laboratorium Jerzego Grotowskiego odmienił jego życie. Związał się z opozycyjnym

Teatrem Ósmego Dnia z Poznania i wraz z Grzegorzem Banaszkiewiczem, doktorem filozofii, założył w 1976 r. Orkiestrę Ósmego Dnia. Orkiestra była tylko dwuosobowa, a Kaczmarek grał na XIX-wiecznej fidoli Fischera. Co więcej, stworzył, używając dwóch smyczków, własny styl gry na tym posiadającym 60 strun instrumencie.

Pierwszy zagraniczny koncert duet dał w Berlinie w 1978 r. Tak rozpoczął nieustającą podróż po świecie. Kursował między festiwalami teatralnymi, muzycznymi i filmowymi rozrzuconymi na wszystkich kontynentach. W 1982 r. po raz pierwszy przybył do Stanów Zjednoczonych, by siedem lat później osiąść na stałe w Kalifornii. Hollywood dostrzegło



FOT. KAROLINA WISZTA/REPORTER

go po filmie Agnieszki Holland „Całkowite zaćmienie”. Dziewięć lat później dostał Oscara za muzykę do filmu „Marzyciel”. Od 2011 r. coraz częściej gościł w Polsce na sprawę festiwalu Transatlantyk, którego był pomysłodawcą.

21 maja kompozytor przegrał, w wieku 71 lat, nierówną walkę z rzadką chorobą neurologiczną zwaną zanikiem wieloukładowym. ©©

Płomień i prawda



Krzysztof Masłowski

Poeta, pisarz, tłumacz. Ale bard? Nie inaczej. W latach 80. zeszłego wieku utwory Edwarda Stachury cieszyły się obłądną popularnością, a spośród nich największą – piosenki, i to one w największym stopniu wpłynęły na stworzenie legendy, która spowiła postać zmarłego śmiercią samobójczą w 1979 r. niespełna 42-letniego twórcy.

Nie sposób orzec, które z jego piosenek były najlepsze. Masowa publiczność najlepiej zapamiętała te śpiewane przez estradowych zawodowców: „Piosenkę dla Potęgowej” w interpretacji Tadeusza Woźniaka czy wywołującą w okresie solidarnościowym wielkie wrażenie „Piosenkę dla robotnika rannej zmiany” („W tramwaju tłok i nie ma Boga / Jest ramię w ramię, w nogę noga / Kimanie na stojąco jest”). Ale były przecież i prześmieszny „Hymn rozpustników” („Przeczytamy dzieła Prousta! / Jak rozpusta to rozpusta!”), i „Zabraknie ci psa”, „Życie to nie teatr”, „Biała Lokomotywa” czy „Nie rozdziobią nas kruki” ze sławnym wezwaniem: „Ruszać się, Bruno, idziemy na piwo; / Niechybnie brakuje tam nas”.

Przekonywał słuchaczy, że prawdziwie wielkim osiągnięciem nie jest opiewany przez Walta Whitmana „brookliński most / Ale przemienił / W jasny, nowy dzień / Najsmutniejszą noc – / To jest dopiero coś!”. A w istocie to, co wydaje się proste, jest najtrudniejsze:

**Zaprawdę godnym
i sprawiedliwym**

**Słusznym i zbawiennym jest
Żeby człowiek
W życiu onym
Sprawiedliwym
Był i godnym.**

Gdy w 1973 r. przyznano mu Nagrodę Kościelskich, wracając z Genewy, wydał w Paryżu jedną trzecią otrzymanych pieniędzy na zakup gitary. Brazylijskiej – pisał o niej z dumą w „Dziennikach”: „Przepiękny instrument. Nie mogłem mu się oprzeć [...]. Drzewo – palisander. Z mocnym dnem. Czas będzie pracował dla tej gitary, dobywając różne odcienie tonalne”.

W tym samym, 1973 r. wydał Stachura w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej książkę zatytułowaną „Piosenki”. W nakładzie 1 tys. egzemplarzy. Siedem lat później – powtarzam za Marianem Buchowskim, autorem biografii barda zatytułowanej „Buty Ikara” (2014) – oficyna Pojezierze wystartowała z „Piosenkami” też ostrożnie, zaczynając od 7 tys. egzemplarzy. W trzecim wydaniu. W roku 1986 nakład był już stutysięczny.

Krytycy literaccy na ogół wybrzydzały na piosenki Stachury. Nic dziwnego, tego rodzaju twórczość uważana była wtedy za gorszą jakby z samej natury rzeczy. O Noblu dla Dylana nikomu się nie śniło i choć „tekściarzom” zazdrośczone dochodów z tantiem, to pisanie utworów do śpiewania uchodziło za literacką konfekcję, by nie powiedzieć – tandetę. Wreszcie poeta, do tego uznany, to był ktoś, a bard – litości; nawet nazywający siebie „pieśńmierzem” sławny Rafał Urban, uwieczniony przez Stachurę w balladzie „Słaski Sokrates”, pisząc o swoim młodym przyja-

cielu, nazywał go warszawskim „trubadurkiem”. Nie trubadurem – „trubadurkiem”.

Znawcy literatury, którzy zachwycali się prawie wszystkim, co wychodziło spod pióra Stachury, miłośnicy jego poezji nie znajdowali dla piosenek tegoż autora jednego dobrego słowa. „Stachura nie podciągnął poziomu polskiej piosenki poetyckiej. Zabłąkał się na jej przygnębiających peryferiach” – wyrokował Ziemowit Fedecki.

Z problemem śpiewanych utworów Steda poradził sobie natomiast Zbigniew Bieńkowski, który zakwalifikował je jako songi. A „song – wywodził – ma swoją tradycję odrębną. Żywioł, spontaniczność jest jego, jeśli się tak można wyrazić, modelem. U nas za jedyną świadomą próbę nawiązania do tego gatunku uważam twórczość piosenkarską Edwarda Stachury. Stachura pisze właśnie songi”.

Do tych songów można było mieć jednak zastrzeżenia. „Stachura jako instrumentalista był mizerny, »znał może ze trzy akordy« – pisał Marian Buchowski – a potem wymyślał też do swych piosenek melodie, prosił o utrwalenie ich zapisem nutowym. Najpierw – utrwał na wszelki wypadek, potem – aby mieć prawo także do kompozytorskiego honorarium. Kompozytorskich oporów ani kompleksów też nie miał”. Ale nie wyszedłby zapewne Stachura ze swym śpiewaniem z towarzyskiego, środowiskowego kręgu, gdyby nie pomoc czy współpraca osób, takich jak przede wszystkim Jerzy Satański, które tym jego piosenkom nadały odpowiedni kształt artystyczny. Inna sprawa, że dla tysięcy fanów twórczości Stachury najlepsze i najważniejsze



FOT. MACIEJ KLOS/GAFA/PAP

były nagrania „domowe” Steda, „nieskażone” przez profesjonalistów. Takie jak te, które znalazły się na płycie Poltonu z 1985 r. Zupełnie inaczej traktowano choćby „Mszę Wędrującego” z muzyką Romana Ziemlańskiego, choć Anna Chodakowska przemierzyła z nią pół świata i, w sumie, jej zasługi dla popularyzacji twórczości Stachury są niepodważalne.

Stachurę, którego do radiowej Trójki przyprowadził Józef Kofta, kierujący tam wtedy rozrywką Jacek Janczarski tak wspominał po latach: „Śpiewał podobno źle. Miał niedobłą dykcję. Podobno fałszował. Natomiast miał w sobie coś, bez czego piosenka tzw. autorska, poezja śpiewana czy też wiersz zaśpiewany – jak to się brzydko mówi – nie ma żadnego sensu. Bo Edek miał w sobie taki płomień i prawdę, przy której nieważne było, czy on śpiewa wyraźnie, czy śpiewa czysto i tak dalej, i tak dalej”.

Swoim życiem i twórczością dowiódł, że:

**byli tacy co się rodzili
byli tacy co umierali
byli także też i tacy
co im to było mało.**

A pozostały po nim piosenki, których – zgodnie z tytułem jednej z nich – „nie da się przestać śpiewać”:

**Słońcem byliśmy!
Cieniem jesteśmy!
Słońcem będziemy!
Dziećmi swych dzieci!
di capo senza fine. © ©**

Bezwstydnie kopiują głupoty z Ameryki. Ależ wstyd! – ten komentarz Elona Muska, właściciela marki Tesla oraz portalu X, tamże zamieszczony, dotyczył nowych standardów wprowadzonych w urzędzie miasta Warszawy przez prezydenta Rafała Trzaskowskiego. Była to odpowiedź na wpis Iana Milesa Cheonga (konto @stillgray, ponad milion obserwujących), Malezyjczyka komentującego regularnie amerykańską i światową politykę. Cheong, a więc i Musk odnosili się nie tylko do kwestii zakazu umieszczania krzyży w przestrzeni urzędu, lecz także do reguł dotyczących „niedyskryminacji”, w tym zwracania się do osób o „odmiennej orientacji psychoseksualnej”.

Diagnoza Muska jest treściwa i stuprocentowo celna. Załącznik do zarządzenia nr 822/2024 „w sprawie wprowadzenia Standardów równego traktowania w Urzędzie m.st. Warszawy”, zawierający szczegółowe zestawienie wspomnianych standardów (jest ich w sumie 16), to w istocie solidna porcja wokeistowskiego bełkotu, typowego dla przeżywających intensywną zapaść intelektualną amerykańskich uniwersytetów, opanowanych przez skrajną lewicę. Moda, prąd czy ruch „woke” bywa tłumaczony na polski jako „przebudzenie”, ale chyba lepszym tłumaczeniem byłoby „pobudzenie”. Na pewno nie umysłowe, za to bardzo emocjonalne. Faktycznie, podobieństwo jest uderzające.

LEWICOWE WYTTCZNE DLA URZĘDNIKÓW

Dokument trudno się czyta już choćby z powodu obsesyjnego używania męskich i żeńskich form wyrazów – choć forma męska, np. „mieszkańcy”, w oczywisty sposób dotyczy także kobiet – ale też z powodu stosowania absurdu i niezgodnego z regułami języka zapisu typu „elastyczny_a” czy „tłumacz_ka”. To oczywiście wyjście naprzeciw ideologicznemu podejściu do języka, zgodnie z którym używanie męskich form na określenie osób obojga płci ma być wyrazem językowej opresji.

Ta próba zawojuwania przez lewicę języka prowadzi do zrozumienia, czym w swojej głębszej istocie jest dokument podpisany przez prezydenta stolicy. W przypadku wojny o język mamy mianowicie próbę przekonania ludzi, że coś, co dotychczas uznawali za neutralne, natu-

Petent, Jego Cesarska Mość



Łukasz Warzecha

W Warszawie chodzi nie tylko o zakaz wieszania krzyży w placówkach. Rafał Trzaskowski próbuje brutalnie forsować alternatywną rzeczywistość z marzeń lewicowców. Urzędnicy będą musieli zwracać się do petentów takimi zaimkami, jakich ci sobie zażyczą

ralne, zwyczajne – męskie formy opisujące obie płcie czy słowa takie jak „Murzyn” albo „Cygan” – tak naprawdę niesie w sobie potencjał dyskryminacji i zła.

W przypadku standardów pana Trzaskowskiego na pierwszy rzut oka mamy po prostu do czynienia ze skrajnie lewicowymi wytycznymi dla urzędników. W istocie jednak to o wiele więcej: to dążenie do pokazania, że faktyczna równość i neutralność wcale nimi nie są i że aby je osiągnąć, trzeba pójść o wiele, wiele dalej, niż mogłoby się wydawać zwykłemu, rzetelnemu pracownikowi urzędu. Tak jak neutralne słowo „Murzyn” ma być obraźliwe, tak samo profesjonalne i neutralne podejście do klienta z zaburzeniami, stawiającego nonsensowne żądania wobec urzędnika, ma być dyskryminujące.

Kluczowy pod tym względem jest wstęp do dokumentu. Dział I to „Słowniczek”. Tam autorzy aktu wyjaśniają, czym według nich jest dyskryminacja. Czytamy: „Dyskryminacją może być też sytuacja, w której pozornie neutralna praktyka, postanowienie prawne lub przyjęte kryterium w rzeczywistości stawia niektóre osoby lub grupy w gorszej sytuacji”. W tym zdaniu leży oczywista sprzeczność. Jeśli praktyka albo regulacja są neutralne, to nie są dyskryminujące. Jeśli są dyskryminujące, to nie są neutralne. Jak tę sprzeczność rozumieć i wytłumaczyć?

Chodzi o to, że pan Trzaskowski dąży do wytworzenia niejako alternatywnej,

postępowej rzeczywistości. Mówi swoim urzędnikom, że to, co stanowi polskie prawo – które nie operuje pojęciami takimi jak „tożsamość płciowa” czy „orientacja psychoseksualna”, ale po prostu widzi mężczyzn i kobiety – a także to, co oni sami uważają za zwykłe, należyte potraktowanie klientów urzędu, w istocie może być ogromnie dyskryminujące. To ten sam mechanizm co przekonywanie ludzi kilka lat temu, że jeśli cwaniaka Michała Szutowicza nazywali mężczyzną, to popełniali olbrzymi grzech dyskryminacyjny, bo powinni byli mówić o nim „ona” i nazywać go „Margot”.

Zarządzenie prezydenta Warszawy głośne stało się głównie ze względu na kwestię zakazu umieszczania symboli religijnych w urzędzie. Jednak ważniejsze nawet jest to, że nakazuje ono urzędnikom stworzenie w ich umysłach alternatywnej rzeczywistości pozaprawnej, w której radośnie dokazują takie Margoty, jest nieokreślona liczba płci, a do ewidentnie zaburzonego wariata należy podchodzić z szacunkiem i jego rojenia traktować jako przejaw chwalebnej „różnorodności”. To ostatnie słowo jest kluczowe dla zrozumienia, z czym mamy do czynienia. Standard 7 powiada: „Mówiąc o tym, że potrzeby określonej grupy ludzi różnią się od siebie, używaj do ich opisu słowa »różnorodne«. Ludzie, charakteryzujący się odmiennymi cechami, mogą różnić się także tym, czego potrzebują, by wygodnie

korzystać z danej usługi. Nie wyróżniaj tych potrzeb, nazywając je »innymi« czy »szczególnymi«, są one po prostu różnorodne. Skoro „różnorodne”, to wszystkie są na tym samym poziomie normalności, a właściwie nawet więcej: normalności i normy nie ma w ogóle. Jak śpiewał Jacek Kaczmarski w piosence „Postmodernizm”: „Wszystkie mody, wszystkie style równie piękne są – i tyle”.

SKUTKI BĘDĄ FATALNE

Gdyby potraktować wytyczne dosłownie, to w myśl zasad zawartych w standardzie 7 – „Jeśli osoba, z którą rozmawiasz, zwróci się do Ciebie o stosowanie w rozmowie z nią jakiejś konkretnej formy językowej – uwzględnij to” – gdybyśmy przyszli do urzędu i zażądali od pracownika, aby zwracał się do nas „Najjaśniejszy Panie, Wasza Cesarska Mość”, pracownik powinien tak właśnie postąpić. I absolutnie nie wolno mu uznać, że ma do czynienia z wariatem. Granica wariactwa zostaje zatarta. Dokładnie tak jak w przekazie skrajnej lewicy, dotyczącym całości relacji społecznych, gdzie trwa walka z pojęciem normalności – tyle że tutaj przybiera to postać urzędowego aktu.

Ten sam standard 7: „Nie sięgaj po argument, że »zawsze się tak mówiło« albo »wszyscy tak mówią« o jakiejś grupie. Język ulega zmianom, a jednym z trendów w jego współczesnych przemianach jest rezygnacja z określeń odbieranych jako krzywdzące przez osoby, które kiedyś nie mogły skutecznie przeciwstawić się takim praktykom”. Ostatnie zdanie jest kluczowe: urzędnik ma zrezygnować z określeń „odbieranych jako krzywdzące”, a więc ma zapomnieć o tym, że istnieją jakiekolwiek obiektywne kryteria. Wytyczną ma być tylko to, co dana osoba całkowicie subiektywnie uzna za obraźliwe. W tym sensie zarządzenie idealnie wpisuje się w system, który obecna władza próbuje wdrożyć również poprzez nowelizację kodeksu karnego i wprowadzenie do niego kar za „mowę nienawiści” w odniesieniu do m.in. „tożsamości płciowej”.

Oczywiście autorzy standardów przyznają, że w dokumentach trzeba zachowywać formy odpowiednie dla polskiego ładu prawnego, ale „w przypadku osoby transpłciowej, której wygląd zewnętrzny może odbiegać od stereotypowych wyobrażeń związanych z płcią zapisaną

w oficjalnych dokumentach, zwraca się do niej taką formą imienia czy zaimków określających płeć, jakie sama zasygnalizuje”, a także „osoby transpłciowe przed tranzycją, czyli posiadające dokumenty zgodne z płcią przypisaną przy urodzeniu, z którą się nie identyfikują lub których wygląd fizyczny nie odpowiada stereotypowym wyobrażeniom na temat określonej płci, mogą chcieć, by zwracać się do nich w bezpośrednim kontakcie w inny sposób, niż wynikałoby to z dokumentów”. Od urzędnika wymaga się zatem, żeby funkcjonował w dwóch równoległych rzeczywistościach. Mając przed sobą klienta, który w dokumentach jest identyfikowany jako kobieta, w swoich formalnych działaniach musi się tego trzymać. Zarazem jeśli klientka uprze się, że jest „transpłciowa”, to prowadząc rozmowę, ma się do owej osoby zwracać formą męską, nijaką albo jeszcze lepiej – w liczbie mnogiej czy też w formie z iksem: „przyszłxm”. Konia z rzędem temu, kto wie, jak to wymówić.

Skutki dla funkcjonowania struktur miasta będą fatalne. Po pierwsze – opisane wyżej aspekty zarządzenia, a także zakaz umieszczania w przestrzeni urzędu symboli religijnych mogą być traktowane jako ordynarne narzucanie pracownikom określonego światopoglądu. Dokument mówi również o obowiązkowym udziale w szkoleniach równościowych, które nie są przecież niczym innym jak rodzajem ideologicznej indoktrynacji. Urząd będzie, rzecz jasna, twierdził, że jego podejście jest „neutralne”, podczas gdy w istocie jest to brutalne forsowanie jednej ideologicznej opcji.

Po drugie – urzędnicy, zamiast skupiać się na odpowiedniej obsłudze interesantów, będą musieli pilnować, żeby być odpowiednio „inkluzywni” i unikać „dyskryminacji”. Dokument stanie się idealną pożywką dla intrygantów i donosicieli. Oficjalnie urząd miasta, w obliczu głośnej krytyki, oznajmił, że to tylko wytyczne i kar za ich nieprzestrzeganie nie będzie. Zarazem w załączniku do zarządzenia znajdujemy wprost zachęty do uprawiania donosicielstwa: „Reaguj na dostrzeżone sytuacje nierównego traktowania lub ryzyka ich wystąpienia” (standard 2) i: „Każda osoba mieszkająca w Warszawie oraz każda osoba pracująca w urzędzie [...] może zgłosić naruszenie standardów, którego

była świadkiem_nią lub które dotknęło ją bezpośrednio ze strony przedstawicieli lub przedstawicierek miejskich instytucji”.

To nie tylko zaproszenie dla donosicieli wewnątrz urzędu. To także sformułowana wprost zachęta dla lewackich aktywistów, aby urząd wizytowali i donosili na każdego urzędnika, który nie okaże się wystarczająco „inkluzywny”. Łatwo sobie wyobrazić, w jakim stopniu w wielu przypadkach wpłynie to na wydajność pracy. Ludzie, zamiast na wypełnianiu swoich zadań, będą się koncentrowali na wykrywaniu „tajemniczych klientów” z organizacji „równościowych”.

A KONSTYTUCJA?

Po trzecie – zarządzenie tworzy rozwiązania co najmniej wątpliwe prawnie. Tak jest z zakazem manifestowania swoich przekonań religijnych – tu prawnicy wskazują na sprzeczność z art. 53 ust. 2. Konstytucji RP – a także z fragmentem, który mówi: „Osoba może upoważnić osobę partnerską tej samej płci do odebrania w swoim imieniu dokumentów lub do kontaktowania się w sprawie dziecka ze szkołą, poradnią psychologiczno-pedagogiczną lub inną instytucją”. Nie jest to prawda. Kodeksy rodzinny i opiekuńczy jednoznacznie stwierdzają, że obowiązek opieki nad dzieckiem – co wiąże się z przekazywaniem informacji na jego temat – spoczywa na rodzicach. Owszem, osobę trzecią można upoważnić do uzyskiwania informacji na temat dziecka m.in. ze szkoły, ale ta osoba może to uprawnienie wykorzystać jedynie w sytuacji, gdy opiekun prawny jest niedostępny – nie zaś rutynowo.

Zarządzenie prezydenta Warszawy jest jego manifestem ideologicznym. Być może obliczonym na najbliższe wybory, ale może już na te kolejne – prezydenckie. Jeśli tak, to jest to śmiały gambit. Skrajność przyjętych rozwiązań jest dla większości Polaków wciąż szczęśliwie nieakceptowalna. Zwłaszcza w drugiej turze wyborów na prezydenta RP kandydaci muszą być akceptowalni dla wyborców centrum. Rafał Trzaskowski w świetle wydanego przez siebie aktu prawnego staje się tymczasem nie tylko liderem skrajnie lewego skrzydła PO, lecz także – zgodnie z komentarzem Elona Muska – jest forpocztą rewolucji pobudzonych, próbując przymusem narzucić ją swoim podwładnym.



FOT. ADOBE STOCK

W poszukiwaniu matki



Teresa Stylińska

Dwadzieścia lat temu, w 2004 r., British Council z okazji 70-lecia swego powstania postanowiła sprawdzić, jak w świecie nieanglojęzycznym odbierany jest język angielski. W 102 krajach przeprowadzono więc sondaż, by wyłonić 70 najładniejszych angielskich słów. Wygrała matka: „mother”

Od tego czasu jednak wiele się zmieniło – w kierunku wówczas niewyobrażalnym. Czy jeszcze parę lat temu komukolwiek przyszłoby do głowy, że „matka”, słowo fundament we wszystkich kulturach, w świecie zachodnim może komuś przeszkadzać? Że zostanie uznane za „określenie opresyjne”? Że można usuwać je z dokumentów i różnie rozumianej przestrzeni publicznej, wprowadzając „rodzica 1” i „rodzica 2”? Na domiar złego dowodząc, nie bez demagogii, że chodzi tylko o to, by ludzie

mogli sobie wybrać, co i jak mówią. Nikt przecież nikomu niczego nie zabrania. Jeżeli ktoś upiera się przy „matce”, to jego sprawa, w sferze publicznej jednak takie słowo bywa bardzo nie na miejscu.

Pytań jest zresztą więcej. Czy dzisiaj wynik sondażu byłby taki sam? Możliwe, że tak, bo zakusy na słowo „matka” odbierane są źle, jako przejaw agresywnych i zarazem niemądrych prób kształtowania nowego języka w nowym świecie – no i dbałości o dobre samopoczucie społeczności LGBT. Czy w innych językach słowo „matka” – Mutter, madre, mère – też byłoby na czele? To również możliwe. Zawarty w słowie „matka” ładunek emocjonalny jest przecież wszędzie taki sam.

I – jak ktoś celnie zauważył – „matka” to słowo, które łączy początek i koniec życia. Prawie zawsze jest pierwszym, którego człowiek wypowiada – i bardzo często również ostatnim.

WYPIERANA PRZEZ „MAMĘ”

Warto mieć też świadomość, że słowo „matka” jest dzisiaj wystawione na przeróżne niebezpieczeństwa również w warstwie czysto semantycznej, bez podtekstu ideowego. W Polsce jednym z takich zagrożeń jest postępująca infantylizacja. Nawet na forum publicznym matka jest

wypierana przez mamę. Wielkiej szkody to nie robi, tym bardziej że zdrobnienie nie odbiera słowu „matka” ciepła ani emocji, może nawet ma je pogłębić. Jednak nuta czasem poufałości, a czasem właśnie infantylizmu bywa irytująca.

Żeby daleko nie szukać: właśnie mamy za sobą kolejny Dzień Matki, obchodzone w wielu krajach święto, zarazem rodzinne i nieco komercyjne. Niestety, Dzień Matki od dobrych paru lat umiera śmiercią naturalną, zamieniając się w Dzień Mamy! Teraz to już prawie norma i nieliczne instytucje i firmy, które oparły się nachalnemu trendowi – szczególnie trochę ich jeszcze jest – zasługują na słowa uznania. Za wycucie, wierność tradycji i nieuleganie modzie, która może mieć po trosze materialny podtekst. Bo przecież prezenty kupuje się dla kochanej mamy, czyż nie?

To jednak nic w porównaniu z iście kuriozalną nowinką językową, którą serwują nam ekolodzy, gdy apelują o ratowanie Mamy Ziemi! Ktoś, kto to językowe чудо – czy też raczej cudactwo – wymyślił, pewnie nie czuje, że każdej, nawet najważniejszej sprawie śmieszność może jedynie zaszkodzić.

„Mamy” masowo wkroczyły też do nekrologów. Coraz rzadziej widnieją w nich

słowa współczucia „z powodu śmierci matki”, bo jej miejsce, niezależnie od kontekstu, zajmuje „mama”. Choć kontekst to w tym wypadku podstawa. „Mama” jest jak najbardziej na miejscu, gdy bolesna strata dotknęła kogoś, kto jest nam bliski. Nuta osobista jest wówczas naturalna. Gdy jednak kondolencje w tak poufalej formie kierowane są do prezesa, dyrektora, profesora – kogoś, z kim pracowników firmy czy instytucji łączą jedynie więzy służbowe – „mama” stanowi zgryzot i w języku, i w obyczajach.

„RODZIC, KTÓRY URODZIŁ”

W urzędowych rejestrach stanu cywilnego w Holandii nadal figurować będzie słowo „matka”. Propozycję, by zastąpić je określeniem „rodzic, który urodził dziecko”, rząd kategorycznie odrzucił, co jest tym bardziej godne odnotowania, że Holandia na drodze postępu wyprzedza większość krajów o kilka długości. Tym razem jednak zwyciężył zdrowy rozsądek, a może też po trosze poczucie, że w ustępstwach na rzecz środowisk LGBT posunięto się o wiele za daleko.

– „Matka” to wspaniałe słowo, zasługujące na miejsce w naszym prawie – uzasadniał sprzeciwi minister spraw wewnętrznych Hugo de Jonge, dodając, że próba zastąpienia „matki” nowym określeniem to „niepotrzebny błąd”.

Czy tylko błąd? Gdyby nie czujność protestanckiej partii SGP, ów błąd łatwo przemknąłby się do prawa, sprytnie ukryty wśród legislacyjnych planów. Okazało się, że określenie „rodzic, który urodził dziecko”, wprowadzone wcześniej do przepisów z myślą o kobietach po tranzycji – co z kolei uzasadniano argumentem, że nie można nazywać „matką” kogoś, kto w dokumentach figuruje jako mężczyzna – miało być stosowane powszechnie. „Rozwiązanie wymyślone dla małej grupy chciano rozciągnąć na wszystkie kobiety” – mówił oburzony deputowany SGP Andre Flach w rozmowie z dziennikiem „Algemeen Dagblad”.

Geert Wilders, lider prawicowej Partii Wolności (PVV), która ma stanowić trzon właśnie powstającego rządu, uznał całą tę sprawę za „przejaw szaleństwa ideologii woke”.

Nie wiadomo, kto wymyślił nową nazwę dla holenderskich matek, bo do autorstwa nikt się jakoś nie chce przyznać.

Bez odpowiedzi pozostaje także pytanie, jak rzecznicy zmian zamierzali nazywać ojca. Czy miałby on zostać „rodzicem, który nie urodził dziecka”? A może jego obecność należałoby pominąć milczeniem? Skoro ambitne plany progresistów zostały zduszone w zarodku, to raczej się tego nie dowiemy.

W PUNKCIE KRYTYCZNYM

Cała ta afera miała miejsce na początku marca i może to być moment godny zapamiętania. Może on bowiem – delikatnie, to prawda – sygnalizować zarysowujący się odwrót od idei postępu i genderowej nowomowy. W tych sprawach Holandia jest jak papierek lakmusowy: zalegalizowano tu wszystko, co należało zalegalizować, poczynając od homomażeństw i eutanazji, a kończąc na zażywaniu miękkich narkotyków pod życiowym okiem państwa. Władze takiego kraju powinny więc z uznaniem przyjąć ideę wyrugowania słowa „matka”, niesie ono bowiem treści niekoniecznie dziś pożądane. Jak to się stało, że tego nie zrobiły?

Przywykliśmy już do tego, że środowiska lansujące postęp w jedynie słusznym wydaniu w sposób bezwzględny wymuszają zmiany, zresztą nie bez pomocy politycznych idiotów. Dlatego wiadomoś, że rząd Holandii zdołał się temu oprzeć, może jedynie cieszyć. Możliwe zresztą, że środowiska genderowe przekroczyły po prostu granicę, poza którą coraz mniej mogą liczyć na zrozumienie i akceptację. Seria skandali, mających w tle przestępstw, którzy zmieniając płeć, próbowali ująć przed sprawiedliwością, mocno zaskoczyła zwłaszcza środowiskom trans (a w Szkocji doprowadziła nawet do upadku rządu). Tu i ówdzie władze, świadome, że dzieje się źle, zaczęły podejmować kroki, by ograniczyć wpływ gender na młodzież. W Wielkiej Brytanii np. genderowe nauczanie ma zniknąć ze szkół, zwłaszcza w młodszych klasach.

Zakusy na słowo „matka” stanowią, jak się zdaje, punkt naprawdę krytyczny. Zaledwie rok temu brytyjska opinia publiczna z oburzeniem przyjęła informację, że General Medical Council, instytucja nadzorująca pracę lekarzy, ze swych wewnętrznych rozporządzeń i dokumentów usunęła słowo „matka”. Jego miejsce zajęło „parent” – rodzic. Podobnie postąpił Bank Anglii i trudno

doprawdy pojąć dlaczego. Wśród przeciwników „matki” znalazły się także uniwersytet w Manchesterze („Gdybym był jego studentem, nie sądzę, bym uważał, że jest sens płacić tam za studia” – zauważył Toby Young, sekretarz generalny Free Speech Union), różne szkockie organizacje i francuskie władze szkolne, które w 2019 r. wprowadziły zmiany w dokumentach: „ojciec” stał się „rodzicem 1”, a matka „rodzicem 2”.

„RODZIC A” I „RODZIC B”

Pionierem w pełnym tego słowa znaczeniu jest jednak Hiszpania. To Hiszpanie wymyślili nową terminologię rodzinną. Już w 2006 r., po wejściu w życie ustawy o związkach jednopłciowych, w hiszpańskich metrykach urodzenia pojawili się „rodzic A” i „rodzic B”. Homorodzice nie mogli przecież doświadczać dyskryminacji, również w wydaniu urzędowym. Pomysł wzbudził zdumienie, niejednego szokował, a wielu oburzał – jak się jednak okazało, utorował drogę nowej rzeczywistości.

Czy jednak po blisko 20 latach postępowej rzeczywistość nie zaczyna się wyczerpywać? Czy władze Holandii, gdy zapewniają, że słowo „matka” musi pozostać, czynią tak, bo zdają sobie sprawę z nastrojów społecznych? Być może. Zwycięstwo prawicy w wyborach do parlamentu jesienią ubiegłego roku było jak sygnał ostrzegawczy, choć główne pole starcia dotyczyło oczywiście innych dziedzin. Geert Wilders nie stroni jednak od podkreślania, że tradycja i przeszłość to nie są rzeczy, które wolno lekceważyć, a Holendrzy słuchają go coraz uważniej.

Nastroje zresztą w tej akurat kwestii nie są niczym nowym. Czy ktokolwiek przy zdrowych zmysłach splamił się mówieniem o „rodzicu, który urodził dziecko” albo o „rodzicu B”? Nie robią tego, jak sądzę, nawet ci, którzy nową terminologię w pocie czoła wymyślili.

W tych określeniach bowiem nie ma ani piękna, ani treści. A – jak to ujęła Ann Widdecombe, niegdyś polityk brytyjskiej Partii Konserwatywnej, gdy na łamach dziennika „The Independent” dzieliła się refleksjami przy okazji wspomnianego sondażu British Council – ich wyjątkowe połączenie to jest istota słowa „matka”.

Gdyby wyjście z kryzysu było proste – nie trzeba by go było szukać. Nic dziwnego, że propozycje przełamania kryzysu napotykają sprzeciw. Pewnego świeckiego szafarza Komunii Świętej, komentującego mój artykuł „Tropy odnowy Kościoła”, „mocno zabolął passus, z którego wynikałoby, że posługa świeckich szafarzy świadczy jakoby o mniejszym szacunku dla Eucharystii”. W swym artykule pisałem coś wręcz przeciwnego, bardzo wyraźnie odrzucając bezsensowną „licytację szacunku”. Pisałem nie o indywidualnych uczuciach, ale o społecznych (w tym wypadku – kościelnych) formach wyrazu wiary i wynikających z niej uczuć; w tej kolejności.

Nigdzie nie podawałem w wątpliwość subiektywnego szacunku dla Eucharystii jej świeckich szafarzy. Owszem, jeżeli coś podawałem w wątpliwość, to nie fakt, ale wagę takiego subiektywnego nastawienia. W wypadku tej Najświętszej Rzeczywistości – Boga dotykalnie obecnego wśród nas – nie nasze uczucia są najważniejsze, ale świadomość Tego, w którego obliczu jesteśmy. Parafrazując znane zdanie Piusa XI o wierze, powiedzieć można, że nie dlatego Bóg-Człowiek jest realnie obecny w Eucharystii, bo w to wierzymy, ale dlatego w to wierzymy, bo Chrystus jest w Eucharystii realnie obecny.

Historyczne formy czci dla Eucharystii dlatego są tak ważne, bo nie są projekcją indywidualnych inwencji, pokoleniowych mód czy tym bardziej adaptacji do świeckiej kultury. Formy te są w najgłębszym tego słowa znaczeniu dziełem całego Kościoła. Owocem zarówno pobożności, jak i porządkującej ją teologii. Są przede wszystkim wyrazem wspólnej wiary w Realną Obecność Chrystusa w Eucharystii, wyrastają z tej wiary i przekazują ją; i są także odpowiedzią na wyzwania, które wiara ta napotykała w ciągu wieków, na kryzysy wiary eucharystycznej i ciągle powracające duchowe słabości.

CUD, A NIE RYTUAŁ SPOŁECZNY

Dla Kościoła formy wspierające i wyrażające wiarę w Eucharystię są tak cenne, gdyż podkreślają Jej cud, świętość, niecodziennność, a mają jednocześnie charakter „umiarkowany” (bo określony), odpowiadający religii Wcielenia i ludzkiej naturze. W obliczu Objawienia Boga rzeczą naturalną jest, że człowiek nie wie,

Eucharystia: ratunek Kościoła



Marek Jurek

W wypadku Najświętszej Rzeczywistości – Boga dotykalnie obecnego wśród nas – nie nasze uczucia są najważniejsze, ale świadomość Tego, w którego obliczu jesteśmy

FOT. ADBBE STOCK

co czynić, wszystko wydaje się niedostateczne. W czasie Przemienienia Pańskiego Piotr, nie wiedząc, co robić, chciał Zbawicielowi powiedzieć cokolwiek. „Nie wiedział bowiem, co należy mówić, tak byli przestraszeni” (Mk 9, 6). Naszej konfuzji przychodzi więc z pomocą Kościół, który mówi po prostu: „Upadnij na kolana, ludu czcią przejęty”! I to wystarczy – nie dla wiary, ale dla adoracji, jako cielesne oparcie dla tego, co duchowe.

Swoją drogą warto zauważyć, że jeśli podważy się potrzebę klękania bezpośrednio przed Chrystusem, którego przyjmujemy, to tym bardziej można porzucić praktykę klęczenia w czasie wspólnej adoracji. I tak Eucharystia, wobec której zachowujemy się „zwyczajnie”, podlega „zezwyczajni”. Dla nieukształtowanego obserwatora (czy nawet uczestnika) zaczyna wyglądać jak „symbol”, jak uzmysławiający pewną czysto duchową prawdę chwilowy obrzęd, a nie jak Realna Obecność, którą, owszem, przez obrzędy czcimy, ale która je nieskończenie przekracza i trwa. Benedykt XVI mówił, że problem niemieckich roszczeń eucharystycznych wynika z tego, że Komunia Święta stała się bardziej rytuałem społecznym niż aktem wiary. Rytuałem, w którym wszyscy mogą, a nawet – jako w „rytuale braterstwa” – wszyscy powinni uczestniczyć, skoro naszym ideałem ma być „społeczeństwo otwarte”.

Większość tego, co wyżej napisałem, odnosi się do przyjmowania Komunii Świętej, nie do jej udzielania. Jej udzielanie według Tradycji zastrzeżone było zawsze dla kapłanów i diakonów. Nadzwyczajne szafarstwo dopuszczają, jak przypomina św. kard. Newman, okoliczności naprawdę nadzwyczajne – prześladowania. To był ten wyjątek, który uzasadniał odstępstwo od reguły potwierdzającej pokój i świętość Kościoła. Dlatego upowszechnianie nowych praktyk ma charakter tak bardzo desakralizujący.

PRZYJACIELE SZAFARZE

Jeżeli chodzi o świeckich szafarzy, to wszyscy, których znam, są bez wyjątku gorąco wierzącymi katolikami, traktującymi z powagą swoją posługę. Nad grobem jednego z nich, mego przyjaciela, posła Stanisława Rakoczego, przemaszowałem. Nikt z tych, których znam, o tę funkcję się nie ubiegał. Po prostu ją im zaproponowano.

**W obliczu Objawienia Boga
rzeczą naturalną jest,
że człowiek nie wie, co
czynić, wszystko wydaje się
niedostateczne**

Jak więc wrócić do tradycyjnej praktyki, skoro nietradycyjne nowości zaangażowały (i wykorzystały) tak wiele dobrej woli? W sposób katolicki – w prawdzie i miłości; na pewno nie w sposób brutalny. Można potraktować funkcje nadzwyczajnych szafarzy jako osobisty dożywotni przywilej (którego zresztą i tak nie należałoby nadużywać), który jednak – jako eksperyment – przestanie już być dalej udzielany. Zostanie zaniechany w duchu przyszłego oczyszczania odchodzącej przeszłości. Można zaproponować im przygotowanie do święceń diakonów. Nie po to, by utrwalac instytucję stałych diakonów, ale jako praktyczne wyjście z obecnej sytuacji. Można szukać innych rozwiązań, szanując ludzkie uczucia i dobre intencje, ale zawsze zachowując pierwszeństwo prawdy i dobra wspólnego. To, o czym piszę, to nie żadne propozycje, a jedynie założenia dowodzące, że przy dobrej woli można i porządek Tradycji przywrócić, i nie ranić tych, którzy w dobrej wierze od niego odeszli. Święty Jan Paweł II uczył, że miłość wymaga wyobraźni.

Piszę o tym dla wyjaśnienia, ale nie to stanowiło istotę mojego postulatu. Najważniejsze jest po prostu, by Kościół stale umieszczał Eucharystię w centrum swego życia. Nie tylko pobożności osobistej, lecz także życia całego Kościoła. Bo właśnie obecność Emmanuela, Boga z nami, jest najbardziej dostrzegalnym nadprzyrodzonym znamieniem Kościoła założonego przez Chrystusa. Aby to docenić, ważny jest też sensus Ecclesiae, zmysł Kościoła, zdolność wyjścia poza skupiony na sobie „wewnętrzny świat”. Jak pisał bowiem młody ks. Joseph Ratzinger: „Człowiek nigdy przecież nie składa ofiary sam jeden, tak samo jak wobec Boga nigdy też nie jest sam jeden, ale zawsze w jakieś polis [...]. Relacja ja-Ty między człowiekiem i Bogiem, w tej postaci, w jakiej rozwinęła się z protestanckiego rozumienia wiary, w prachrześcijań-

skiej świadomości wiary nie ma żadnego miejsca”. Myślmy więc więcej o Kościele, o racjach jego wiary, o jej wspólnym wyznawaniu – mniej o naszych prywatnych uczuciach czy prywatnych wspólnotach.

CHOĆBY WSPÓLNOTA CIERPIENIA

Wróć do mojego komentatora. Wyznał też, że kilka razy usłyszał jako szafarz od wiernych, a raczej – jak pisze – od „najwierniejszych z wiernych, tych klęczących na schodkach”, wypowiedziane „z pogardą »ja tylko od kapłana«”.

To dobra ilustracja problemów, które niesie ta nowa praktyka. Mój komentator poczuł się zraniony, ale trudno, żeby tych, o których pisał, nie raniła jego sugestia, że broniąc tradycyjnych form kultu eucharystycznego, uważają się za „najwierniejszych z wiernych”, uprawnionych do „pogardy” dla innych. Niestety, taki komentarz robi wrażenie nacechowanego czystym resentementem.

Bo przecież, jak wyżej pisałem, w sytuacjach trudnych, np. wtedy, gdy jesteśmy rozdarci między przyjaźnią a prawdą, gdy czujemy obowiązek reakcji, a nie chcemy ranić osób, często właśnie nie wiedząc, „co należy mówić” (por. Mk 9, 6), mówimy cokolwiek. Szkoda, że tak trudno zrozumieć, że konformizm (nawet jeśli wynika z życzliwej uprzejmości) czy respektowanie apodyktycznie wprowadzonej „nowej parafialnej tradycji” nie stanowią dostatecznych racji, by zwolnić się we własnym sumieniu od obowiązku dochowania wierności aktom wiary przekazany przez Kościół i od nieuczestniczenia w czymś, co się uważa w głębokim przekonaniu za odchodzące od ducha Kościoła. I że takie spotkania – jak np. nadzwyczajnego szafarza i tradycyjnego katolika – są dla obu stron trudne.

Są trudne, i dobrze. Czasami w duchowych czy moralnych sporach, gdy strony wyraźnie dzielą stanowiska, podstawowe porozumienie może ocalić „wspólnota bólu”, świadomość, że druga strona godzi w racje, których bronimy, w dobrej wierze, a my – choć bronimy tego, co słuszne – w sposób niezamierzony musimy kogoś ranić. Właśnie w takich razach od wieków powtarzamy: „Amicus Plato, sed magna amica veritas”, a w tym wypadku: „Choć szafarze są naszymi przyjaciółmi, to z wierności sumieniu nas to nie zwalnia”.

Katolicy wierzą, że wszystko, co chciał objawić ludziom Bóg, objawił przez swojego Syna, Jezusa Chrystusa. Kościół nazywa to objawieniem publicznym – każdy ochrzczony jest zobowiązany do tego, by je przyjąć i w nie wierzyć. Fakt ten nie wyklucza jednak, że Bóg zechce udzielić ludziom jakiejś szczególnej pomocy w zrozumieniu pewnych prawd w danym momencie historycznym albo po prostu wzmocnić w cudowny sposób pobożność. Może do tego dojść na drodze tzw. objawienia prywatnego, to znaczy szczególnej sytuacji, w której jakaś osoba lub grupa osób otrzymuje specjalny znak lub komunikat z nieba.

Kościół naucza jednak, że nikt nie ma formalnego obowiązku wierzyć w prawdziwość takich objawień. Pomimo tego niektóre z takich wydarzeń uchodzą za tak wiarygodne, że traktuje się je na ogół z dużą dozą zaufania. W naszych czasach dotyczy to zwłaszcza objawień Matki Bożej w Fatimie. Maryja miała ukazać się w 1917 r. portugalskim dzieciom, by wezwać do pokuty i przestrzec świat przed strasznymi konsekwencjami błędów Rosji. Wprawdzie żaden z katolików nie musi w to wierzyć, bo objawienie fatimskie nie zawiera niczego, co byłoby niezbędne do zbawienia; jednak relacja dzieci z Fatimy jest tak wiarygodna, a przesłanie Matki Bożej tak prorocze, że wśród pobożnych katolików panuje zgoda co do prawdziwości tych wydarzeń (zgoda wzmocniona wieloma wypowiedziami i działaniami papieży). Innym przykładem dość powszechnie akceptowanych objawień prywatnych jest polski Gietrzwałd, gdzie Maryja miała przemówić do dwóch dziewczynek w 1877 r., albo też Guadalupe w Meksyku, gdzie Najświętsza Panienka miała ukazać się w XVI stuleciu.

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat liczba domniemanych objawień prywatnych zaczęła dość szybko narastać. Coraz częściej pojawiały się doniesienia o tym, że Jezus Chrystus, Matka Boża, św. Józef albo nawet sam Bóg Ojciec mieli zesłać komuś jakieś znaki czy słowa. Takich fenomenów są na całym świecie tysiące, a część z nich uzyskała dużą popularność.

Stolica Apostolska postanowiła zająć się tym problemem już w 1978 r., wydając pierwsze w historii normy dotyczące rozoznawania takich wydarzeń. Dokument wydany jeszcze za pontyfikatu św. Pawła VI



Paweł Chmielewski

Mało jest w Kościele rzeczy tak kontrowersyjnych i elektryzujących katolicką opinię publiczną jak objawienia prywatne. Medjugorje, Garabandal czy Trevignano Romano: dla jednych to uświęcone miejsca, w których objawiła się Matka Boża, dla innych – źródła wielkiej mistyfikacji. Stolica Apostolska ogłosiła właśnie nowe normy dotyczące domniemanych zjawisk nadprzyrodzonych

wprowadzał wiele konkretnych narzędzi, którymi powinien posługiwać się Kościół. Kluczową rolę w rozeznawaniu przyznano biskupowi miejsca, gdzie dochodzi do danego fenomenu. W praktyce stwarzało to jednak wiele różnych kłopotów i trudności. Biskupi nie zawsze mieli odpowiednie kompetencje do tego, by rozstrzygnąć daną sprawę. Niekiedy nie byli w stanie zapanować nad wydarzeniami rozgrywanymi się w ich diecezji: w epoce masowych mediów, nawet przed erą Internetu, informacje o rzekomych cudownościach i objawieniach rozchodziły się tak szybko, że kult i związane z tym emocje prędko wylewały się na sąsiednie diecezje czy nawet kraje. Niewystarczalność dokumentu z 1978 r. wraz z coraz większą liczbą rzekomych objawień prywatnych sprawiły, że w ostatnich latach w Stolicy Apostolskiej zaczęto myśleć o wydaniu nowych

regulacji. Prace rozpoczęły się w 2019 r. Tekst nowych norm przygotowano w najważniejszym urzędzie Watykanu do spraw doktryny, Dykasterii Nauki Wiary, kierowanej od niedawna przez Argentynczyka kard. Victora Manuela Fernández. Przedłożył on papieżowi dokument do zatwierdzenia, co zaowocowało 17 maja jego publikacją. Od teraz każde objawienie prywatne należy rozpatrywać w zgodzie z nowymi normami. Dotyczy to również innych wydarzeń mających opinię cudowności, jak krwawiące hostie, płaczące figury etc.

NIE BISKUP BĘDZIE DECYDOWAŁ

Względem dokumentu z 1978 r. najnowsze normy cechują się trzema zasadniczymi zmianami. Pierwsza z nich dotyczy autorytetu, który ma rozstrzygać o danym wydarzeniu. Watykan pozo-

stawiał znaczącą rolę biskupowi miejsca: to on ma rozpoczynać działania sprawdzające, organizować komisję badającą fenomen, dbać o właściwe duszpasterskie ujęcie problemu. Zasadniczo jednak to nie biskup będzie wydawać ostateczną ocenę dotyczącą statusu domniemanego objawienia czy cudowności, ale rzymska Dykasteria Nauki Wiary. Bez jej udziału nie będzie już możliwe podjęcie żadnej naprawdę ważnej decyzji.

Taka centralizacja może dziwić w epoce, w której wiele mówi się o coraz większym uznaniu władzy lokalnej w Kościele. W tym wypadku, jak sądzę, kierunek zmian jest w pełni słuszny. Historycznie zdarzało się, że jeden biskup podejmował pozytywną decyzję o jakimś wydarzeniu, a jego następca – negatywną; albo też odwrotnie. Innym razem biskup zachowywał się nieco zbyt opieszale, co stwarzało później różnorakie komplikacje duszpasterskie. Dotyczy to zwłaszcza sytuacji, które zyskują sobie popularność w więcej niż jednej diecezji – w dobie Internetu to przecież bardzo łatwe. Dziś tak naprawdę żaden domniemany cud ani prywatne objawienie nie są już lokalne, stąd konieczne, by o sprawie decydować na wyższym poziomie niż tylko miejscowy.

Dруга zmiana to swoisty urzędowy sceptycyzm. Normy kard. Fernández'a i papieża Franciszka narzucają biskupom konieczność podjęcia wielu kroków mających na celu opanowanie każdego rodzającego się fenomenu objawieniowego i każdej cudowności, z zajęciem i umieszczeniem pod kuratelą domniemanego cudownego przedmiotu właśnie. W tekście norm podkreśla się, że Duch Święty może działać i przemawiać do różnych osób czy grup, ale równocześnie kładzie się bardzo silny nacisk na wyjątkowość i pełną wystarczalność publicznego objawienia w Chrystusie. Normy wskazują na wyraźną preferencję wobec wiary zachowującej dystans emocjonalny i rozumowy wobec domniemanych objawień i cudów.

Ten element nowego dokumentu Watykanu może u niektórych współczesnych katolików wzbudzać krytycyzm i powodować wrażenie, jakoby Stolica Apostolska chciała w zarodku dławić rozchodzenie się informacji o różnych rzekomo nadprzyrodzonych fenomenach. Ryzyko racjonalistycznej przesady oczywiście istnieje, ale sądzę, że w naszych czasach duża

ostrożność jest wskazana. W ostatnich dziesięcioleciach namnożyło się w świecie katolickim tak wiele różnych rzekomych zjawień, że zaczęło to przysparzać autentycznych i niekiedy bardzo poważnych kłopotów. Również w Polsce nie brakuje wiernych, których cechuje postawa aparycjonizmu: przywiązywania do domniemanych komunikatów albo znaków z nieba zdecydowanie za dużej wagi. Watykańskie normy mogą być trzeźwiące.

NIC O PRAWDZIWOŚCI

Trzecią kwestią jest hierarchia ocen, które Dykasteria Nauki Wiary może wydać, rozeznając dany fenomen. Kluczowa jest całkowita rezygnacja z ogłaszania, że jakieś objawienie prywatne albo cud są bezwzględnie prawdziwe. Od teraz najbardziej pozytywną z możliwych decyzji będzie udzielenie „nihil obstat” – to znaczy stwierdzenie przez Stolicę Apostolską, że w danym wydarzeniu nie ma nic, co byłoby sprzeczne z doktryną i moralnością, a zatem jeżeli w ocenie biskupa miejsca ma ono walory duszpasterskie, to może być promowane bez ryzyka wywoływania jakiegokolwiek szkody duchowej. Udzielenie „nihil obstat” nie mówi jednak nic o prawdziwości danego fenomenu. Kościół chce zachować ostrożność, by nie sugerować, że przyjęcie wiary w dane objawienie prywatne czy cudowność jest konieczne do zbawienia.

Dykasteria ma ponadto wachlarz mniej pozytywnych ocen: od zalecenia pewnej ostrożności, przez objęcie danego wydarzenia nadzorem, aż do zakazu jego propagowania i wreszcie stwierdzenia, że bez cienia wątpliwości nie ma ono charakteru nadprzyrodzonego. Wszystko zależy od wielu szczegółowych kwestii; normy zawierają cały zestaw kryteriów, które należy przykładać do wszystkich fenomenów.

Co może oznaczać to w praktyce? Na razie możliwe są jedynie spekulacje, ale wydaje się, że czeka nas w najbliższym czasie wiele ważnych rozstrzygnięć. Nie zawsze muszą one wiązać się z całkowitym odrzuceniem jakiegos domniemanego cudownego wydarzenia.

Wystarczy spojrzeć na słynne Medjugorje. Zgodnie z nowymi normami Kościół mógłby docenić walory duszpasterskie tego miejsca: setki tysięcy pielgrzymów, liczne spowiedzi i nawrócenia. Ponadto

jeżeli przyłożyć kryteria przewidziane w dokumencie do historii tych domniemanych objawień, to budzą się poważne wątpliwości. Chodzi o takie problemy jak czystość przekazywanej doktryny, okoliczności rozpoczęcia zjawień, ich częstotliwość czy sposób życia niektórych osób związanych z wydarzeniami. Być może Medjugorje uzyska „nihil obstat” ze względu na walory duszpasterskie, choć, podkreślimy, nie mówiliby to nic o prawdziwości rzekomych objawień. Inną możliwością jest nieco niższa ocena („prae oculis habeatur”, „mieć przed oczyma”), która wskazywałaby na zasadniczą wartość duszpasterską wydarzenia przy uznaniu problemów związanych ze wzmiarkowanymi wyżej okolicznościami.

Wydaje się też, że kryteria przedstawione w nowych normach uzasadniają też całkowicie negatywny osąd, który w marcu tego roku wydał włoski biskup Marco Salvi wobec rzekomych objawień z Trevignano Romano, zakazując wszelkiego kultu i uznając, że nie są nadprzyrodzone. Tu w grę wchodziły poważne wątpliwości co do uczciwości i moralnego życia rzekomej wizjonerki oraz bardzo dwuznaczna treść zjawień. Być może zakaz zostanie teraz jeszcze potwierdzony przez Dykasterię.

Wielu katolików może być niezadowolonych z watykańskiego dokumentu, zwłaszcza jeżeli spodziewali się, że Kościół „już wkrótce” uzna jakieś domniemane objawienia za prawdziwe, co miałoby uzasadnić ich praktyki pobożnościowe. Takiego potwierdzenia nie będzie. W sumie jednak cała społeczność katolicka może na normach dużo zyskać, bo jeżeli biskupi i księża potraktują nowe regulacje poważnie, to możliwe stanie się okiełznanie rozbuchanych postaw aparycjonistycznych i ukrócenie swoistego szantażu emocjonalnego, który stosowali niekiedy zwolennicy tych czy innych cudowności wobec sceptyków. Kościół przypomina, że wszyscy mamy obowiązek wierzyć w jedno objawienie w Chrystusie; że jest stosowne i korzystne wierzyć w takie objawienia prywatne jak Fatima, ale że zarazem nie trzeba, a nawet nie należy gonić za wieloma nowymi cudownościami. Można sobie jedynie życzyć, by wszystkie dokumenty pontyfikatu Franciszka były tak rozsądne jak najnowszy.

W obcym mundurze pod Monte Cassino



FOT. ANDRZEJ STOK



Adam Hlebowicz

Wielu Polaków poległych w słynnej bitwie zginęło w obcych mundurach, także niemieckich. Wielu z nich było siłą wcielonych do Wehrmachtu

W Monte Cassino i najbliższej okolicy znajdują się cztery cmentarze wojenne. Najbardziej wyeksponowany jest cmentarz polski, ładnie architektonicznie zaprojektowany i dobrze widoczny z opactwa benedyktyńskiego. Jest też

najmniejszy, bo jest na nim pochowanych 1072 oficerów i żołnierzy. Cmentarz Wspólnoty Brytyjskiej (angielski) znajduje się o 6,5 km na południe od Cassino, w miejscowości Sant'Angelo in Theodice. Spoczywają tu poza rodowitymi Brytyjczykami także Kanadyjczycy, Australijczycy, Nowozelandczycy, Hindusi i himalajscy górale z walecznego plemienia Gurkhów. Łącznie 4271 poległych.

Cmentarz francuski znajduje się w miejscowości Venafro, ok. 25 km od Cassino w kierunku wschodnim. To największy francuski cmentarz wojenny we Włoszech. Jest podzielony na dwie części. W pierwszej pochowani są żołnierze rdzennie francuscy, natomiast w drugiej żołnierze dawnych kolonii francuskich, Marokańczycy, Algierczycy i Tunezyjczycy. Początkowo pochowano

tu 4,6 tys. poległych, lecz obecnie jest ich 3414, ponieważ po wojnie część ciał została ekshumowana i przeniesiona do ich rodzinnych krajów.

Zdecydowanie największy cmentarz jest niemiecki, znajdujący się w miejscowości Caira, niespełna 5 km na północ od Cassino. Spoczywa tu 20 076 żołnierzy, poległych nie tylko w walkach między styczniem a majem 1944 r. o słynne wzgórze, lecz także w całych południowych Włoszech, z wyjątkiem Sycylii. Wiele szczątków zostało ekshumowanych po 1956 r. i przeniesionych w to miejsce.

W CAIRA

Na każdej z tych innych niż nasza nekropolii odnajdziemy polskie nazwiska. Zdecydowanie najwięcej nagrobków z polskimi, słowiańskimi nazwiskami

znajduje się na cmentarzu niemieckim. Kiedy znajdziemy się w Cair, dostrzeżemy powiewające nad cmentarzem cztery flagi. Niemiecką, włoską, miejscowej prowincji i Unii Europejskiej. Ta ostatnia może budzić w tym miejscu zdziwienie. Nie ma takiej flagi na cmentarzach polskim czy francuskim. Kiedy zagłębiamy się w kolejne alejki ułożonego stożkowo miejsca pochówku, musi nas zaszokować naprawdę ogromna liczba naszych nazwisk. Część zachowała czysto polskie brzmienie: Franz Adamowski, Karl Kruk, Karl Piotrowski, Willi Skrzypczak, Alois Swoboda. Inne są już zgermanizowane: Otto Tomaschewski, Ludwig Woytkowiak. Następna kategoria to nazwiska śląskie, w różnej transkrypcji: Max Schendzielorz, Rudolf Wenglorz. Po dłuższym spacerowaniu śmiało można oszacować liczbę polskich nazwisk na kilkaset.

Oczywiście nie wszyscy ci ludzie musieli uważać się za Polaków. Mogli mieć polskie korzenie, jednak świadomość już niemiecką. A także odwrotnie – wśród poległych o czysto niemieckich nazwiskach zapewne byli także Polacy z Pomorza czy ze Śląska. Wszak i w obecnej Polsce nie brakuje Hofmanów, Kleinów czy Schmidtów.

Co za ironia losu. Wyrwani przemocą ze swoich polskich rodzin, zmuszeni do założenia niemieckich, wrogich mundurów zginęli za nie swoją sprawę. I do dziś traktowani są jak Niemcy, spoczywają pod niemiecką flagą.

Idąc przy kolejnych pochówkach, na jednym z nich, spoczywa tu Alfons Kowalski, napotykał białą-czerwoną szarfę okalającą płytę nagrobną. Czyli przybywają tu także nasi rodacy, którzy choćby w ten sposób chcą upamiętnić pamięć swoich przodków, a jednocześnie zaznaczyć, że niekoniecznie byli to Niemcy.

PRZYPADK JANA GAZURA

„Dyć nie strzylejcie, jo Polok. Jo Polok. Ze Śląska Zaolziańskiego”. Tak opisał dramatyczny krzyk Jana Gazura kronikarz bitwy Melchior Wańkowicz. Dziewiętnastolatek rodem z Jabłonkowa, przymusowo wcielony do Wehrmachtu, był członkiem niemieckiej drużyny obsługującej karabin maszynowy. Skorzystał z pierwszej okazji, żeby uciec na drugą

stronę frontu. Było to 17 maja 1944 r. Po latach wspominał: „Po chwili zobaczyłem posuwających się wolno polskich żołnierzy. Dwaj z nich stanęli wprost na wierzchu bunkra, nie domyślając się, że ja tam jestem. Usłyszałem nareszcie polskie słowa. »Dyć nie strzylejcie, jo Polok« – powiedziałem i odetchnąłem z ulgą. Byłem wśród swoich!”. Jan Gazur trafił do 3. Dywizji Strzelców Karpackich i już w polskim mundurze do końca wojny walczył przeciwko Niemcom. Za swoje czyny bojowe odznaczony został Krzyżem Walecznych.

Pecha miał za to inny Ślązak. Oddajmy głos Wańkowiczowi: „Młody Niemiec odrzucił konopiastą czuprynę i leży – zeszytniały na zawsze. Kiedy po drugim natarciu robotnicy kompanii włoskiej znosili jego rozkładające się już ciało, w portfelu jego znaleziono dwa listy”. Matka Zygmunta z Rydułtówów pisała do syna 7 maja 1944 r. w gwarze śląskiej. „Mój Synie kohany bo mię Serce boli że tak cierpieć musisz niewinnie a orok Reimundek ten tam dopiro cierpi na tej Rusej jeśli tam żyje bojo was dziennie oplakują to ty tam niewiem jeśli

Wyrwani przemocą z polskich rodzin, zmuszeni do założenia wrogich mundurów zginęli za nie swoją sprawę

przewidzieć nawet ale Boga proszą o pomoc bo żoden mi nie pomoże telko Bóg jedyny a najświętszo Panienka Maryja nas zaś pocieszy bo inny żoden ciem nie pocieszy”.

Jedno ze świadectw dramatycznych losów Polaków w obcej armii odszukał i uratował Alojzy Lysko, śląski pisarz i działacz. 1 listopada 1943 r. Maria Czarnynoga z Bojszów dostała ostatni list od syna Wojciecha, wysłany z włoskiego miasteczka Capriati: „Z pociągu, który odjechał z Hanoweru, zostało nos jeszcze sześciu. Reszta – wszyscy zabici. Amerykany biją w dzień i noc. Ziemia się trzęsie, wszystko się poli, nawet kamienie. Kryjemy się w dziurach wykutych w skale, a krew się na nos leje, jak woda z deszczu. Wszędzie darcie, wołanie, płacz.

Mamo, żegnom się z Wami, bo jo już z tej wojny niy powróca. Już Wos nigdy niy zobocza, ani moich Bojszów. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”. Wojciech Czarnynoga spoczywa na cmentarzu w Cair.

ILU POLAKÓW W WEHRMACHCIE?

Po 4 marca 1941 r., kiedy weszły w Niemczech w życie przepisy volkslisty, obowiązkiem służby wojskowej objęci zostali posiadacze trzech pierwszych grup DVL (Deutsche Volksliste). Byli to ludzie, którzy przed wojną byli aktywni politycznie po stronie niemieckiej (grupa 1), Niemcy bierni do wojny (grupa 2) i Polacy niemieckiego pochodzenia, do której automatycznie zaliczono Ślązaków, Kaszubów, Mazurów (grupa 3). Wyłączeni zostali z poboru ludzie z grupy 4, czyli Niemcy, którzy się spolonizowali lub współpracujący z przedwojennymi władzami polskimi. Tak to zostało formalnie określone.

W armii niemieckiej w ciągu całej drugiej wojny światowej służyć mogło nawet do 500 tys. Polaków – uważa najlepszy znawca tej tematyki w Polsce, prof. Ryszard Kaczmarek. To oznacza, że więcej Polaków służyło w niemieckich formacjach drugiej wojny światowej, niż było ludzi w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie i w armii polskiej w ZSRS. Najwięcej rodaków wcielono ze Śląska i z Pomorza. Oblicza się, że do polskiego wojska na Zachodzie trafiło z obozów jenieckich lub wprost z pól bitew ok. 70–90 tys. Polaków wcielonych do Wehrmachtu. Większość z nich musiała służyć pod fałszywymi nazwiskami, aby w przypadku dostania się do niewoli Niemcy nie objęli ich rodzin represjami. Motywy dezercji nie zawsze były patriotyczne. W wielu wypadkach była to zwykła chęć przeżycia wojny, ucieczki do tych, których zwycięstwo stawało się coraz bardziej prawdopodobne.

Kiedy 30 stycznia 1944 r. głównodowodzący sił alianckich w basenie Morza Śródziemnego gen. Henry M. Wilson w rozmowie z gen. Władysławem Anderssem wyraził wątpliwości, skąd Polacy wezmą uzupełnienia swych sił wojskowych na wypadek wejścia do walki na froncie Polski, wojskowy miał odpowiedzieć: „Uzupełnienia dla nas napłyną z frontu. Nie mamy za sobą kraju, który

Polscy żołnierze opuszczają swoje stanowiska po zakończeniu bitwy, Monte Cassino, maj 1944 r. FOT. NAC



by mógł dawać rezerwy, ale wiemy, że wszyscy Polacy, zwłaszcza wcieleni przymusowo do armii niemieckiej, będą dążyć do naszych szeregów na pierwszą wieść, że wojsko polskie walczy na kontynencie". Tylko w drugim półroczu 1944 r. w szeregi 2. Korpusu trafiło w ten sposób 14 tys. żołnierzy. Dobrze wyszkolonych, zdeterminowanych na ogół, żeby bić Niemców. Co ciekawe, wśród tych ochotników zdarzali się także Niemcy, przedwojenni obywatele polscy. Łącznie w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie służyło 89 631 podobnych ochotników, czyli 36 proc. ogólnego stanu wojska.

UCIECZKI, UKRYWANIE, DEZERCJA

Część poborowych nie stawiała się w ogóle na komisje wojskowe, wybierając od początku ukrywanie się w domach lub w ich pobliżu. Jak podaje Ryszard Kaczmarek, pod koniec roku 1943 r. dezercje na Kaszubach miały charakter masowy. W niektórych wsiach, np. w Mikorzynie, zdezerterowali wszyscy zagrożeńi poborem Polacy.

Wielu Polaków powołanych do armii próbowało uciekać z wojskowych transportów, a potem się ukrywać. Kiedy działo się to pod koniec działań wojennych, szanse były większe. Jednak ucieczka w latach 1942 lub 1943 zazwyczaj źle się kończyła. Za pomoc ukrywającym się krewniakom konsekwencje ponosiła najbliższa rodzina, nierzadko rodzice lub

młodociane rodzeństwo. Zazwyczaj kierowano ich do obozów koncentracyjnych lub rozstrzeliwano.

Nie wszystkie ucieczki były udane. Franciszek Synowiec z Chełmu Śląskiego był świadkiem przywiezienia do ich jednostki dwóch dezertersów Ślązaków. On sam został wylosowany do plutonu egzekucyjnego. Kiedy odmówił strzelania do bezbronnnych rodaków, dołączono go do skazanych. W ostatniej chwili wybażył go z tej śmiertelnej opresji niemiecki oficer. Dwaj Ślązacy zostali rozstrzelani. Tydzień po tym incydencie Synowiec zbiegł do aliantów.

Nawet jednak dostanie się do niewoli alianckiej nie gwarantowało od razu Polakom przejścia do właściwej armii. W obozach byli otoczeni przez Niemców, nierzadko fanatycznych hitlerowców, którzy potrafili w swoim gronie potajemnie zabijać „zdrajców”. Oto świadectwo Teofila Biolika: „Amerykanie wzięli mnie do niewoli. Kilka tysięcy takich jeńców jak ja prawie cały kwiecień trzymano na gołej ziemi za drutami. Z powodu głodu i zimnych nocy przeżywałem trudne chwile. Któregoś dnia za druty wjechał gazik z oficerami. Pytali przez megafony: Kto mówi po polsku, wystąpić! Nikt nie wystąpił i nikt się nie odezwał, choć nas tam było wielu. Wszyscy baliśmy się, że w nocy niemiecka większość nas załutuje. Tak się wtedy w obozach działo. Na drugi dzień przyjechały ciężarówki. Jeszcze raz przez megafony padło: Kto

jest Polakiem – wsiadać do samochodu! Wystąpiło nas około pół tysiąca...”

WALKA O TOŻSAMOŚĆ

Manifestacyjnie żegnano polskich poborowych w punktach zbórnych. W miejscach odjazdu do armii śpiewano po polsku pieśni religijne, zwłaszcza chętnie „Kto się w opiekę...”, której słowa zaczerpnięte zostały z „Psałterza” Jana Kochanowskiego. Im bliżej wojny, tym bardziej otwarcie śpiewano przy takich okazjach polskie pieśni patriotyczne, w tym również „Mazurek Dąbrowskiego” lub „Rotę”. Co ciekawe, pierwsze opisy takich zdarzeń pochodzą nawet z wiosny 1943 r., kiedy sytuacja na frontach nie była przesądzona na niekorzyść Niemiec.

Część Polaków szła do niemieckiego poboru z postanowieniem bycia Konradami Wallenrodami. Zawiazywali tajne organizacje wśród rodaków, prowadzili antywojenną agitację wśród żołnierzy Wehrmachtu, nawiązywali kontakty z miejscowym ruchem oporu przeciwko faszystom. Groziła za to kara śmierci. Dwudziestu siedmiu członków takiej tajnej organizacji aresztowanych zostało w szeregach 108. pułku grenadierów stacjonującego w Nantes we Francji. Część z nich otrzymała wyroki śmierci i została rozstrzelana. Tak umarł 20 marca 1943 r. Zygmunt Grochowski z Barłożyna, który w ostatnim liście do rodziny pisał: „Umrę w ciągu dwóch godzin... Szkoda, życie jest piękne... Godzina wybija... Dziękuję Wam wszystkim za to, co dla mnie zrobiliście. Niech Wam dobry Bóg wynagrodzi. Dobry Bóg chce mi pomóc... Umieram za innych. Niech ci inni młodzi ludzie żyją...”

Po wojnie w 1947 r. ciała Grochowskiego i rozstrzelanego wraz z nim Józefa Grzędzickiego zostały ekshumowane, ściągnięto z nich niemieckie mundury i ciała okryto całunem, trumny udekorowano francuskimi sztandarami i przewieziono do kwatery mogił wojsk alianckich. Spoczęli w odrębnych grobach. Dwujęzyczne napisy głoszą o nich: polski patriota. Czy kiedyś Polacy pochowani na cmentarzu Cairn, przynajmniej ci, o których możemy dowiedzieć się czegoś więcej, doczekają się podobnych ekshumacji i zdjęte z nich zostanie nieuprawnione miano Niemców?

© © Wszystkie prawa zastrzeżone

Author jest pracownikiem IPN.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOZERCA

Oficer
nieustępliwy

Mimo że okres po 1944 r. obfitował w wielu polskich bohaterów przeciwstawiających się komunistycznej okupacji, Bronisław Banasik należał do szczególnie wyróżniających się. A mimo to został prawie całkowicie zapomniany, choć od 1946 r. stał na czele największej konspiracji antykomunistycznej – Narodowego Zjednoczenia Wojskowego (NZW).

Miał bogaty życiorys. Był oficerem WP, który z powodu sympatii narodowych był przez wiele lat pomijany w awansach. W kampanii wojennej 1939 r. w stopniu kapitana był dowódcą kompanii w Pułku Radiotelegraficznym. Po rozbiciu tej jednostki przez Niemców przedostał się do Warszawy i już w listopadzie 1939 r. rozpoczął służbę w Organizacji Wojskowej SN (NOW), pod pseudonimem Stefan. W KG był m.in. szefem wydziału organizacyjnego. Po scaleniu z AK, już jako „Zrąb”, został awansowany do stopnia majora. Brał udział w powstaniu warszawskim na Mokotowie, m.in. jako p.o. szef sztabu 10. DP AK. Po kapitulacji znalazł się w oflagu w Murnau.

Po powrocie do kraju ponownie podjął służbę w konspiracji, awansując w NZW do stopnia podpułkownika, a w lutym 1946 r. został komendantem głównym tej organizacji jako „Stefan”. Wykazał duże zdolności organizacyjne. Mimo rozbicia KG przez UB odtworzył ją, utrzymał kontakty terenowe. Po tzw.

amnestii, gdy część struktur terenowych się ujawniła, nadal kontynuował działalność, utrzymując łączność z trzema pozostałymi okręgami i wieloma powiatami z innych okręgów. Prowadziły one nadal działalność zbrojną, propagandową i organizacyjną.

Został aresztowany przez UB w Warszawie 14 stycznia 1948 r. W śledztwie był traktowany bardzo brutalnie, ale zachował godną postawę, podtrzymując na duchu współwięźniów w celi. 13 listopada 1948 r. został skazany trzykrotnie na karę śmierci. Następnie jego wyrok zamieniono na karę dożywocia. W 1956 r. w wyniku amnestii wyszedł na wolność, ale z nakazem zamieszkania (wraz z żoną) w Przemkowie (były powiat Szprotawa) i zakazem powrotu do Warszawy. Opiekował się sparaliżowaną żoną, łączniczką NOW-AK. W 1967 r. prosił o zgodę na powrót do stolicy, motywując to następująco: „Proszę (prosimy z żoną) o powrót do Warszawy, do własnego jednorodzinnego domku. W Powstaniu straciliśmy jedyne go syna”. Powrócił jednak dopiero na początku lat 70. Zmarł 19 marca 1979 r., jest pochowany na cmentarzu Bródnowskim. Był odznaczony Orderem Virtuti Militari V klasy i Krzyżem Walecznych.

O jego odwadze i bezkompromisowości może świadczyć jedno z pism, w którym stwierdził wprost: „Mam odwagę przyznać się, że gdybym jeszcze raz urodził się – siedziałbym tą samą drogą”. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kulisy
prezydentury
Mościckiego

Przewrót majowy był ewenementem w dziejach świata. Rebelianci odnieśli zwycięstwo, ale nie zawieszono konstytucji, nie rozwiązano parlamentu, nie wprowadzono stanu wyjątkowego na terenie całego kraju. Więzienia nie zapełniły się pokonanymi, a triumf Piłsudskiego natychmiast został zalegalizowany. Ustąpili tylko rząd i prezydent, a złośliwi komentowali, że przelewano krew wyłącznie po to, aby Piłsudski został ministrem.

W rzeczywistości nic od tej pory w kraju nie mogło się wydarzyć bez jego akceptacji. Marszałek mocno uchwycił władzę, chociaż nie przywiązywał wagi do jej zewnętrznych atrybutów. Interesowała go wyłącznie praktyka, nie pusta symbolika i pozory.

Na 31 maja 1926 r. zaplanowano posiedzenie Zgromadzenia Narodowego w celu wyboru nowego prezydenta. Praktycznie był tylko jeden kandydat (Piłsudski), ale Komendant nie sprawiał wrażenia zainteresowanego elekcją. Dwa dni przed posiedzeniem Zgromadzenia wygłosił szokujące przemówienie do swoich parlamentarnych stronników:

„Warunki tak się ułożyły, że mogłem nie dopuścić was do sali Zgromadzenia Narodowego, kpiąc z was wszystkich, ale czynię próbę, czy można jeszcze w Polsce rządzić bez bata [...]. Wydałem wojnę

szujom, łajdakom, mordercom i złodziejom i w tej walce nie ulegnę [...]. Z kandydaturą moją róbcie, co się wam podobna. Nie wstydzę się niczego, skoro się nie wstydzę przed własnym sumieniem. Jest mi obojętnym, jak wiele głosów otrzymam. Dwa, sto, dwieście. Nie robię żadnego nacisku, co do wybrania mojej osoby. Wybierajcie tego, kogo będziecie chcieli, szukajcie jednak kandydatów partyjnych i godnych wysokiego stanowiska. Gdybyście tak nie postąpili, widzę wszystko w czarnych dla was kolorach, a dla siebie w barwach przykrych, bo nie chciałbym rządzić batem...”.

Wystarczyło jednak zaledwie jedno głosowanie, aby Marszałek został ogłoszony zwycięzcą. Zaraz po elekcji wprowadził parlamentarzystów w osłupienie, nie przyjmując wyboru. Cel jednak już osiągnął – wybór na prezydenta ostatecznie zalegalizował przewrót, a dalej mógł pozwolić na człowieka brzydkiego się współpracę z Sejmem. Oczywiście nie zrezygnował z elekcji własnego kandydata, kilka dni później Zgromadzenie Narodowe posłusznie wybrało na prezydenta profesora Politechniki Lwowskiej – Ignacego Mościckiego. Nowy prezydent zamieszkał na Zamku Królewskim, ponieważ do Belwederu ponownie wprowadził się wraz z rodziną Piłsudski. Zaczęły się czasy rządów sanacji. ©©



Kulami w polityka



Maciej Szymanowski

Co zmieni w polityce zamach na premiera Słowacji?

To nie był zamach na polityka, jak to zwykle jest pokazywane w hollywoodzkich produkcjach. Żaden supersnajper, czynny czy były agent służb, który z dachu wysokiego budynku bierze na muszkę swoją ofiarę. Tuż po godz. 15 w słoneczny dzień

15 maja 71-letni pisarz artysta najpierw długo skandował: „Robo, Robo!” – zdrobnioną wersję imienia premiera Słowacji Roberta Ficy, machając przy tym przyjaźnie ręką, aby następnie z bliskiej odległości opróżnić magazynek pistoletu trzymanego w drugiej ręce, starając się zabić człowieka, który jak mało kto lubił bezpośredni kontakt z obywatelami, z tzw. szarym człowiekiem. Dlatego też zapewne premier Słowacji na swoją – jak miało się okazać – (nieomal) zgubę nakazał kierowcy swojej limuzyny zatrzymać się, aby móc ucisnąć wyciągniętą do niego dłoń, wracając z wyjazdowego

posiedzenia rządu w Handlovej na północy Słowacji. Jak się okazało – dłoń zazadzonego nienawiścią mordercy.

TO, CO NIEUNIKNIONE?

„Na ulicach słychać nieprzyzwoite przekleństwa pod adresem polityków rządu. I tylko czekam, kiedy ta frustracja przełoży się na zabójstwo. I nie przesadzam ani o milimetr” – powiedział premier Fico w opublikowanym 10 kwietnia na Facebooku nagraniu. W tym samym nagraniu możemy też usłyszeć tytuły słowackich dzienników zaangażowanych w antyrządową dyfamacyjną kampanię.



Premier Słowacji został postrzelony przez 71-letniego Juraja C. w miejscowości Handlová, gdy podszedł przywitać się z mieszkańcami

FOT. RADOVAN STOKLASA/REUTERS/FORUM



Słowem: czy stało się więc to, co nieuniknione? I tak, i nie.

Jako czterokrotny już w sumie premier Słowacji Robert Fico, polityk, który woli działać niż komentować, „odbierać chleb” dziennikarzom, od lat spotyka się ze skrajnie różnym odbiorem. Analizując na zimno, poza decyzją o wejściu do strefy euro w 2009 r., co definitywnie zakończyło słowacki cud gospodarczy, czyli odnotowywanie wzrostu PKB nawet trzy razy szybszego niż nad Wisłą czy Wełtawą, trudno byłoby zarzucić Ficy popełnienie jakiegos zasadniczego błędu w prowadzonej przez siebie i jego kolejne gabinety

polityce. Choć oczywiście w dzisiejszym świecie jego partia SMER (dosł. Kierunek), dla której prawa socjalne pracowników, zabieganie o niwelację istniejących różnic w awansie społecznym czy polityka zrównoważonego rozwoju pozostają priorytetem, zaczyna być ze swoimi priorytetami coraz bardziej odosobnionym bytem na mapie lewicowych partii. Partii, które od nieudanych strajków okupacyjnych na Wall Street (2011) przeformuły swoją agendę w kierunku szeroko pojętych kwestii obyczajowych, stawiając na marginesie swoich zainteresowań takie kwestie jak zjawisko ucieczki kapitału z przemysłu i rolnictwa, rosnące różnice w dochodach obywateli czy może nawet relatywna, ale wciąż postępująca pauperyzacja klasy średniej w państwach zachodniej czy centralnej Europy.

Najgłośniejsze i słyszane także nad Wisłą ataki kierowane wobec premiera Ficy były oczywiście związane z jego negatywną postawą wobec programu przymusowej relokacji nielegalnych imigrantów w UE, który już wkrótce wejdzie w życie. Choć nie mniej medializowanym tematem była też domniemana antyukraińskość/prorosyjskość polityki rządu Ficy. Mimo że zarazem jakoś trudno usłyszeć o pomocy militarnej Słowacji dla Rosji. Za to całkiem sporo wiemy o humanitarnej i pozahumanitarnej pomocy udzielanej Ukrainie. Tytułem przykładu wystarczy sięgnąć chociażby po dziennik „Štandard”, który ujawnił pod koniec ubiegłego miesiąca zyski słowackiej grupy zbrojeniowej Slovenska MSM. Te w ostatnich dwóch latach wzrosły... 15-krotnie, a to dla dostawom na ukraiński front bardzo pożądanym pocisków kalibru 155 mm oraz amunicji wszelkiego typu do czołgów jeszcze sowieckiej proveniencji, wciąż jeszcze będących w użyciu ukraińskiej armii. Zdaniem „Štandardu” eksport pozostałych słowackich holdingów zbrojeniowych też odnotowuje historyczne rekordy, osiągając trzycyfrowe wzrosty produkcji.

CO KRZYCZAŁ ZAMACHOWIEC?

Ponieważ treści publikowane w mediach społecznościowych przez zamachowca, dwie godziny po jego aresztowaniu, zniknęły z Internetu, co jest ciekawe samo w sobie, tym bardziej warto zatrzymać się na chwilę przy postaci

Juraja C. Zwłaszcza że nie tylko większość słowackich polityków i mediów zdążyła już okrzyknąć go osobą o prorosyjskich poglądach, antyromskim rasizmem czy pravicowym ekstremizmem. Kim więc jest Juraj C.? W życiu miał się bardzo różnych prac, w tym fizycznej. Pisane przez siebie tomiki wierszy oraz prozę wydawał własnym nakładem w liczbie 200–500 sztuk. Co z treści w nich zawartych wynika? Tomik poezji pt. „O Cyganach i Romach” świadczy o tym, że niewątpliwie był zafascynowany cygańską kulturą („Romowie, romska inteligencja są pięknie odmienni. Roztaczają wokół siebie aureolę, intuicyjnie przyciągają nas jak jacyś bogowie ognia i wolności”). Nie pałał miłością do chrześcijan („Piękni i chorzy umysłowo. Leninowcy, karmiący własne ego”; „Moja dusza nie jest zanurzona w żadnej jak mleko mgie. Moim niebem jest ziemia. To ja sam dla siebie jestem Bogiem”; „Między dobrym komunistą i dobrym chrześcijaninem nie ma różnicy”). Szokiem okazało się dla niego – jak dla wielu przed nim i po nim – doświadczenie pierwszej podróży do Związku Sowieckiego, w 1971 r. („Płacz, płacz, raz jeszcze płacz. I ból”; „Nie było mi dane wykrzyczeć z wnętrza płuc słów »Międzynarodówki«. Jak robił to mój ojciec, który śpiewał ją w imieniu wszystkich. A łzy płynęły z jego oczu”). Co ciekawe, jeśli wierzyć medialnym doniesieniom, to C. założył też Stowarzyszenie Pisarzy Tęcza, choć temat LGBT w jego piśtarstwie jest nieobecny. Natomiast na podstawie tego, co pisał, da się z czasem wyczuć stopniową radykalizację poglądów.

W ostatnich latach chętnie uczestniczył w antyrządowych manifestach. Wartym odnotowania elementem jest jego udział w powołaniu do życia Ruchu przeciw Przemocy HPN, czyli inicjatywy nawiązującej w swojej nazwie do antyautorytarnego ruchu Społeczeństwo przeciw Przemocy VPN, działającego na Słowacji do 1992 r. (podobnie jak KOD w Polsce starał się nawiązać w nazwie do KOR, a postkomunistę w powołanej po 1989 r. Karcie Demokratycznej na Węgrzech odwoływali się do tradycji czechosłowackiej Charty 77). HPN była finansowo-organizacyjnym zapleczem progresywnej lewicy na Słowacji („Potrzebujemy świata bez ras, religii, narodów”), w wymiarze międzynarodowym definiującą się antyrepublikańsko i antytrumpowsko.

Na podstawie treści okrzyków C. tuż po aresztowaniu wiemy ponadto, że generalnie zamachowiec nie zgadzał się z premierem Ficą i polityką rządu, w tym z niedawno dokonaną zmianą na stanowisku prezesa mediów publicznych RTVS. Trzy operacje, które musiał po zamachu przejść premier Fico, głównie z uwagi na obfite krwawienie z jelit (czwarta związana z rekonstrukcją uszkodzonych kości miednicy odbędzie się zapewne wkrótce), raczej wskazują na to, że posługiwanie się – posiadaną legalnie – bronią musiało być przez zamachowca należycie ćwiczone. W oczy rzuca się też mocno zaawansowany wiek sprawcy. Choć słowackie media pełne są artykułów o grożącej zamachowcy karze dożywocia, to w praktyce więzienie opuści zapewne najpóźniej za cztery lata, z chwilą osiągnięcia 75. roku życia, z uwagi na zwyczaje panujące pod omawianym względem w słowackich zakładach karnych.

STABILNOŚĆ ODCHODZI W NIEPAMIĘĆ

Wielokrotnie i ciężko postrzelony premier Fico będzie potrzebował miesięcy na dojście do pełni zdrowia, o ile w ogóle – czego należy mu szczerze życzyć – to mu się uda. Tym samym wiele wskazuje na to, że czasy jego rządów, które oznaczały po wielu latach okres pewnej stabilności politycznej na Słowacji, na naszych oczach odchodzą w niepamięć. Nie jest to bez znaczenia w sytuacji, kiedy państwa w Europie Środkowej dzielą się mniej więcej na te, w których władzę pełnią rządy mniejszościowe, i te z bardzo szerokimi koalicjami, którym niezwykle ciężko jest prowadzić skuteczną politykę, przynoszącą obywatelom realne korzyści.

Oczywiście pewnym wyjątkiem na tym tle są Węgry. Pewnym, ponieważ niedawna ekspresowa zmiana na stanowisku prezydenta po podaniu się do dymisji prezydent Katalin Novak czy regularne pojawianie się przy okazji kolejnych kampanii wyborczych antyfideszowskich trybunów ludowych (w bieżącym roku Péter Magyar), korzystających niejako z automatu z mocnego zagranicznego poparcia, pokazują, że również sytuacja wewnętrzna na Węgrzech daleko jest od stabilności. W praktyce oznacza to, że pomimo trwającej już od dekady agresji Rosji na Ukrainę w państwach wschod-

niej flanki NATO nie doszło do radykalnie większych zakupów własnej broni czy uruchomienia jej naprawdę masowej produkcji, o przywróceniu obowiązku służby wojskowej nie wspominając. Wszystko to dzieje się w sytuacji, kiedy w Unii Europejskiej dużo się dyskutuje o różnych pomysłach na podwyższenie własnego bezpieczeństwa – np. obecny temat Żelaznej Kopuły – ale na dyskusjach też się kończy. Nie wspominając już o tym, że nie są to projekty do realizacji na tu i teraz, a raczej na kolejną dekadę, a może nawet dwie.

Słowacy i Słowacja pozostaną naszym sąsiadem, z którym łączą nas długa, licząca 541 km granica i cała masa interesów

Wracając do Słowacji. Postrzelenie premiera Słowacji, wielkiego zwolennika współpracy wyszehradzkiej i – szerzej – środkowo-europejskiej, zwłaszcza w kontekście prowadzonej przez rząd Petra Fialy w Pradze polityki zamrożenia bliższych stosunków w regionie (od powstania V4 chyba nigdy nie było zwołanych tak mało spotkań na szczycie, jak ma to obecnie miejsce za czeskiej prezydencji, choć wydawałoby się, że jest o czym dyskutować w kontekście tego, co się dzieje na wschodzie i zachodzie naszego kontynentu). I choć zamach na każdego polityka wybranego w drodze demokratycznych wyborów jest poniekąd zamachem na system demokratyczny jako taki, to nie wydaje się, aby przegrani wyborów parlamentarnych i niedawnych prezydenckich na Słowacji przewartościowali prowadzoną przez siebie politykę tzw. totalnej opozycji.

Zagadką pozostaje też to, jaki partia SMER kierunek – nomen omen – przyjmie po dojściu do sił postrzelonego premiera. Na razie nic nie wiadomo o możliwości publicznego zabrania głosu przez Roberta Ficę. Opuszczająca funkcję prezydenta Zuzana Čaputová z pomysłu zwołania okrągłego stołu polityków wycofała się, zanim w ogóle do jakiegokolwiek spotkania doszło.

Wielką niewiadomą pozostaje też polityka, którą wobec rządu Ficy będą prowadzić nowa Komisja i Parlament Europejski. Na razie stawiane są zarzuty o brak praworządności, co jest pokłosiem likwidacji w ostatnich miesiącach – albo ograniczenia – kompetencji specjalnych sądów, prokurator i wydziałów policji do zwalczania korupcji wśród polityków. W czym jedni upatrują obrony partyjnych interesów przez lidera partii SMER, inni konieczność położenia kresu nieustannych przecieków ze śledztw do najbardziej agresywnych i wulgarnych brukowych pism, także, a nawet głównie o charakterze obyczajowym.

Ewentualne odcięcie Słowacji od unijnych funduszy, o czym w zasadzie dyskutuje się w Brukseli całkiem otwarcie, będzie oznaczało najprawdopodobniej upadek rządu. Każdego rządu w Bratysławie z uwagi na nadchodzący, tak czy owak, ciężki wstrząs czekający słowacką gospodarkę – proporcjonalnie największego producenta aut w całej Europie, w związku z planami odejścia w UE od silników spalinowych w warunkach istnienia niezwykle silnego producenta aut elektrycznych, to jest Chin. Chin, którym mimo olbrzymich poniesionych nakładów nigdy nie udało się nadgonić przewagi technologicznej Europy i Japonii w dziedzinie silników spalinowych, które wykorzystywały jednak bezwzględnie nadarżającą się możliwość konkurencyjności w produkcji aut o napędzie elektrycznym, oferowanych dzisiaj o dosłownie dziesiątki procent taniej niż auta produkowane gdziekolwiek w UE.

To jednak przeszłość, nieodległa, ale jednak przyszłość, a los, jak wiadomo, lubi płać różne figle. Co wiemy na pewno? Premier Fico szczęśliwie przeżył zamach na własne życie. Nie żywi żadnych antypolskich fobii, jest wielkim zwolennikiem środkowo-europejskiej współpracy, a Polska za miesiąc przejmie prezydencję w Grupie Wyszehradzkiej, jednym z najszybciej rozwijających się w ostatnich trzech dekadach regionie świata. Last but not least: Słowacy i Słowacja pozostaną naszym sąsiadem, z którym łączą nas długa, licząca 541 km granica i cała masa interesów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dyrektorem Instytutu Felczaka w Warszawie oraz wykładowcą zawodowo zajmującym się Europą Środkową.



MILIARDERKA OBRAŻONA ZA PORTRET

Najbogatsza kobieta Australii, miliardka z branży górniczej Gina Rinehart, zażądała usunięcia jej portretu z Australijskiej Galerii Narodowej. Portret jest częścią wystawy wielokrotnie nagradzanego artysty Vincenta Namatjiry, który maluje wpływowych i bogatych ludzi. Na wystawie są też obrazy przedstawiające króla Karola, królową Elżbietę II czy byłą premier Australii Julię Gillard. Według mediów miliardce nie spodobało się, że na obrazie ma podwójny podbródek.

FOT. NATIONAL GALLERY OF AUSTRALIA, BRADLEY KAHARS/GETTY IMAGES

TUCKER W STAJNI PUTINA

Tucker Carlson, konserwatywny dziennikarz, gwiazda amerykańskiej telewizji (zwolniony w 2023 r. z Fox News), dostał program w rosyjskiej telewizji Rossija 24 – tej samej, której ze względu na kremlowską propagandę Rada Europy wpisała na listę kanałów objętych zakazem emisji w UE. Pierwszy odcinek dotyczył kleszczy i borelioz, łącząc je z badaniami amerykańskiego rządu nad bronią biologiczną.

BYĆ W SS TO NIE PRZESTĘPSTWO

Niemiecka AfD musiała wykluczyć ze struktur partii czołowego kandydata w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Maximilian Krah, wobec którego i tak już toczy się postępowanie w sprawie jego powiązań z Rosją i Chinami, udzielił wywiadu gazecie „La Repubblica”, w którym pozwolił sobie na relatywizowanie przeszłości nazistowskiego kraju. Powiedział m.in., że ktoś, kto był członkiem SS w nazistowskich Niemczech, „nie jest automatycznie przestępcą”.

GRZYWNA ZA WŁOSY

Niejaki Stanisław Netesow z Moskwy został na ulicy okradziony i pobity. Poszedł zgłosić do policji. Funkcjonariuszom najbardziej w tej sprawie nie spodobały się włosy ofiary. A dokładnie ich pofarbowanie na kolory przypominające ukraińską flagę. Uznali to za „propagandę” uderzającą w rosyjską armię. Tak samo orzekła sędzia Anna Małachowa. Dwudziestopięciolatek został skazany na grzywnę wynoszącą w przeliczeniu ok. 2 tys. zł.

TURYSTO – PŁAĆ

Mieszkańcy Lauterbrunnen w Berner-skim Oberlandzie, w kantonie Berno w Szwajcarii, uznali, że turyści wpadający tam na jeden dzień niewiele wnoszą do gospodarki, za to przysparzają wielu kłopotów – niszczą środowisko, parkując w niedozwolonych miejscach. Lauterbrunnen rozważa właśnie wprowadzenie opłaty wynoszącej w przeliczeniu ok. 50 zł dla turystów jednodniowych oraz tych, którzy przyjeżdżają tam samochodami. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Bat na oszustów

Od 1 czerwca bankowcy wreszcie będą musieli sprawdzać, czy dany PESEL jest zastrzeżony. Nowe rozwiązanie ma ograniczyć liczbę wyłudzeń kredytów, pożyczek czy umów na ukradzione dane. Nareszcie więc bankowcy nie będą mogli dochodzić wierzytelności, jeśli wypłacili pieniądze oszustowi podszywającemu się pod Kowalskiego. Wystarczy, że ów Kowalski wcześniej bezpłatnie zastrzegł PESEL (można to łatwo i szybko zrobić np. przez aplikację mObywatel, stronę gov.pl lub – to najdłuższa droga – w urzędzie gminy).

Obowiązek sprawdzania PESEL-u utrudni też oszustom zdobycie duplikatu karty SIM czy dokonanie oszukańczej traskanki notarialnej. Może też zmniejszyć liczbę oszustw „na wnuczka”, „poli-cjanta”, „prokuratora” i „pracownika banku”. Senior z zastrzeżonym PESEL-em nie wypłaci bowiem w kasie więcej, niż wynosi trzykrotność minimalnego wynagrodzenia.

Ofiarami oszustw padają jednak nie tylko zbyt ufni seniorzy. Popularny fintech Revolut ostrzegł niedawno, że social media to „wylęgarnia oszustów”. Według danych, na które zwraca

uwagę Revolut, z platform Meta (Facebook, Instagram, WhatsApp, Messenger) pochodziło 61 proc. wszystkich oszustw i 40 proc. ogółu skradzionych kwot. Chodzi głównie o oszustwa zakupowe i inwestycyjne. Według fintechu w drugiej połowie 2023 r. aż 73 proc. oszustw zgłaszanych przez klientów z Polski miało początek na platformach mediów społecznościowych.

Revolut zaapelował więc do urzędników Komisji Europejskiej o zwiększenie ochrony konsumentów. I dobrze. Najwyższy czas, aby firmy BigTech zaczęły skutecznie walczyć z oszustami...



Z Ryszardem Czarneckim, eurodeputowanym PiS, byłym wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego rozmawia Ryszard Gromadzki

Unia wciśnie nam migrantów



RYSZARD GROMADZKI: Rada Unii Europejskiej przyjęła, mimo sprzeciwu Polski i Węgier, pakt migracyjny, uchwalony wcześniej przez Parlament Europejski. Zakłada on, że kraje członkowskie Unii mają do wyboru przyjęcie migrantów z Afryki i Azji albo zapłatę rekompensaty finansowej za ich nieprzyjęcie w ramach tzw. mechanizmu solidarnościowego. Szef MSZ, Radosław Sikorski, w jednym z telewizyjnych wywiadów przekonywał, że Polska może być beneficjentem tego paktu, bo przyjmuje uchodźców z Ukrainy. Zgadza się pan z ministrem Sikorskim?

RYSZARD CZARNECKI: Pan Sikorski ma poczucie humoru. Mnie wcale nie jest do śmiechu. Pakt przyjęty w Brukseli oznacza bowiem nie tylko zapalenie zielonego światła dla poważnych obciążeń ekonomicznych dla naszego kraju, bo przecież będziemy utrzymywać tych ludzi, a olbrzymia większość z nich będzie żyła z „socjalu”, jak dzieje się w krajach Europy Zachodniej. Będziemy też płacić, na razie trudno policzalne, koszty konfliktów społecznych, kulturowych i religijnych, a przede wszystkim wzrostu przestępczości, w tym przestępczości zorganizowanej. To było udziałem wszystkich krajów, które przyjmowały imigrantów. Nie sądzę, aby ci, którzy przybędą do Polski z Afryki czy Azji, byli zastępem aniołów, w przeciwieństwie do swoich poprzedników, którzy generowali olbrzymie problemy z przestrzeganiem prawa w krajach Zachodu. Do tego dochodzi zagrożenie terroryzmem. Trzeba podkreślić, że koszty, o których mówiłem, nie dotyczą perspektywy kilku najbliższych lat, tylko kilku przyszłych dekad.

Mówiąc wprost, przyjęcie przez Polskę paktu migracyjnego oznacza gigantyczny drenaż naszego budżetu.

Zgoda, a mówimy tylko o obciążeniach ekonomicznych. Jeśli chodzi o kwestię wzrostu przestępczości czy zagrożenia terroryzmem, co jest udziałem takich krajów jak Francja, Belgia, Hiszpania i innych, które przyjęły imigrantów, to przecież nie sprowadza się ona tylko do tych przybyszów, którzy znaleźli się tam w ostatnich latach, lecz dotyczy dzieci imigrantów, którzy przybyli tam wiele lat temu. Wielu z nich nigdy się nie zasymilowało, tworzą getta. To, że rząd PiS przy wszystkich swoich grzechach i błędach, które są znane, przez osiem lat skutecznie blokował „gilotynę migracyjną” wo-

FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FOTBIM

bec Polski, uważam za jeden z większych sukcesów naszych prawicowych gabinetów. Jeśli teraz tego nie zablokujemy w Parlamencie Europejskim, jeśli nowa Komisja Europejska nie wycofa się z tego planu, wówczas – mówię to z całą odpowiedzialnością – będziemy płacić bardzo wysoką cenę przez dziesięciolecia.

Ledwie pakt migracyjny został uchwalony, a już mówi się o jego zmianie. Na stole jest propozycja, określana jako niestandardowe rozwiązanie, pod którą podpisały się na razie rządy 15 państw Unii, w tym Polski. Chodzi o odsyłanie nielegalnych imigrantów poza Unię. Podobną regulację przyjęła niedawno Wielka Brytania, która ma wysłać nielegalnych imigrantów do Rwandy. Ten plan może być rzeczywiście alternatywą dla rozwiązań zapisanych w pakcie migracyjnym?

To nie jest oryginalny pomysł. W rzeczywistości jest to próba zaadaptowania doświadczeń Australii sprzed przeszło 20 lat. Australijczycy zawracali liczne wtedy statki z imigrantami, które przechwytywali na swoich wodach terytorialnych, i przekierowywali tych ludzi do trzech krajów Oceanii. Tam dopiero przeprowadzali całą procedurę azylową. Zaledwie promile tych imigrantów uzyskiwały zgodę na przeniesienie się do Australii. Jak widać, Unia wchodzi w australijskie buty. Oczywiście lepszy rydz niż nic. To przynajmniej próba wypchnięcia kolejnych fal imigrantów poza Unię. Podobne porozumienie Unia zawarła w 2016 r. z Turcją, a ostatnio z Tunezją. Rozwiązanie, o którym rozmawiamy, pokazuje, że sama Unia przyznaje, iż lepiej tę migracyjną piłeczkę przebić poza unijny kort.

Przyznaje, bo boi się „populistów” i „faszystów”, którzy szeroką ławą mogą pojawić się w nowym Parlamencie Europejskim...

Oczywiście, że tak. Zwracam uwagę, że przez kilkadziesiąt lat na Zachodzie szerzono, jak to określam, „kłamstwo migracyjne”, tak jak po 2010 r. rozpowszechniano „kłamstwo smoleńskie”, w którym winę za katastrofę pod Smoleńskiem przypisywano polskiemu pilotom. Na tej samej zasadzie utrwalano „kłamstwo migracyjne” polegające na tym, że rządzący z różnych partii – lewicowych, liberalnych, a także chadeckich – wmaľiwali swoim wyborcom, od Portugalii do Wielkiej Brytanii, że trzeba ściągać

migrantów, bo jeśli nie, to zawali się gospodarka. Ten syndrom przełamały dopiero Polska i w jakiejś mierze Węgry. Oba kraje, a zwłaszcza Polska, pokazały, że gospodarka może hulać, imigrantów nie ma, bezrobocie może być jednym z najniższych w Europie, a inwestycje zagraniczne rosną jak grzyby po deszczu.

W tym, co pan mówi, pobrzmiwa propaganda sukcesu. A tymczasem rzeczywistość skrzeczy. Inwestorzy zagraniczni zniechęceni rosnącymi kosztami pracy i energii wycofują się w ostatnich miesiącach z Polski jeden po drugim. Co do imigrantów, to mamy ich w Polsce grubo ponad milion, i to nie tylko z Ukrainy. To w czasie rządów PiS na polskim rynku pojawiły się dziesiątki tysięcy pracowników z Indii, Pakistanu, Uzbekistanu, Filipin i innych państw.

Jeśli chodzi o zagraniczne firmy, które opuszczają Polskę za rządów liberałów i lewicy, to tylko pokazuje, że to prawica była pragmatyczna, bo potrafiła kapitał zagraniczny skutecznie ściągać. Za rządów liberalno-lewicowych on z Polski ucieka.

Co do imigrantów, to już jest to decyzja polskich przedsiębiorców, którym opłaca się zatrudniać na określony czas imigrantów zarobkowych, którzy płacą w Polsce podatki i którzy po zakończeniu umów wyjeżdżają do siebie. Absolutnie nie wrzucałbym ich do jednego worka z migrantami, którzy szukają w Europie socjału. Były prezes Orlenu Daniel Obajtek mówił w jednym z wywiadów o rozwiązaniu, które funkcjonowało w zarządzanym przez niego koncernie. Polegało ono na tym, że ostatnia pensja wpływała na konto takiego pracownika spoza Europy w momencie, kiedy ten człowiek wrócił do swojego kraju.

Zauważmy, że liczba imigrantów ukraińskich w Polsce spada. Dla porównania: w Niemczech w ciągu ostatniego roku przybyło 200 tys. imigrantów z Ukrainy. Ich liczba wynosi obecnie u naszych zachodnich sąsiadów 1,6 mln. Ze statystyk wynika, że często byli to ludzie, którzy nie przybyli z Ukrainy, tylko z Polski. Niemcy chętnie ich przyjmują, uznając Ukraińców za znacznie bardziej użytecznych dla ich gospodarki niż Afrykańczyków czy Azjatów, których kanclerz Merkel witała słowami: „Herzlich willkommen!”.

Nie wiemy dziś, jaka będzie przyszłość imigrantów ukraińskich w Polsce. Wątpię, aby większość z nich – mowa o mężczyznach – u nas pozostała. Część będzie pewnie starała się wyjechać na Zachód. Pytaniem otwartym jest, czy ich liczba nie powiększy się w związku z przebiegiem wojny; Rosja naciska, Ukraińcy się cofają, zagrożony jest Charków. To wszystko może spowodować kolejną falę uchodźców, która może napłynąć do Polski.

Jeśli przyjąć za dobrą monetę słowa szefa MSZ, że pakt migracyjny będzie działał w obie strony, to można zakładać, iż w ramach unijnego mechanizmu solidarności powinniśmy dostać pieniądze za przyjęcie uchodźców z Ukrainy.

Rządzącym i zwolennikom rządu oraz prorządowym dziennikarzom, którzy takie bajki opowiadają, odpowiem określeniem „check”, stosowanym przy głosowaniach w europarlamencie – czyli „sprawdzam”. Nie ma żadnego zapisu w pakcie migracyjnym, który by mówił o tym, że Polska ma automatycznie otrzymać środki finansowe za tych ludzi, których dotychczas przyjęła.

I przekazała gigantyczną pomoc w ciągu ostatnich ponad dwóch lat...

To prawda. Od Unii Europejskiej dostaliśmy w tej sprawie „na waciki” – że określe to zwrótem z jednej z polskich komedii.

Gdzie jest ta „solidarność europejska”, o której tyle się mówi w pakcie migracyjnym?

Solidarność europejska to slogan. To pojęcie, które euroentuzjastyczni politycy odmieniają przez wszystkie przypadki, a w istocie to WN, czyli Wielkie Nic. Solidarność europejska to zwrot retoryczny, który występuje wtedy, kiedy krajom, które nie miały kolonii, jak Polska, trzeba wcisnąć imigrantów z tych państw, które przez wieki budowały swoją potęgę cywilizacyjną i gospodarczą, łupiąc kolonie. A teraz kraje takie jak nasz, które – powtórzę – nigdy kolonii nie miały, mają z tego tytułu płacić odsetki. Kiedy Niemcy wspólnie z Rosją budowali Nord Stream 1 i 2, jakoś nikt nie mówił o solidarności europejskiej. Tego zwrotu chętnie używają najsilniejsze państwa w Europie po to, żeby uzyskać dla siebie różne korzyści naszym kosztem – kosztem Polski.

W rosyjskiej armii jest co kraść, bo Moskwa znacząco zwiększyła wydatki na zbrojenia

FOT. RUSSIAN DEFENSE MINISTRY PRESS SERVICE/AP/EAST NEWS

Armia złupiona



Piotr Włoczyk

Generał Ben Hodges, który w latach 2014–2017 dowodził US Army w Europie, przyznał wprost, że przeszacował rosyjskie możliwości przed 24 lutego, bo nie docenił ogromu korupcji

Gdy w lutym 2022 r. rosyjskie czołgi zaczęły masowo płonąć na Ukrainie, eksperci zwrócili uwagę na ich pancerze reaktywne. W normalnych okolicznościach są to małe ładunki wybuchowe w postaci kostek, którymi obłożone są najbardziej niewraliczne miejsca czołgu. Jeżeli wszystko działa poprawnie, to mają one rozpraszać energię pocisku, ratując w ten sposób pojazd i jego załogę. Tymczasem – choć na pierwszy rzut oka wszystko się zgadzało – wiele rosyjskich czołgów w rzeczywistości kompletnie nie posiadało takiej ochrony. Po bliższym

zbadaniu wypalonych skorup czołgów T-72 i T-80 nierzadko okazywało się, że kostki były w środku kompletnie puste. Eksperci nie mieli tu wątpliwości: winna była nieprawdopodobna korupcja, która właściwie od zawsze jest plagą rosyjskiej armii. Krytycznie ważna zawartość kostek najprawdopodobniej nigdy nie została dostarczona wojsku, a pieniądze z budżetu rosyjskiego MON na ładunki wybuchowe zostały po prostu rozkradzione. O ile podczas pobieżnych kontroli „góry” i na paradach nie sposób było odróżnić czołgów z prawdziwym pancerzem reaktywnym od tych wyposażonych w atrapy, o tyle już na polu boju była to różnica między życiem a śmiercią.

Rosyjscy żołnierze doskonale zdają sobie sprawę z tego, jak wielkim problemem jest dla ich armii – i również dla nich samych – wszechobecna korupcja. Ostatnie głośne aresztowania czołowych postaci rosyjskiego MON miały być wyraźnym sygnałem ze strony Kremla: od tej pory w armii będzie już inaczej, pozbywamy się korupcji i budujemy potężną maszynę wojenną zdolną do walki z NATO. Wiceminister Timur Iwanow, prawa ręka Siergieja Sojgu, został oskarżony o przy-

mowanie łapówek w ogromnych kwotach i rozkradanie majątku armii, ale przecież jego pałace, gigantyczne mieszkania (w większości co najmniej 300-metrowe) i flota superluksusowych samochodów, nie mogły być dla Kremla zaskoczeniem. Iwanow (a także inni aresztowani wysocy urzędnicy rosyjskiego MON) to po prostu część systemu, który opiera się właśnie na kleptokracji. Trudno sobie wyobrazić, żeby Andriej Biełousow, wprawdzie chwalony za uodpornienie Rosji przed sankcjami ekonomista, ale jednak człowiek z samego jądra putinowskiego systemu, był w stanie skutecznie wypłenić z szeregów armii korupcję. Jak bowiem pokazuje historia, rosyjska armia nie zna innej rzeczywistości.

SIŁY ZBROJNE NAJBARDZIEJ SKORUMPOWANE

„Choć służą, to ich głównym celem jest pozyskiwanie pieniędzy” – pisał w 1854 r. o rosyjskich oficerach Lew Tołstoj.

Sytuacja nie zmieniła się w trakcie pierwszej i drugiej wojny światowej. Z i tak ograniczonych budżetów na armię rosyjscy i sowieccy oficerowie wykrawali swoją „dolę” w każdy możliwy sposób

– oszczędzając na jedzeniu dla podkomendnych, sprzedając „na lewo” paliwo, rozkradając środki na mundury czy broń.

Podobnie było po upadku ZSRS. W trakcie pierwszej wojny czeczeńskiej rosyjscy żołnierze sprzedawali swoim wrogom karabiny, amunicję, a nawet granaty. „To kompletny nonsens. Sprzedają nam broń, którą my ich potem zabijamy” – mówił wówczas w rozmowie z reporterem „Los Angeles Times” 34-letni Czeczen Lom-Ali Szamajew.

Skalę tego „nonsensu” pokazuje opinia rosyjskiego prokuratora generalnego Jurija Skuratowa, który w 1998 r. stwierdził, że „siły zbrojne są najbardziej skorumpowaną strukturą rządową w Rosji”. W kolejnych latach nic się jednak w tej sprawie nie zmieniło na lepsze. Chociaż w 2002 r. ówczesny minister obrony narodowej Siergiej Iwanow powiedział, że najważniejszym zadaniem stojącym przed jego ministerstwem jest powstrzymanie „epidemii złodziejstwa w armii”, to w 2004 r. rosyjska prokuratura wojskowa przyznała, że skala korupcji zwiększyła się o 21 proc. w stosunku do poprzedniego roku. Następne lata to kolejne zadziwiające komunikaty władz, które zupełnie otwarcie przyznawały, że armia rozkradana jest na lewo i prawo. W 2011 r. szef rosyjskiej prokuratury wojskowej Siergiej Fridinski zakomunikował, że korupcja w kontekście zamówień w sektorze zbrojeniowym osiąga „kosmiczne proporcje”. Następny rok przyniósł tu znakomity przykład. Rosyjska firma zbrojeniowa otrzymała 26 mln dol. na stworzenie systemu zwalczania rakiet średniego i krótkiego zasięgu. Okazało się, że pieniądze rozeszły się między podmiotami, z których część zarejestrowana była pod adresem... toalet publicznych. Oczywiście zamówiony system nigdy nie powstał, a właściwie prace nad nim nigdy się nawet nie zaczęły.

Już po wybuchu pełnoskalowej wojny na Ukrainie rosyjska prokuratura wojskowa informowała obywateli, że ponad 80 proc. kontraktów budowlanych zleconych przez MON nie zostało zrealizowane, chociaż zostały na to przekazane środki budżetowe. Co więcej, od 24 lutego 2022 r. podwoiła się liczba śledztw dotyczących defraudacji środków na wojskowe projekty budowlane

(z 66 do 107). Jeżeli Rosjanie zupełnie otwarcie przyznają się do prowadzenia aż tylu śledztw w sprawie korupcji w jednym tylko sektorze działalności swojego MON, to jak źle musi wyglądać sytuacja w rzeczywistości?

Wojna na Ukrainie w całej okazałości pokazała, ile dobrego jest w stanie zrobić dla Ukrainy i Zachodu złodziejstwo rozplenione w rosyjskiej armii. Koszty pancerna reaktywnego bez materiału reaktywnego to jednak tylko jeden punkt na długiej liście korupcyjnych „osiągnięć” podwładnych ministra Szojgu (i jego samego – były szef rosyjskiego MON dorobił się na publicznych urzędach m.in. willi wartej kilkanaście milionów dolarów).

W lutym 2022 r. sensację wzbudziło w środowisku eksperckim zdjęcie przedstawiające pancyr, samobieżny przeciwlotniczy zestaw artyleryjsko-rakietowy, który ugrzązł w błocie. Ten samochód ciężarowy KAMAZ z wartym kilkanaście milionów dolarów sprzętem na „pace” padł łupem Ukraińców, ponieważ jego opony okazały się sparciałymi starociami. Najczęściej pojawiającym się wyjaśnieniem tej kuriozalnej sytuacji było „sprywatyzowanie” przez kogoś decyzyjnego środków przeznaczonych na zakup opon do Pancyra. Mało prawdopodobne jest bowiem, by rosyjskie MON nie wyasygnowało środków na terminową zmianę opon dla tak drogiego systemu.

Doniesienia o masowej odsprzedaży paliwa z baków rosyjskich ciężarówek wojskowych czy wyciągane z magazynów spleśniałe mundury dla nowo powołanych rekrutów (wobec tajemniczego „zniknięcia” ze stanów porządnego umundurowania) to drobiazgi w porównaniu z problemami ze stanem sprzętu pancernego wyjmowanego z głębokiej rezerwy z czasów sowieckich. Średnio jeden na 10 takich czołgów był kompletny. Reszta przez dekady była stopniowo rozkradana, złodzieje w mundurach rosyjskich żołnierzy szczególnie upodabali sobie optyczny sprzęt celowniczy i elektronikę. Między innymi te braki spowodowały, że rosyjski przemysł zbrojeniowy nie okazał się aż tak wydajny w przywracaniu starych maszyn, jak liczył na to Kreml.

Rosyjscy blogerzy wojskowi donosili też, że rozkradzione zostały materiały

zakupione w ramach programu Ratnik (ros. Wojownik), takie jak kamizelki kuloodporne 6B45 czy dobrej jakości hełmy. To wszystko można było potem kupić za kilkaset dolarów w rosyjskich serwisach aukcyjnych.

Natomiast nie kupi się tam raczej racji żywnościowych, które wydano żołnierzom na początku inwazji na Ukrainę – ich termin spożycia upłynął bowiem w 2015 r. (na kontraktach na żywność dla żołnierzy fortunę zbił Jewgienij Prigożyn).

WYRAZY WDZIĘCZNOŚCI

W rosyjskiej armii jest co kraść. Według Sztokholmskiego Międzynarodowego Instytutu Badań Pokojowych Rosja w pierwszych dwóch dekadach XXI w. zwiększyła swoje wydatki na obronność niemal trzykrotnie. Wielu ekspertów, analizując te ogromne kwoty pod kątem skuteczności rosyjskiej armii, pomijało jednak wpływ korupcji. Jednym z nich jest gen. Ben Hodges, który w latach 2014–2017 dowodził US Army w Europie.

„Korupcja w rosyjskim MON jest ogromna [...]. Żołnierze wiedzą o tym i dlatego nie mają zaufania do dowódców. Jednym z powodów, dla których przeszacowałem rosyjskie możliwości przed 24 lutego, było to, że nie doceniłem ogromu korupcji” – przyznał wprost amerykański wojskowy.

Rozkradanie środków na obronność to też problem armii ukraińskiej, choć odkąd Zachód wspiera władze w Kijowie w wojnie z Rosją, sytuacja jest tu o wiele lepsza niż jeszcze kilka lat temu (USA i UE naciskają na ukraińskie władze, by jak najściślej monitorowały rozdzielanie wielomiliardowego wsparcia). Praktyka pokazuje jednak, że mimo toczenia wojny o być albo nie być Ukrainy stare „przyzwyczajenia” dają o sobie znać również w centrali ukraińskiego resortu obrony. Na początku roku zatrzymano pięciu wysokich urzędników MON, których oskarżono o zdefraudowanie 40 mln dol. przeznaczonych w sierpniu 2022 r. na zakup amunicji moździerzowej. Pieniądze się rozplynęły (część trafiła do bałkańskich banków), natomiast z zamówionych 100 tys. pocisków na front nie trafił ani jeden.

Ceny, od których robi się gorąco



Jakub Wozinski

Przedłużenie programu mrożenia cen energii oraz stosowania dopłat jest w stanie co najwyżej opóźnić wykonanie wyroku, który podpisano na Polakach w związku z polityką klimatyczną



Im mniej czasu pozostawało do 1 lipca, tym bardziej politolodzy i specjaliści od politycznego marketingu głowili się nad tym, dlaczego rządząca koalicja pozostawała tak bardzo beczynna w zakresie uchwalania jakichkolwiek form pomocy dla obywateli. Nie brakowało głosów, że winna wszystkiemu była reprezentująca Polskę 2050 minister klimatu Paulina Hennig-Kloska, której zdarzyło się nawet pomylić podwyżkę o 30 proc. ze wzrostem cen o 30 zł. Przedłużający się okres niepewności natychmiast podchwycili przedstawiciele Zjednoczonej Prawicy, którzy zaczęli wzywać do jak najszybszego zamrożenia cen energii.

UWOLNIĆ CZY PODTRZYMAĆ?

Ostatecznie gabinet Donalda Tuska przyjął własne rozwiązania dopiero na początku maja. Zgodnie z nimi osoby o niższych dochodach będą mogły sko-

rzystać z bonu energetycznego, a cena maksymalna energii elektrycznej została ustalona na poziomie 500 zł/MWh. Nie zmienia to jednak znacząco tego, że od 1 lipca rachunki za prąd wzrosną o niemal 30 proc., a za gaz – o ok. 15 proc. Tak drastycznych podwyżek nie było w naszym kraju już od bardzo, bardzo dawna.

Wydaje się, że najważniejszą przyczyną tak długich namysłów uśmiechniętej koalicji była próba rozwiązania dylematu: czy dalej podtrzymywać dla obywateli ułudę stosunkowo niskich cen energii czy też „uwolnić” ceny już teraz i przyzwyczaić obywateli do nowych realiów. Zwyciężyła oczywiście pierwsza z tych opcji, choć w środowisku klimatycznych lobbystów dało się słyszeć głosy krytyczne, że rząd postąpił źle, ponieważ konsumenci powinni otrzymać bezpośredni sygnał cenowy i optymalizować zużycie energii w większym stopniu niż do tej

pory. Przekładając to na nieco bardziej zrozumiały język, cała klimatyczna branża chciałaby mieć możliwość drenowania portfeli Polaków bez żadnych ograniczeń ze strony państwowych regulatorów możliwie jak najszybciej.

W wielu innych branżach lobbyści nie obrażają się na państwo za to, że stosuje różnego rodzaju dopłaty i tarcze, lecz w przypadku przemysłu klimatycznego wszyscy zainteresowani tematem wiedzą doskonale, że pozostawiając obywateli na pastwę zielonej polityki, można osiągnąć dużo większe zyski. Konsumenci zapłacą nawet najwyższą cenę za prąd czy gaz, bo te są absolutnie niezbędne do funkcjonowania zarówno w biznesie, jak i w życiu prywatnym.

WCIAŻ NOWE SZCZITY CENOWE

Polskie państwo mrozi ceny energii już od trzech lat. W ubiegłym roku



FOT. ADRIAN STOK

w Polsce utrzymywały się na mniej więcej tym samym poziomie, nieprzekraczającym praktycznie nigdy 50 euro; obecnie jesteśmy jednym z kilku krajów, w których za energię płaci się najwięcej na kontynencie.

Skokowy wzrost cen energii elektrycznej to w 99 proc. efekt wdrażania polityki klimatycznej. Zwolennicy zielonej agendy przekonują oczywiście, że winny jest brak inwestycji w zieloną infrastrukturę. Twierdzi się, że gdyby poprzednie rządy należycie doinwestowały branżę OZE i szybciej odeszły od węgla, państwowi dostawcy energii nie musieliby dziś dźwigać tak horrendalnie wysokich kosztów zakupu pozwoleń na emisję dwutlenku węgla. Obecnie nawet 60 proc. ceny energii elektrycznej dostępnej na giełdzie stanowi sztuczny, klimatystyczny narzut w postaci przymusowych certyfikatów z systemu EU ETS.

Rządzącym z pewnością nie można odmówić determinacji w odchodzeniu od węgla, którego udział w krajowym miksie energetycznym zmalał od momentu wejścia do Unii Europejskiej z 98 proc. do ok. 69 proc. obecnie. W ubiegłym roku żaden inny kraj w Europie nie zdołał również tak bardzo zredukować emisji CO₂ jak Polska. Pomimo tego jeszcze długo będziemy płacić jedno z najwyższych cen za energię w Europie (i na świecie), ponieważ apatyczne działania Zjednoczonej Prawicy w zakresie budowy elektrowni atomowych oraz coraz bardziej jawny sabotaż ze strony uśmiechniętej koalicji sprawiają, że jeszcze przez wiele lat będziemy uwikłani w najbardziej kosztowny schemat wytwarzania energii. Według ostatnich zapowiedzi rządu powstanie pierwszej elektrowni atomowej ma zostać przesunięte dopiero na 2040 r. – w tym czasie zgodnie z klimatystycznym harmonogramem system EU ETS będzie już karał za korzystanie z paliw kopalnych horrendalnie wysokimi stawkami rządu 250 euro za tonę (co roku liczba pozwoleń na emisję jest stopniowo ograniczana aż do zera).

„URYNKOWIENIE” BRANŻY

Dostrzegając majaczącą na horyzoncie katastrofę polskiej gospodarki, część ekspertów i komentatorów wzywa od dłuższego czasu do jak najszybszego „urynkowania” branży. Za obecny brak

rynku winią przede wszystkim poprzednią ekipę rządzącą, która zabetonowała rynek, tworząc cztery wielkie grupy energetyczne (PGE, Enea, Energa, Tauron). Skupiająca się przede wszystkim na zabezpieczeniu rodzimych spółek przed obcym przejęciem Zjednoczona Prawica rzeczywiście znacząco ograniczyła mechanizmy konkurencji, lecz jej działania i tak błędna w porównaniu z tymi, które podejmowała za jej zgodą Unia Europejska. Unijna polityka klimatyczna to przecież nie tylko sam narzut w postaci systemu EU ETS, lecz także cała koncepcja przymusowej transformacji energetycznej przeprowadzanej pod dyktando centralnych planistów.

Gdyby więc miało nastąpić prawdziwe urynkowanie branży energetycznej, to nade wszystko trzeba byłoby zrzucić z niej gorset systemu pozwoleń na emisję dwutlenku węgla oraz innych zielonych regulacji. Proponowane obecnie zmiany zakładające „większy udział rynku” są więc tak naprawdę pseudozmianami wprowadzającymi kosmetyczne poprawki do systemu sprzedaży energii na giełdzie.

Jedyną kosmetyczną zmianą na lepsze, którą udało się do tej pory wprowadzić obecnemu rządowi, jest wprowadzenie dla największych dostawców energii obowiązku poszerzenia oferty dla gospodarstw domowych. Na mocy nowelizacji ustawy o prawie energetycznym już od sierpnia każdy z nas będzie mógł mieć dostęp do taryf, które uwzględniają aktualne notowania na giełdzie. Dzięki temu obowiązujące nas stawki będą mogły się zmieniać nawet na bieżąco. Tego rodzaju rozwiązania mogą potencjalnie nieco obniżyć wysokość płaconych przez nas rachunków, lecz niestety nie przyczynią się w żaden sposób do pozbycia się klimatystycznej narośli pasożytniczej na energetyce.

ZŁOTOUSTY RYSZARD

Kilka miesięcy temu szef sejmowej komisji gospodarki Ryszard Petru stwierdził nieoczekiwanie w jednym z wywiadów, że uwolnienie cen energii jest konieczne, gdyż państwo nie może do wszystkiego dopłacać. Złotousty polityk powiedział zdecydowanie więcej, niż życzyliby sobie tego liderzy rządzącej koalicji, gdyż w sondażach wciąż blisko

przeznaczyło na ten cel aż 60 mld zł, a tylko w pierwszym półroczu obecnego ok. 16,5 mld zł. Nie ma przy tym większych szans na to, aby w kolejnych latach udało się znacząco ograniczyć wydatki w tym zakresie, ponieważ transformacja energetyczna będzie stale przyspieszać, a nie zwalniać. Oznacza to, że każdego roku będziemy marnotrawić dziesiątki miliardów złotych na politykę klimatyczną, pozbawiając się jako naród możliwości przeznaczenia tych środków na realizację wielu ważnych inwestycji.

Szczytowe jak dotąd ceny energii elektrycznej i gazu na europejskich giełdach występowały w 2022 r., lecz nie oznacza to wcale, że powróciły do dawnych poziomów. Średnia cena hurtowa energii elektrycznej w Polsce w kwietniu tego roku wynosiła 80 euro za 1 MWh i była niemal dwukrotnie wyższa niż jeszcze w 2020 r. Wcześniej przez wiele lat ceny

■ 80 proc. wyborców opowiada się za mrożeniem cen. Uśmiechnięta Polska nauczyła się już, że nie może lekceważyć nastrojów społecznych tak jak w latach 2007–2015, i dlatego ostatecznie przychyliła się do woli większości.

Słowa Petru pokazują jednak, że rządzący stoją przed ogromnym dylematem. Swego rodzaju wrażliwości społecznej nauczyli się dopiero pod wpływem sukcesów PiS. Ponadto jako przykładowi wykonawcy agendy klimatycznej muszą bezrefleksyjnie wdrażać kolejne elementy zielonej transformacji, a to oznacza pójście ścieżką zmuszania obywateli do coraz większych wyrzeczeń i ponoszenie coraz wyższych kosztów. Koszty te można maskować kolejnymi transzami nadzwyczajnej pomocy, ale tylko do czasu, ponieważ jako Europa właśnie wkraczamy w okres masowego szturmu zielonych regulacji. Oprócz wspomnianych już zmian w energetyce czekają nas niebawem m.in. wdrożenie od 2027 r. systemu EU ETS2 rozszerzonego na transport i budownictwo oraz wprowadzenie cła węglowego od 2026 r. na produkty stalowe, aluminiowe, cement, nawozy, energię elektryczną i wodór. Jeśli do tego uwzględnimy dyrektywę budynkową EPBD, zakładającą doprowadzenie do pełnej zeroemisyjności wszystkich budynków na terenie Unii, to do połowy wieku uzyskamy obraz zwielokrotnionego targnięcia się przez władze na kieszenie obywateli.

KTO POWIE „PAS”?

Czyśś absolutnie oczywistym jest więc to, że rządzący wcześniej czy później najzwyczajniej w świecie nie będą już w stanie dalej mrozić cen i dosypywać pieniędzy z budżetu na rekompensaty, bony oraz tarcze. Na samą tylko transformację polskiego systemu energetycznego polscy podatnicy będą musieli przeznaczyć ok. 900 mld zł, a do tego dochodzi przecież przymusowa transformacja energetyczna ich własnych domów i mieszkań przy stale rosnących kosztach związanych choćby z wprowadzeniem cła węglowego (całkowity koszt wdrożenia dyrektywy EPBD to nawet ponad 1 bln zł). Rząd Tuska wystraszył się powiedzenia Polakom prawdy o tym, co ich czeka, i w dokładnie ten sam sposób co rząd Morawieckiego zapewnił sobie

spokój na kolejne miesiące. Gdy jednak koszty zielonego szaleństwa przeważą zdolności budżetu do mrożenia cen i wypłacania bonów, problem powróci ze zdwojoną mocą.

Klimatystyczny narzut w energetyce nie pozostanie niestety bez wpływu na poziom inflacji. Zaplanowane na lipiec podwyżki sprawią, że ceny wzrosną o co najmniej 1 punkt procentowy. Znaczny potencjał w zakresie inflacyjnym ma również wspomniane już cło węglowe, które podwyższy koszty funkcjonowania, w szczególności w branży budowlanej. Nie dość więc, że zapłacimy więcej za energię, to dodatkowo skurczą się nasze możliwości wydatkowania pieniędzy w innych obszarach. Za zielone inwestycje realizowane w ramach Funduszu Odnowy zapłacimy zresztą także nowymi podatkami pobieranymi bezpośrednio przez powstające na naszych oczach europejskie państwo federalne.

Państwo nie może ciągle ukrywać przed obywatelami prawdziwych skutków wdrażania Zielonego Ładu, bo te są nie do udźwignięcia

Ukrytym kosztem klimatycznego wzrostu cen energii jest także postępujące uzależnienie obywateli od władzy. Przygotowywane bony energetyczne razem ze skomplikowanym systemem obliczania ulg i limitów przyczyniają się do dalszego zwiększenia biurokracji. Nie od dziś wiadomo, że socjalizm bohatersko pokonuje trudności nieznane w żadnym innym ustroju, ale jego zielona wersja wspina się pod tym względem na same szczyty bezmyślności.

NIECH WEŹMIE TO NA SIEBIE UNIA

Po tym jak Ursula von der Leyen oznajmiła 6 maja, że z Polski zdjęta została procedura w sprawie praworządności, praktycznie niezaprzeczalna stała się teza, iż wielomiesięczne wstrzymywanie środków z KPO dla Polski miało na celu tylko doprowadzenie do zmiany władzy w Warszawie. Mając zaciągnięty

u Niemców ogromny dług wdzięczności, nowa ekipa rządząca stała się w pełni dyspozycyjna w zakresie budowy europejskiego superpaństwa. Uznanie przez Donalda Tuska wyższości prawa unijnego nad polskim, a także wiele innych gestów uległości uzyskuje w kontekście wdrażania Zielonego Ładu jeszcze jedno uzasadnienie.

Wiedząc, z jak wielkimi kosztami i społecznym niezadowoleniem będzie się wiązało wdrożenie Zielonego Ładu, uśmiechnięta koalicja tym bardziej chętnie zrzeknie się kolejnych atrybutów suwerenności, ponieważ pomoże jej to zredukować odpowiedzialność za stale rosnące ceny i spadek stopy życiowej. Gdy do obywateli dotrze wreszcie kiedyś, na jak wielką skalę zostali oszukani i jak wielkie koszty będą musieli ponieść za rzekome ratowanie planety, rządzący zwyczajnie zasłonią się koniecznością spełniania poleceń płynących z Brukseli.

O tym, że uśmiechnięta koalicja w pełni zdaje sobie z tego sprawę, świadczy najlepiej postawa Donalda Tuska, który zamiast przekonywać na każdym kroku, iż Zielony Ład przyniesie większe bogactwo, z satysfakcją punktuje regularnie PiS za to, że zgodził się na wszystkie elementy zielonej polityki (w czym ma oczywiście absolutną rację). Po tego typu argumenty nie sięga osoba autentycznie przekonana do korzyści płynących z klimatycznej polityki.

Rozpoczęte przez Zjednoczoną Prawicę kamuflowanie skutków zielonej polityki jest niezwykle krótkowzrocznym i szkodliwym zabiegiem. Dziesiątki miliardów przeznaczane na mrożenie cen i wypłatę specjalnych świadczeń można by z powodzeniem spożytkować choćby na dobrożenie armii czy przeciwdziałanie naszej demograficznej katastrofie. Państwo nie może ciągle ukrywać przed obywatelami prawdziwych finansowych skutków wdrażania Zielonego Ładu, bo te są nie do udźwignięcia.

Do tej pory, nie licząc partyjnego zrywu PiS (który od początku wspierał zieloną transformację na wszystkich poziomach), na ulice przeciwko zielonej polityce wyszli protestować jedynie rolnicy. Niestety, wiele wskazuje na to, że zanim obudzi się większość, zmarnowane zostaną jeszcze setki miliardów złotych.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGAKIEM**PDT – pilny uczeń PMM**

Gdy się wczytać – a raczej, gdy próbować się wczytać, bo to zadanie bez mała beznadziejne – w propozycji sposobu realizacji niektórych z setek złożonych przez Tuska obietnic wyborczych, włos zaczyna się jeżyć na głowie. Tak jest np. z przyrzeczeniem ograniczenia tzw. podatku Belki, czyli podatku od zysków kapitałowych.

Mógłbym oczywiście próbować przedstawić, w jaki sposób ulga w tym podatku ma być obliczana, ale – proszę mi wierzyć – jest to formuła tak skomplikowana, że trudno będzie sobie z nią poradzić zwykłemu ciułaczowi bez wsparcia doradcy podatkowego. A zatem do tej pory był to podatek zły, i to zły w dwójnasób (bo każdy podatek oprócz liniowego jest zły, a podatek od dochodów, które już raz zostały opodatkowane, jest podwójnie zły), lecz przynajmniej łatwy do wyliczenia, i w dodatku obliczany był (a raczej wciąż jeszcze jest), przynajmniej w przypadku zwykłych ciułaczy, nieparających się inwestowaniem oszczędności na giełdzie, automatycznie i często po prostu poza ich wiedzą wysyłany przez banki do urzędów skarbowych. No i teraz, zamiast po prostu w całości znieść ten podatek (który wprowadzano „tylko na chwilę”, „tylko przejściowo”) albo obniżyć jego wymiar z 19 proc. do – powiedzmy – 15 proc. i pozostawić tę samą łatwość w jego

uiszczaniu, wprowadza się zwolnienie z niego, ale tylko do 100 tys. zł i tylko dla produktów ponadrocznych, przy okazji do imentu komplikując jego rozliczanie.

Właśnie dzięki takim „reformom” nasz system podatkowy, należący do najbardziej skomplikowanych na świecie, wkrótce stanie się po prostu najbardziej skomplikowanym na świecie. Już ekipa Morawieckiego zaczęła mocno gmatwać to, co i tak było tego zagmatwane. Z prostego, liniowego podatku ryczałtowego od wynajmu nieruchomości, zrobiono podatek z progiem, a potem jeszcze dorzuciono „ulgę małżeńską”. Skomplikowano też reguły obliczania podatku od dochodów, wprowadzając zerowy PIT dla osób do 26. roku życia, ale tylko na niektórych rodzajach umów. Czymże to jednak było przy katastrofie związanej z wyliczaniem podatków PIT i zdrowotnego na poszczególnych etapach wprowadzania i wyprowadzania koszmarnego, nieskończoną liczbę razy nowelizowanego tzw. Polskiego Ładu, autorstwa premiera Morawieckiego? A to w nie-małej mierze właśnie na tych „atrakcjach” upłynęły nam aż dwa lata – 2022 i 2023.

No i widać, że teraz czeka nas ciąg dalszy tej kołomyi, bo ministrowie Tuska i sam Tusk (PDT) to w tej dziedzinie – jak się okazuje – pilni uczniowie ministrów Morawieckiego i samego Morawieckiego (PMM). ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA**Ekonomiczna analfabetka rządu**

Płynące z Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej pomysły sprawiają, że włosy stają na głowie każdemu, kto cokolwiek rozumie z gospodarki. Jedno można już powiedzieć wprost: postanowiona na czele tego resortu przez pana Donalda Tuska pani Agnieszka Dziemianowicz-Bąk jest ekonomiczną analfabetką, wysuwającą kompletnie obłąkane pomysły i prawdopodobnie nierozumiejącą ich konsekwencji.

Pani Agnieszka Dziemianowicz-Bąk wysuwa kompletnie obłąkane pomysły

Nic dziwnego. Ta polityk wywodzi się ze skrajnie lewicowego Razem (choć nie jest już członkiem tej partii), z wykształcenia jest filozofem, a całe życie zajmowała się aktywizmem i działalnością polityczną. Nigdy nie miała do czynienia z biznesem. Zrobienie jej ministrem pracy – a więc osobą odpowiedzialną za znaczną część kwestii gospodarczych – ma podobny walor, jaki miałoby zrobienie, dajmy na to, Czesława Kiszczaka pełnomocnikiem do spraw praworządności.

Odpowiada zaś za to politycznie nikt inny jak pan premier. Na niego też spadnie odpowiedzialność za zniszczenie polskich firm, gdyby szaleńcze pomysły pani minister miały wejść w życie.

Na czoło wysuwają się dwa z nich: dążenie do czterodniowego tygodnia pracy oraz do ustanowienia płacy minimalnej na poziomie 60 proc. średniej krajowej. Dramatyczne konsekwencje obu tych pomysłów dla polskich przedsiębiorców są tematem na osobny tekst. Gdyby jednak skłaniać się w kierunku teorii z lekką spiskowych, można by uznać, że pani Dziemianowicz-Bąk działa w interesie naszych gospodarczych konkurentów i chce, żeby Polska przestała się rozwijać, a więc i im zagrażała.

W obu przypadkach mechanizm powstawania tych projektów jest oczywisty: punktem wyjścia nie były jakiekolwiek konkretne problemy, które trzeba by rozwiązać. To byłoby podejście względnie konserwatywne. Punktem wyjścia jest najczystsza ideologia – tak zawsze działa lewica. Najpierw jest wymyślona w gabinecie albo przy stoliku w kawiarni, przy sojowym latte, jedynie słuszna, rewolucyjna koncepcja, a potem do tej koncepcji ma się przystosować rzeczywistość. A jeśli nie chce – to tym gorzej dla rzeczywistości. ©©



Dolce vita czekolady



Joanna Bojańczyk

Odkrycia, fałszerstwa, technologie. Historia czekolady nie zawsze była słodka. O jej burzliwej przeszłości i nieoczywistej teraźniejszości opowiada fascynująca książka dwojga amerykańskich autorów

FOT. ANDRZEJ STOLCK

Kiedy w latach 80. zamieszkaliśmy w Meksyku, wiele obiecywałam sobie po czekoladzie. Prawdziwa tabliczka od Wedla była w Polsce, wówczas kraju kartek i wyrobów czekoladopodobnych, trudno dostępnym rarytasem. Tymczasem to, co wkrótce po przyjeździe do stolicy Mexico DF kupiliśmy z myślą o aromatycznym śniadaniu, niewiele przypominało znany z Polski smak.

Brunatne, twarde, sprasowane krążki „chocolate” o ziarnistej strukturze i średnicy ok. 6 cm, pakowane w rolki, nie chciały za nic rozpuścić się w wodzie i miały niezbyt słodki nieokreślony smak, niepodobny do tego, który znało europejskie podniebienie. Co za zawód!

A przecież ojczyznę czekolady jest właśnie Meksyk. Koronny dowód: mole, flagowe danie meksykańskiej kuchni, wieloskładnikowy czekoladowy sos z chilli, podawany do indyka, kurczaka i wieprzowiny. Chilli, pomidory, cynamon, rodzynki, czosnek, anyżek, goździki, tabliczki czekolady... Danie endemiczne, trudne do podrobienia gdzie indziej. Kto

go nie jadł, nie zrozumie Meksyku, kraju sprzecznych żywiołów.

XXXVIII WIEKÓW

Czekolada pociąga nie tylko dzieci, dorosłych, dietetyków. Foodies nie wezmą do ust fabrycznego wyrobu, muszą mieć „czekoladę rzemieślniczą”. Interesowała ona archeologów badających jej ginące w mrokach historii pochodzenie. Czekoladowe tropy znaleźli na naczyniach Olmeków, cywilizacji powstałej na wybrzeżach Zatoki Meksykańskiej 3 tys. lat temu. Wyniki badań laboratoryjnych wystawiły jej bezdyskusyjną metrykę: XXXVIII stulecie. Aztekowie czekoladę nie tylko pili, lecz także używali jej jako środka płatniczego.

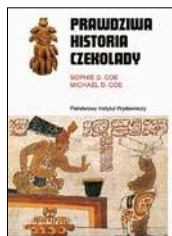
Mieli tego całkiem sporo, bo 22 odmiany kakaowców (nazwę theobroma cacao nadał drzewu XVIII-wieczny przyrodnik szwedzki Linneusz) występowały w tropikalnych dorzeczeniach Amazonki, wybrzeżach Pacyfiku od Ekwadoru przez Kolumbię, Panamę, Kostarykę, Nikaragwę, Gwatemalę, aż do Meksyku.

Wraz z katastrofalnym zniszczeniem azteckiej stolicy w 1521 r. i upadkiem

imperium Azteków interes czekoladowy przeniósł się do Europy. I tam robił dalszą karierę kulinarną i biznesową. Początkowo egzotyczny owoc funkcjonował w Europie trochę jako ciekawostka, trochę jak lekarstwo. Potem, gdy rozgryziono tajemnice jego słodkiego smaku – jako luksusowy napój arystokracji. „Jest pożywny, smaczny i przyjemny, przynosi ochłodę i nie powoduje zatrucia” – pisał dominikanin Bartolomé de Las Casas. Nie potwierdzono natomiast, jakoby napój czekoladowy miał cechy afrodyzjaku. W sumie kariera czekolady była podobna do przeżyć herbaty i kawy: wędrówka od apteki do elity, w końcu do mas.

BEZ KLĄTWY

Ziarno kakaowca wymaga skomplikowanej technologii. Po rozcięciu i wydobyciu nasion owoce przechodzą cztery etapy obróbki: fermentację, suszenie, prażenie lub palenie i śrutowanie. Ostatnie stadium to oddzielanie bezużytecznej łupiny od nasion. Nasiona, czyli to, co zostanie w środku, to właśnie kakao.



**MICHAEL D. COE,
SOPHIE D. COE
„PRAWDZIWA
HISTORIA
CZEKOLADY”
PAŃSTWOWY
INSTYTUT
WYDAWNICZY
2024**

Dla współczesnego konsumenta czekolada nie jest już luksusem. Naszą odporność na pokusy testują sterty kolorowo opakowanych słodczy, które omiatamy wzrokiem, stojąc w kolejce do kasy w supermarkecie. Lubimy słodki smak – to ewolucyjnie wykształcona potrzeba organizmu do dostarczenia szybkiej energii. Atawistycznie ulegamy cukierkom, wafelkom, batonom, nie bacząc na ich złą sławę.

Jedna tylko czekolada jeszcze nie została obłożona klątwą przez nowoczesną dietetykę.

Odwrotnie: wciąż cieszy się autorytetem wśród współczesnych apostołów zdrowego życia. Wydana w 1990 r. książka francuskiego lekarza Roberta Hervé „Les vertus thérapeutiques du chocolat” demontuje pogłoski o tym, że czekolada może wywoływać trądzik, migrenę, otyłość. Okazuje się, że jej składniki – kofeina, teobromina, serotonina i fenyloetyloamina – mają właściwości tonizujące, antydepresyjne, działają przeciwstresowo i wzmagają poczucie przyjemności. Magnez uspokaja.

No dobrze, a próchnica, choroba cywilizacji wynikająca z nadmiaru cukru? Jedzmy czarną, nie mleczną – odpowiada ją naukowcy i lekarze, bo wszystko, co złe, dotyczy czekolady mlecznej. Ciemna nie wywołuje próchnicy, cukrzycy, trądziku ani bólów głowy. Otyłość to także sprawa mlecznej i wszelkiego rodzaju jej pochodnych, a głównym winowajcą jest cukier.

To wszystko to nie cytaty z kolejnego poradnika z cyklu „Co jeść, żeby zapewnić sobie życie wieczne”. To „Prawdziwa historia czekolady”, fascynująca i poważna książka prosto z drukarni PIW. Kolejna pozycja serii popularnonaukowej, tzw. ceramowskiej, która wychodzi w PIW od roku 1958 i gwarantuje nie tylko poziom, lecz także ciągłość, co szczególnie cenne w naszej kulturze wydawniczej porzerywanej wstrząsami tektonicznymi.

Autorzy Sophie i Michael D. Coe są Amerykanami i taki też jest ich punkt widzenia. Z ich perspektywy najważniejszym nazwiskiem w historii amerykańskiej czekolady jest Hersheys, niewątpliwie wielka i ważna firma dla zachodniej półkuli. Mnie kojarzy się z mdłym, przesłodzonym i tłustym smakiem ame-

rykańskich czekolad. Co tylko potwierdza generalnie marną opinię o smaku/guście Amerykanów. Nie tylko moją, jak sądzę.

TAŃSZA NIŻ ZEGARKI

Tabliczka czekolady Wedla przez długie lata PRL miała niezmienną cenę 19 zł, ale nie zawsze była dostępna. Kakao również „bywało”. Serca polskich konsumentów podbili Szwajcarzy; szczęśliwie czekolada była tańsza niż zegarki.

Do wynalezienia mlecznej czekolady przyczyniło się dwóch obywateli Helwecji: chemik Henri Nestlé i Daniel Peter. Pierwszego zna każde dziecko, a wdzięczna mu jest szczególnie matka niemowlęcia, gdyż opracował technologię uziławiania mleka w proszku przez odparowanie go tak, aby produkt nadawał się do spożycia dla noworodków. Zasługą pana Petera jest czekolada mleczna – osuszał mieszaninę ziarna i dodawał do niej masło kakaowe.

Inny obywatel Szwajcarii – Rudolf Lindt – sprawił, że gruboziarnista czekolada stała się jedwabista i delikatna. Nazywał ją pomadką. Wreszcie zrozumiałam, czym były „pomadki”, które często występują w przedwojennej literaturze i którymi dżentelmeni karmili damy.

Panu Toblerowi zawdzięczamy mleczny baton Toblerone nadziewany migdałowo-miodowym nugatem. Tylko dla posiadaczy zdrowych zębów.

Ze Szwajcarami konkurowali Holendrzy. W roku 1815 holenderski chemik Coenraad Johannes van Houten opatentował proces tworzenia sproszkowanej czekolady nowego rodzaju, o niskiej zawartości tłuszczu. Pamiętam z lat 60. i wczesnych 70. ówczesny delikates, brązową puszkę kakao van Houtena. Zdobił ją obrazek Holenderki w charakterystycznym czepcu na głowie, szerokiej spódnicy i sabotach. Rysunek jak z dawnych książeczek dla dzieci. Potem pojawiły się nowocześniejsze puszki: białe-brązowe, już bez obrazków, ale kakao było bardzo dobre. Trzeba było proszek mieszać z wodą lub mlekiem i zagotować. Było też kakao Wedla, w małych tekturowych pudełkach. W latach 80. zaliczyliśmy jedyny w swoim rodzaju eksperyment: wyroby czekoladopo-

dobne. Żadny słodczy klient tyknął i tę słodko-gorzką pigułkę.

Na początku Gierka tzw. prywatny import zawałdął rozpuszczalnym kakao angielskiej marki Cadbury, które początkujący biznesmeni sprowadzali na własną rękę z Anglii. Cadbury, utalentowany biznesmen i przemysłowiec, sprowadził z Holandii maszynę van Houtena i działał tak prężnie, że zdobył tytuł dostawcy na dwór królowej Wiktorii. To właśnie jemu zawdzięczamy pierwszą bombonierkę z czekoladkami. Na opakowaniu dziewczynka, naprawdę córeczka Richarda Cadbury’ego, tuliła kotka. Sentymentalny obrazek tak podbił serca klientów, że sprzedaż gwałtownie podskoczyła. „Bombonierki” van Houtena w wykonaniu wedlowskim zrobiły w Polsce karierę jako niezawodny upominek na imieniny, dla lekarza, w urzędzie... Pudełka przewiązane wstążkami przedstawiały widoki Warszawy, Krakowa. Dziś to wyszło z mody albo zastąpione zostało pudełeczkiem Merci...

KAKAO CEGLASTE

Jak w wypadku każdego dobra o ograniczonym zasięgu, fałszowanie stało się złą ucziwego biznesu. Proceder występował zarówno w Ameryce, jak i w Europie. George Cadbury musiał przyznać, że jego wyroby fałszowano krochmalem. Natychmiast po ujawnieniu skandalu przystąpił do kampanii reklamowej, twierdząc, że jedynie on wyrabia czystą czekoladę. We Francji czekoladę fałszowano, dodając do niej zmielony suchy groch, mączkę z ryżu i soczewicy oraz krochmal. Fałszerze odznaczali się kreatywnością. Dodawano nawet pył ceglany, farbowano ochrą, minią i cynobrem. Dwa ostatnie to trucizny... Masło kakaowe zastępowano tłuszczem zwierzęcym, co czekoladzie nadawało smak sera.

Dzięki tej świetnej książce stało się dla mnie jasne, czym były ziarniste, twarde krążki meksykańskiej czekolady, które tak zawiodły mnie w Meksyku. To był przecież metr z Sèvres czekolady! Oto przepis angielski cytowany przez Sophie i Michaela Coe: „Weź placek czekolady i rozłucz go w moździerzu na drobny proszek. Zmieszaj z cukrem i wsyp do niewielkiego rondelka, w którym wrze woda, i dobrze ubijaj małą kołatką [...]”.

Bez kołatki też można.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

OPEL ASTRA E-SPORTS TOURER



Nowoczesny wygląd, przestronne wnętrze, spory bagażnik (352 l), pod maską nowy, mocniejszy silnik (156 KM i aż 270 Nm momentu obrotowego), a pod podłogą bateria o pojemności ok. 51 kWh – tak najkrócej można scharakteryzować najnowszą wersję popularnej Astry w wersji napędzanej wyłącznie przez prąd.

Wprawdzie nabywcy aut rodzinnych wciąż chętnie rozglądają się za SUV-ami i crossoverami, Opel jednak próbuje odwrócić ten trend i zawojować serca klientów elektryczną Astrą z nadwoziem typu kombi. I ma czym przekonywać. Nowy Opel Astra e-Sports Tourer jest na tyle zwawy, że bez trudu pozwoli na czas odwieźć dzieci do przedszkola/szkoły i zdążyć do biura. Spod świateł rusza dynamicznie. Na przyspieszenie od zera do setki potrzebuje 9,2 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 170 km/h.

A co z zasięgiem? Według producenta maksymalny zasięg w cyklu mieszanym to 429 km, choć dla własnego zdrowia psychicznego lepiej zakładać, że to 400 km (i to poza autostradami oraz w sprzyjających temperaturach). Do wyboru są tryb sportowy, normalny i eko. Średnie zużycie podczas naszego redakcyjnego testu wyniosło 14,1 kWh/100 km, co już jest dobrym wynikiem jak na tak pakowne auto. Przy bardzo oszczędnej jeździe w trybie eko (po jego włączeniu moc auta jest automatycznie ograniczona, a samochód reaguje na naciśnięcie pedału gazu tak jak pracownicy z pokolenia „Z” na SMS szefa po godzinach pracy) udało mi się zejść do średniej na poziomie 11,6 kWh/100 km, co jest już wynikiem rekordowo dobrym (powinienem za to dostać jakąś nagrodę, ale niczego się nie spodziewam, bo samo

drukowanie dyplomu byłoby pewnie w dzisiejszych czasach nieekologiczne, a nawet e-mail zostawiłby ślad węglowy).

Średnie spalanie w mieście wynosi ok. 12 kWh/100 km i pozwala na przejechanie ok. 410 km. Jazda na trasie zmniejsza zasięg do ok. 300 km. Nawet na drodze ekspresowej da się elektryczną astrą osiągnąć średnią na poziomie 20,3 kWh (zasięg wynosi wówczas 250 km). Na autostradzie przy jeździe ze średnią prędkością 140 km/h zużycie energii rośnie już ponad 25 kWh/100 km, co oznacza konieczność ładowania co 180–200 km.

Maksymalna moc ładowania w tym modelu wynosi 100 kW. Fajnie byłoby, gdyby w najnowszej wersji była jeszcze wyższa, ale i tak na szybkiej ładowarce od 10 proc. do 80 proc. podładujemy akumulator w mniej więcej pół godziny. Największy problem tego modelu polega na skłonności komputera pokładowego do koloryzowania rzeczywistości. Wprawdzie wynik dotyczący zużycia energii wydaje się prawidłowy, jednak komputer optymistą na początku trasy mocno zawyża zasięg, a dopiero podczas jazdy szybko go urealnia. Jeśli w okolicy nie ma wielu ładowarek, to może zrobić się nerwowo.

Centralnym elementem deski rozdzielczej są dwa ekrany, o przekątnej 10 cali każdy, a także wyświetlacz HUD, który pokazuje kluczowe informacje na szybie. Są też fizyczne pokręta do sterowania klimatyzacją oraz głośnością. Wnętrze jest przyjemnie wykończony, fotele ergonomiczne, a bagażnik spory. Niestety, tanio nie jest. Cena: 202,5 tys. zł. ©

FOT. PAP

ROBOROCK S8 MAXV ULTRA

Minimalistyczne wzornictwo, wysoka skuteczność sprzątania, a zwłaszcza mopowania podłóg, laserowa nawigacja LiDAR, brak konieczności opieki nad robotem – to największe zalety jednego z najlepszych, a jednocześnie jednego z najdroższych robotów tego typu dostępnych obecnie na polskim rynku, chińskiej firmy Roborock.

Robotów odkurzająco-mopujących jest już na rynku zatrzęsienie, a ogromna konkurencja sprawia, że maszyny, które niegdyś można było traktować bardziej w charakterze ciekawostki, dziś stały się naprawdę zaawansowanymi urządzeniami. Najwięksi giganci – ze Stanów Zjednoczonych oraz z Chin – prześcigają się zaś możliwościami swoich flagowców. Jednym z takich modeli jest właśnie Roborock S8 MaxV Ultra.

Nie jest to może jeszcze robot idealny, ale jest jednym z najlepszych, jeśli nie najlepszym, jaki miałem okazję testować. Moc ssania tego modelu wynosi 10 000 Pa, a bród z podłóg i dywanów skutecznie zbiera podwójna gumowa turboszczotka. Plusem jest także skuteczność mycia podłóg wykorzystująca mopowanie z główną nakładką wibrującą z częstotliwością 4 tys. razy na minutę (podczas sprzątania dywanów są one automatycznie podnoszone na wysokość 20 mm). Oprócz tego jest jeszcze boczny mop soniczny, dzięki któremu testowany model nie zostawia nawet 2 cm nieumytej podłogi. Na



pochwałę zasługuje też system rozpoznawania zabrudzeń, dzięki któremu robot będzie mopował dane miejsce kilkakrotnie, aby je umyć, a nie tylko zmoczyć.

W zestawie są stacja dokująca (o wysokości 47 cm), w której znalazło się miejsce na tradycyjny worek, oraz zbiorniki na brudną oraz czystą wodę. W stacji są także

dozownik płynu oraz miejsce oczyszczania i skutecznego suszenia nakładek mopujących (w temperaturze 60 st. C).

Akumulator o pojemności 5200 mAh wystarcza na mniej więcej trzy godziny pracy na jednym ładowaniu. Kamera RGB ułatwia zaś robotowi rozpoznawanie ponad 70 rodzajów obiektów, które ma omijać (np. kable, przedłużacze, psy/koty, legowiska, miski etc.) lub odwrotnie (odkurzac zwiększyć moc w pobliżu kocich kuwet lub drapaków). Będąc poza domem, można nawet zlecić robotowi, aby odnalazł naszego futrzaka i zrobił zdjęcie tego, co ten akurat robi.

Wady? Największa to cena, która w promocji wynosi 5999 zł. Drugi minus: robot nie nauczył się też jeszcze polskiego (komendy słownie trzeba mu wydawać wyłącznie po angielsku, a i tłumaczenie aplikacji mogłoby być bardziej perfekcyjne). I trzecia wada: na czarnej obudowie robota widać kurz (producent ma też jednak w ofercie wersję białą). ©

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Polanowski pokój (nie)wieczysty



JACEK KOMUDA

W czerwcu 1634 r. w wiosce Szelewo między Wiaźmą a Doro-hobużem, na wschód od Smoleńska, toczyły się rokowania zakończone podpisaniem pokoju nad graniczną rzeczką Polanówką i z tego powodu zwanym pokojem polanowskim. Miał skończyć z odwieczną wrogością Rzeczypospolitej i Moskwy. W praktyce dał carowi 20 lat na przygotowanie się do nowego starcia. Zakończył jednak prawie czteroletnią wojnę

smoleńską, uznaną przez wielu historyków za część toczącej się na zachodzie wojny trzydziestoletniej. W 1632 r. bowiem, wykorzystując zamieszanie po śmierci króla Zygmunta III Wazy, car złamał rozejm i zaatakował klucz do

granic Rzeczypospolitej – twierdzę smoleńską. Stawiła ona jednak opór, a kiedy nadciągnęła odsiecz pod wodzą nowego króla Władysława IV, oblegający stali się oblężonymi – armia moskiew-

ska pod dowództwem Michała Borysowicza Szeina sama została zamknięta w kleszczach, otoczona ciągami fortyfikacji i obozów. Ostatecznie skapitulowała 25 lutego 1634 r., składając u stóp polskiego króla 36 chorągwi, 15 ciężkich dział oblężniczych oraz 50 mniejszych. Władysław, który ciągle używał tytułu władcy Moskwy, wyruszył teraz na wschód, ale utknął pod twierdzą Białą, w której zaciekle bronił się książę Fiodor Wołkoński. Okazało się też, że nie ma co liczyć na przychyłność Moskali, ludność nie zamierzała uznać naszego króla carem i nie chciała poddawać się

na jego imię. Plany Władysława, aby uderzyć na stolicę i odzyskać tron carski upadły. Bowiem Rosja z roku 1634 nie przypominała już tej z czasów dymitriad i bitwy pod Kłuszynem. Miasta były solidnie ufortyfikowane i zaopatrzone w artylerię, pod Smoleńsk uderzyła armia, w której oprócz brodatych strzelców i jazdy dworzańskiej maszerowały pułki „nowowo stroja”, czyli oddziały piechoty sformowane przez cudzoziemskich najemników na wzór podobnych formacji z armii szwedzkiej i holenderskiej. Na szczęście spore sukcesy odnosiły polskie zagony wysyłane w głąb państwa carów. Kazanowski uderzył na Wiaźmę, Kozacy zaporoscy na Kozielsk, inne oddziały pustoszyły okolice Rżewa i Możajska. W marcu książę Jeremi Wiśniowiecki z Łukaszem Żółkiewskim i Kozakami uderzył na Siewsk, nie zdobywając miasta, a następnie na Kursk, gdzie spalił przedmieścia i spustoszył okolicę.

Kapitulacja Szeina była dotkliwym ciosem dla cara. Ciekawe, że dowódcą był ten sam człowiek, który 20 lat wcześniej, w 1611 r., z uporem bronił Smoleńską i w końcu dostał się do polskiej niewoli. Teraz próbował odzyskać dobrą sławę, jednak po niepowodzeniach car kazał go ściąć razem z synem; podobny los spotkał także doradców – Artemija Izmajłowa i jego syna Wasilija.

Ostatecznie car wysłał posłów z prośbą o rokowania. Strona polsko-litewska początkowo je odrzucała, ale Rzeczpospolita znajdowała się wówczas w złym położeniu międzynarodowym. Za rok wygaszał rozejm ze Szwecją, a sułtan Murad IV przygotowywał się do ataku.

Rokowania zaczęły się od sporów i awantur z posłami cara, którzy drażniło, że król Władysław ty-

tułował się księciem moskiewskim. Sam zresztą władca – incognito – obecny był w czasie tych rozmów. Moskale wysuwali ogromne pretensje terytorialne, przywieźli nawet jakieś fikcyjne mapy uzasadniające ich żądania do ziem Litwy. Domagali się oddania Smoleńska i wydania artylerii, którą nasze wojska zdobyły w obozie Szeina. Doszło wręcz do sytuacji, kiedy książę Aleksy Lwów chciał zerwać rokowania. Wówczas wojewoda smoleński Aleksander Gosiewski wyszedł z namiotu i dosiadł konia, a król widząc to, kazał ogłosić alarm i stawać wojsku do boju. Potem sprawdzali, czy krzyż dany do przysięgi jest prawdziwy, kiedy wojewoda wileński i hetman Krzysztof Radziwiłł chciał jako protestant przysiąc na Ewangelię, podnieśli krzyk, że „chrześcijanin unika krzyża”, i próbowali zmusić go do jego ucałowania, później żądali, aby Ewangelia była dostarczona przez nich.

Ostatecznie 27 maja zawarto kompromisowy pokój. Stronie polskiej zależało, aby był wieczysty i na zawsze ubezpieczał od wschodu granice Korony i Litwy. Być może tak by się stało, gdyby nie wybuch 14 lat później powstania kozackiego, które obnażyło słabości Rzeczypospolitej i sprowokowało cara do interwencji. Król zrezygnował z tytułu wielkiego księcia moskiewskiego, otrzymując w zamian 20 tys. rubli odszkodowania, natomiast po wieczne czasy miał tytułować się księciem smoleńskim, siewierskim i czernihowskim. Rzeczpospolita oddała Moskwie ok. 12 tys. km kw. terenu, w tym zamek w Sierpiejsku. Pokój otworzył jednak drogę do współpracy – w planowanej przez króla wojnie przeciwko Tatarom i Turkom Moskwa miała stać się sojusznikiem Rzeczypospolitej. ©



FOT. DOMENICA PUBLICZNA

PKS QBA





ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Gazpacho

Ceny pomidorów na giełdach i na targach są dość niskie jak na maj, dlatego też trzeba to kulinarnie wykorzystać. Dzisiaj proponujemy danie charakterystyczne dla kuchni hiszpańskiej Andaluzji, czyli południowej części kraju – gazpacho. Początkowo ta idealna w upalnym klimacie zupa robiona była bez pomidorów, choć trudno to sobie wyobrazić. Jej podstawą były chleb, oliwa i czosnek. U nas odpowiednikiem była wodzianka, czasem robiona przez naszego dziadka. Suchy chleb zalewano się gorącą wodą, dodawało zmiażdżony ząbek czosnku, sól i oliwę albo masło i zjadało się posypaną zieloną pietruszką.

Przepis andaluzyjski wzbogacony o pomidory będzie dla nas dobrym źródłem witamin A, C, K, B6 oraz kwasu foliowego, potasu (korzystnego dla pracy serca), magnezu i miedzi. Pomidory mają też dużo błonnika i są niskokaloryczne. Czerwony kolor pomidora nadaje mu likopen, czyli silny przeciwutleniacz. Teraz bez pomidorów trudno się obejść, ale nasi przodkowie wcale nie byli na nie zbyt otwarci. W Polsce pierwsze pomidory wyhodowano w 1880 r. w Warszawie, ale dopiero po

drugiej wojnie światowej stały się popularne i powszechnie jedzone.

Gazpacho to zupa chłodnik oparta na pomidorach własnie. Będzie smaczna, gdy zdobędziemy dobre składniki i mocno ją schłodzimy. Pomidory wybierajmy polskie – duże, z cieką skórką, dojrzałe. Ogórek i cebula oraz czosnek też powinny być świeże i od lokalnego producenta. Będzie nam też potrzebny biały dobry chleb lub bułka namoczona w oliwie z oliwek. Pieczywo możemy obrać ze skórki, łatwiej wtedy namoknie, a skórkę możemy zetrzeć albo zmiksować i podsmażyć na oliwie. Będziemy mieli wówczas posypkę na gazpacho.

Jak je zrobić? Do miski wkładamy pokrojone na małe kawałki pieczywo, zalewamy je dobrą oliwą z oliwek (warto się postarać i wybrać smak, jaki lubimy). Przygotowujemy pomidory obrane ze skórki, oczyszczone z pestek i błonek paprykę (fakultatywnie), ogórek zielony obrany, trzy ząbki czosnku roztarte oraz kilka plasterków cebuli. Wszystko pokrojone i posolone niech sobie położy pół godzinki. Potem całość blendujemy i wkładamy na dobrą godzinę do lodówki. Możemy podawać w talerzach, choć Hiszpanie jedzą, a właściwie piją gazpacho ze szklanek. Na wierzch można dołożyć kawałeczki sera feta, posypać jeszcze pokrojonymi w kosteczkę warzywami – tymi samymi, które są w zupie, oraz naszą podsmażoną skórką.

Zupa jest lekka, ale pożywna, dobrze schładza organizm, więc gdy nadejdą upały, będzie jak znalazł. ©



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Sprawa kostiumu

Co można powiedzieć o kostiumie kąpielowym? Raczej niewiele, ale telewizja była widocznie innego zdania, bo zaprosili mnie kiedyś do programu śniadaniowego, żeby powiedzieć, co modne tego lata. Zanim weszliśmy na wizję, prowadzący rozmowę chciał się dowiedzieć, o czym to będzie: zdaje się, zwyczajem telewizora jest research last minute. Siadamy sobie, a on (nie powiem kto, jest gwiazdą do dziś) do mnie: „Pani Joanno, niech mi pani powie coś o tych kostiumach, bo ja nic nie wiem”. Ja na to: „Czy pan wie, że największym producentem na świecie jest Izrael?” (to było parę lat temu). Wchodzimy na wizję. Pan redaktor zagaja: „Pani Joanno, czy pani wie, że największym producentem kostiumów na świecie jest Izrael?”.

Kurtyna. Tak mnie przytkało, że nie zdobyłam się na żadną z licznych odzywek, które później przychodziły mi do głowy. Esprit d'escalier. W sumie nie jest to nawet bardzo zaskakujące, znając standardy dziennikarstwa telewizyjnego. Barbara Hoff zawsze ostrzegała: „Nic nie wiedzą i będą chcieli z ciebie wyciągnąć, ale nic im nie mów”.

W kwestii kostiumów: jakaś tam zmiana jest, wchodzą kolory, wzory sezonu, ale naprawdę jest mało istotne, co się nosi w danym sezonie; dla kostiumu najważniejsze jest, żeby dobrze w nim wyglądać. Młode i piękne mogą

sobie pozwolić na wszystko, ze starszymi gorzej. Na szczęście moda na opalanie się w biustonoszu bieleńczym już się skończyła, ale w dalszym ciągu trochę starsze damy z paroma nadmiernymi kilogramami nie mogą się dać przekonać, że bikini po sześćdziesiątce nie jest najlepszym pomysłem.

Ja tu piszę, że kostiumy to temat nieciekawym, ale proszę, mamy czasopismo, które zajmuje się tylko tym. Jest to magazyn „Sports Illustrated”, który co rok ma wydanie tylko o kostiumach. Zrozumiałe, zważywszy na to, że Stany mają Florydę, Kalifornię i jeszcze parę innych plaż. Teraz z okazji 60-lecia „SI” wydał numer jeszcze bardziej specjalny niż zazwyczaj. Na okładce tłum gwiazd bliżej nam nieznanym i już nie tak młodym, m.in. Gayle King, Chrissy Teigen, Kate Upton i Hunter McGrady. Bynajmniej nie mają na sobie strojów kąpielowych, lecz suknie wieczorowe. W każdym razie publiczność pochwaliła pomysł udzielenia okładki paniom w wieku ileś tam plus.

A jak już jesteśmy przy starszych, to Maye Musk, obecnie 76-letnia modelka i matka Elona, dwa lata temu wystąpiła na okładce tego czasopisma. Siwe włosy, szczupła sylwetka, miły uśmiech. Swoboda, brak tego wysiłku, jaki Madonna czy Cher muszą wkładać w każdy ruch twarzy z obawy, żeby szwy nie puściły.

Milej kąpiele! ©



DEKAMERONKI

Emocje sterowane

JERZY KARWELIS

Wszyscy się emocjonują ostatnim wystąpieniem Tuska, podczas którego szef polskiego rządu ni z gruszki, ni z pietruszki zamienił obronę swej koalicyjnej ministrzyny na atak na PiS z powodu sprzyjania Putinowi. Odkonstrowało się wiele analiz tego show, oglądania każdej frazy i słowa pod światło wojny polsko-polskiej, a wielu analityków stwierdziło, że dawno nie widziano tak rozemocjonowanego premiera. Że to wskoczył na temat w sumie bez trybu, bo tak go wzburzyło... No właśnie co?

Cóż to takiego się stało, oprócz dezercji sędziego szpiega, który dostawał kolejne nominacje od wszystkich rządzących opcji, że nagle tak Tusk „wyszedł z nerw”? Skąd ten nawrót na onucowe tematy, zwrot w traktowaniu komisji do spraw tropienia ruskich, tym razem w stronę przeciwną? Przypomnę – komisji, której nazwę u ludu utrwalili media na „lex Tusk”, bo taka miała mierzyć w resetowe korzenie relacji PO-Kreml. To teraz, gdy komisja ma działać w drugą stronę, a tak zapowiedział premier w swym „emocjonalnym” wystąpieniu, to wszystko jest nagle OK? To może per analogiam nazwać ją „lex Kaczor”?

To, że to chwyt marketingowy przed wyborami do europarlamentu to już chyba oczywistość. Coś trzeba w tej nudnej kampanii mówić, a że te wybory będą pewnie niskie frekwencyjnie,

to trzeba grać mobilizację elektoratu twardego, by ten, jak równowaga do twardego plemienia przeciwnego, ruszył do urn. Sprawa przy okazji po wyborach, zużyte narzędzie zostanie odrzucone, komisja dołączy do kolejnych nudnych komisji, które zajmują już chyba tylko jakichś masochistycznych emerytów, którzy mają na to czas. Znowu ważna sprawa zginie w dwójpółówkowej czarnej dziurze polityki, a prawdziwe szpiegostwo będzie spokojnie oglądać to w telewizji, przegryzając ruskimi chipsami.

Nie, Tusk tego nie zrobił w emocjach. On... po prostu wyszedł na trybunę, by zrobić seteczkę do użycia zaplanowanej reklamy PO. Tydzień po wystąpieniu. Tak. Tak to było zaplanowane – tekst napisany do wygłoszenia, miny przetrenowane, by uciec wielkie oburzenie, wszystko w skrypcie na reklamówkę. A suweren się tym wszystkim emocjonuje, nie widząc, że trybuna sejmowa od dawna stała się tylko sceną do wystąpienia, które zostaną użyte jako clickbaity czy rolki w mediach społecznościowych. Wysoki Sejm, ta instytucja wolności, do której dążyli nasi prадziadowie przez wieki niewoli, jest już tylko scenografią do medialnej zabawy dla maluczkich.

Ciekaw jestem – gdyby nasi przodkowie wiedzieli, że tak wylądujemy – czy przeliliby choć kroplę krwi za takie państwo? ©©



#WARTO

Pajdokracja

JAN POSPIESZAŃSKI

Przez moment myślałem, że to, co słyszę na Konwencji Programowej Lewicy, to obrady parlamentu dzieci i młodzieży. Powołanie europejskiego rzecznika praw zwierząt i nadanie psom numerów P(i)ESEL, bezpłatne podróże koleją dla młodych i dla seniorów, legalizacja marihuany, skrócenie tygodnia pracy do 35 godzin przy zachowaniu tych samych zarobków, budowa 100 tys. tanich mieszkań na wynajem i nowych akademików, jawność płac... Te i podobne obietnice okraszone zostały pomysłami, które – gdyby, nie daj Boże, wcielić je w życie – mogłyby mieć katastrofalne konsekwencje.

Oczywiście postulaty rewolucji światopoglądowej są ciągle w programie, ale aborcja i przywileje dla mniejszości seksualnych nie robią już wrażenia. Po pierwsze, zostały przejęte przez Koalicję Obywatelską. Po drugie, w kontekście wyborów europejskich to Bruksela w tych kwestiach od lat sama wywiera presję na Polskę.

Wydziedziczona więc z aborcyjno-genderowego przekazu Lewica zaprezentowała na konwencji program, który robi wrażenie chaotycznego katalogu (nie)pobożnych życzeń. Pominę P(i)ESEL, na który media społecznościowe zareagowały wysypem memów. Pozostałe tematy, jak np. budowa 100 tys. tanich mieszkań, są tak odklejone od realiów, że trudno je traktować poważnie. Żadna formacja

mająca pełnię władzy nie zdołała nawet po części wywiązać się z zapowiedzi rozwiązania problemu mieszkaniowego. Dla porównania: w 2023 r. w różnych formach budownictwa spółdzielczego, komunalnego, czynszowego i zakładowego oddano do użytkowania łącznie... 4,3 tys. mieszkań, a doświadczenia minionych lat pokazują, że gdy jakkolwiek rząd zabierał się do budowania „tanich mieszkań”, to nawet jeśli udało się cokolwiek zbudować, to tanio na pewno nie było. Umizgi do młodych, czyli legalizacja marihuany, darmowe przejazdy koleją i obietnica miejsc w akademikach, brzmią tak fajnie, że można by dopisać do nich jeszcze sojowe latte w gratisie lub darmowy wegański ramen.

Ale obok wygłupów są zapowiedzi bardzo groźne. Postulat zniesienia zasady jednomyślności w głosowaniach w Radzie Europejskiej to zgoda na rezygnację z suwerenności, czyli likwidacja polskiej państwowości, a wpisanie aborcji do Europejskiej karty praw podstawowych to uczynienie z mordu prenatalnego przywileju.

I na koniec – ani słowa o bezpieczeństwie. Ucieczka od tematu migracji i ignorowanie zagrożenia wojennego to wyparcie trudnych tematów – postawa typowa dla mentalu dzieci. Lewica jak dziecko uznaje, że każdy ma prawo do komfortu, więc jeśli coś nam zagraża, to zamykamy oczy, a zagrożenie znika. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

„Siad” obraża!

Poseł Konfederacji Ryszard Wilk, wprowadzawszy w siebie alkohol, wziął i usiadł na jeźdni oraz tempłował sobie kontem. Stop. Policja na kontemplacji się nie zna, więc mu kazała zejść, bo samochody jeżdżą i poza tym mogłby dostać wilka. Stop. Wtedy właśnie, jak twierdził nasi świadkowie, pan poseł, chcąc zapewne uspokoić atmosferę, rzekł do policjantów: „Siad”. Stop. Stróża prawa źle przyjęli komendę i poszturkali Wilka nadmiernie (tak wynika z obdukcji), gdyż nie wiedzieli jeszcze, że Wilk jest posłem. Stop. Policja szykuje przeciwko posłowi zarzut znieważenia funkcjonariuszy, więc naprawdę niech państwo uważają na komendy.

Prokuratura umorzyła śledztwo w sprawie Tomasza Lisa, który miał dopuszczać się mobbingu, molestowania i naruszenia nietykalności cielesnej. Stop. Jedna z kobiet zeznała, że „Tomasz Lis miał pójść za nią przyspieszonym krokiem, złapać ją za twarz, przycisnąć do ściany i pocałować w policzek, mimo że kobieta próbowała się wyrwać”. Stop. Inna zeznała, że w trakcie robienia mu makijażu wsadzał jej palce przez dziury od spodni oraz chciał „się makijażować” w swojej sypialni. Stop. Jak widać, żadnego molestowania nie było, a dziennikarz robiący władzy wykwinnie został przeczyszczony. Stop. Wielkie brawa.

„Musimy wprowadzić europejską pensję średnią! Ceny

w Warszawie, Krośnie czy Słupsku są takie same jak w Niemczech czy we Francji. Czas, aby pensje Polek i Polaków były jak na Zachodzie!” – stwierdził, słowo dając publicznie, Robert Biedroń. Stop. Dla ekonomicznych analfabetów, którzy nie zdają sobie sprawy, jaką rzeźnią skończyłoby się to dla gospodarki, takie słowa są niezwykle atrakcyjne. Jak widać po tym, gdzie Biedroń jest, ekonomiczni analfabeci mają prawa wyborcze i nie wahają się ich użyć. Stop.

Agnieszka Holland: „Byłam osobiście na granicy z Białorusią i tam naprawdę nie ma aktualnie kobiet i dzieci, są sami terroryści wysłani przez Putina. To zupełnie inna sytuacja od tej, kiedy rządził PiS i kręciłam film”. Taki wpis pojawił się na X. Na fejk nabrało się wielu, bo wydaje się całkiem realny. Stop. Natomiast były minister Kierwiński naprawdę stwierdził, że nie bił brawa na filmie Holland. Stop. Chyba mamy sezonową przecenę słów. Stop.

Elon Musk, najbogatszy człowiek świata, poświęcił trochę uwagi Polsce, a w zasadzie Warszawie, a w zasadzie prezydentowi Warszawy Rafałowi Trzaskowskiemu. Decyzje o usuwaniu krzyży z urzędów skomentował krótko: „Bezwestydnie kopiują głupie rzeczy z Ameryki. Ale żenujące”. Decyzję Trzaskowskiego pod wpisem Muska krótko skomentował były premier Mateusz Morawiecki: „Ale wstyd”. Stop. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Zaczarowany bajek świat

Bardzo ciekawe dyskusje wywołał w polskich mediach opublikowany niedawno raport Najwyższej Izby Kontroli, dotyczący schronów, w których ukryć mogłaby się polska ludność cywilna w sytuacji zagrożenia. Wynika z niego, że na miejsce w schronach może liczyć ok. 4 proc. ludności naszego kraju. „Dzisiaj nie tylko nie ma obrony cywilnej, ale także systemu alarmowania o uderzeniu z powietrza, planów ewakuacji ludności cywilnej, nie powstają też nowe schrony [...]”. Ustalenia NIK wskazują, że jest jeszcze gorzej, niż nam się wydaje – czytamy w dzienniku „Rzeczpospolita”.

Tematem tym zajął się na łamach portalu wpolityce.pl redaktor Piotr Gursztyn. Stwierdził on, że „dyskusja o schronach to manowce”. Przywołał doświadczenia płynące rzekomo z wojny na Ukrainie. „Większość mieszkańców wielkich miast na Ukrainie zostaje w mieszkaniach, licząc, że nic im się nie stanie. W sumie mają rację – w atakach rakietowych giną pojedyncze osoby”. Zdaniem redaktora Gursztyna przykładanie do kwestii schronów nadmiernej wagi może być nawet szkodliwe. „Szczególnie gdy dotyczy to Polski, państwa, które samo z siebie ma silniejszą obronę powietrzną niż Ukraina, a na dodatek jest częścią Paktu, którego przewaga nad Rosją w tej materii jest przeogromna. Oczywiście zawsze jakaś

rakietą może się przedrzeć. Ktoś zostanie ranny, a może nawet zabity [...]”. Widać tu, że schrony stają się ostatnim punktem na liście potrzeb”.

Skąd czerpie redaktor Gursztyn opinię o potędze polskiej obrony powietrznej – w tym przeciwrakietowej? Wielu ekspertów wojskowych jest w tej materii przeciwnego zdania. Buńczuczne zapewnienia o własnej sile i potędze zawartych sojuszy jako żywo przypominają jednak tromtadrackie tyrady, wygłaszane przez sanacyjnych propagandzistów we wrześniu 1939 r. Wtedy także potężna miała być polska obrona przeciwlotnicza, nowoczesne lotnictwo, sojusznicy niezwyciężeni i silniejsi od wrogów. Zwrot „Silni, zvarci, gotowi” dla wielu pokoleń Polaków kojarzył się z bolesną historyczną traumą.

W opublikowanym 3 września 1939 r. „Dzienniku Ustaw”, nr 89, poz. 573, odnalezć można Dekret Prezydenta RP dotyczący budowy schronów. Postanawia on, że właściciele domów mogą pobierać od lokatorów opłaty z tytułu kosztów ich budowy. Były to decyzje niezbędne, acz cokolwiek spóźnione. Dwa tygodnie po publikacji dekretu prezydent Mościcki rozpakował już swój „plecaczek ucieczkowy” w umiarkowanie gościnnej Rumunii. Licznych właścicieli i lokatorów polskich domów już na tym świecie nie było. ©©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Ferajna tańczy, ja nie tańczę”



JOANNA SIEDECKA

Gdy w styczniu 1958 r. „Polska Kronika Filmowa” pokazywała uroczystość wręczenia Markowi Hłasce Nagrody Wydawców za jego rewelacyjny debiut „Pierwszy krok w chmurach”, publiczność w kinach, zwłaszcza młoda, której od razu stał się idolem, krzyczała głośno: „Marek, trzymaj się!”. Wiedziała, że ktoś taki jak on – 24-letni zaledwie, niepokorny, zbuntowany – nie będzie miał w PRL łatwego życia. I rzeczywiście, Październik otrąbiono, trzeba więc było zniszczyć jego niewygodny symbol, czyli Hłaskę, i na następny krok w chmurach już mu nie pozwolono. Władza nie była zadowolona, że prestiżowa nagroda trafiła w tak nieodpowiednie ręce. „Twarz wręczającego ją Iwaszkiewicza wyglądała jak wybuch bomby jądrowej, bał się zapewne, co powie Moskwa” – pisała Maria Dąbrowska.

Władysław Gomułka, z zawodu ślusarz czy dekarz, nie znosił szczególnie tzw. czarnej literatury, cofnął więc Hłasce przyznany mu już paszport na stypendium do Paryża i powołał go w kamasze, co odkręcili na szczęście dwaj jego wpływowi przyjaciele – Jerzy Andrzejewski oraz Jerzy Zawieyski, który przyznawał w swoim dzienniku: „Ze Spychalskim, tak przez stół, załatwiłem sprawę Marka”. Gomułkę rozwścieczył też film Aleksandra Forda „Ósmy dzień tygodnia” według opowiadania Hłaski. „Co za świństwo!” – krzyczał i wybiegł ze specjalnego pokazu dla KC, zabraniając rozpowszechniania obrazu, choć film miał reprezentować Polskę na festiwalu w Cannes.

Za film i stypendium dla Hłaski zdymisjonował też liberalnego ministra kultury, Karola Kuryluka.

„Koniom brak owsa – grzmiał. – A Kuryluk wysłał do Paryża byle kogo!”. Zabronił również Hłasce powrotu do Polski za wydanie w paryskiej „Kulturze” dwóch odrzuconych przez krajową cenzurę książek – „Cmentarze” i „Następny do raj” – oraz kilka udzielonych wywiadów, choć Hłasko starał się w nich żartować i na pytanie, dlaczego chce wracać do kraju, odpowiedział, że zapomniał szczoteczki do zębów. Pytany o kontakty z partią przyznawał natomiast, że pożyczył od jednego z partyjniaków tysiąc złotych i dotąd nie oddał.

Mimo wieloletnich starań i prośb zarówno Hłaski, jak i jego matki zakaz powrotu do kraju obowiązywał wobec niego dożywotnio, skazując go na tułaczkę, brak własnego kraju i domu. Dyskredytowano go również prasową nagonką, nazywając wrogiem Polski Ludowej, renegatem, sprzedawczykiem, zdrajcą. „Trybuna Ludu” – primadonną jednego sezonu; Witold Filler w „Żołnierzu Wolności” – przedstawiającym Polskę jako zapijaczony rynsztok. Jerzy Putrament oskarżał go w sowieckich „Izwestiach”.

Aż do śmierci był inwigilowany przez bezpiekę, jego sprawa nosiła kryptonim Kleist. Donosił na niego (m.in. o jego rzekomych konszachtach z izraelskim wywiadem) zaprzyjaźniony z nim Władysław Tubielewicz, TW „Henryk” – wieloletni profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Inwigilowano też jego matkę, Marię Hłasko. Podsunięto jej lokatorkę i przyjaciela domu, współpracowników SB, rewidowano, przesłuchiowano.

Hłaskę objął zakaz cenzury. Nie wydawano i nie wznawiano jego nowych, publikowanych na Za-

chodzie książek. Docierały jedynie do nielicznych. Najbardziej znane to m.in. „Piękni dwudziestoltni”, „Sowa, córka piekarza”, „Palcie ryż każdego dnia”, „Drugie zabicie psa”. Chwalili go najwybitniejsi. „Zdrapywał politurę kłamstwa i propagandowej mitologii z powojennego życia polskiego, wyrwał bebechy prawdy. Tworzył atmosferę rozpacz i półzwierzęcej wegetacji” – pisał Gustaw Herling-Grudziński. Polska prasa natomiast ubolewała, że się skończył, fabrykowała obowiązującą nawet po śmierci Hłaski czarną legendę alkoholika, awanturnika, skandalisty, dziwnkarza, choć od kobiet nie mógł się opędzić i miał te najładniejsze – Hanię Golde, Agnieszkę Osiecką, zachodnioniemiecką aktorkę Sonię Ziemann.

Jeszcze w 2004 r. partyjny krytyk Ryszard Matuszewski w swoim „Alfabcie 90-latka” pisał o Hłasce jako o nieodpowiedzialnym, zapitym wykolejeńcu, który skończył samobójstwem, choć najprawdopodobniej przedawkował środki nasenne. Nawet martwy autor „Pięknych dwudziestoltnich” był dla komunistów niebezpieczny – jego matka sześć lat starała się o sprowadzenie prochów syna do Polski. Na jego grobie na Powązkach umieściła napis: „Żył krótko, a wszyscy byli odwrócenii”. Agnieszka Osiecka poświęciła jemu i swemu ojcu, najważniejszemu mężczyźnie swego życia, piękny wiersz, z refrenem ulubionej piosenki Marka „Bal na Gnojnej”: „Ty miałeś długie życie, tata / on ma dwa groby we dwóch światach / Ma groby dwa, a nie miał domu / Przebac, jak dobrze mu / Cóż ja wam winna? / Dwa różańce / Ferajna tańczy / i ja tańczę”. ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJANOWSKI

Jak walczyć z systemem? System jest większy od nas, mocniejszy od nas, czasami wszechpotężny, czyli walka jest nierówna. Wiele osób w tym momencie przestaje walczyć – poddaje się, bo „skoro walka nierówna, to ja i tak nie mam szans”. Błąd logiczny, taktyczny i strategiczny! Przecież każda walka jest nierówna, bo gdyby była równa, to nigdy nie byłoby zwycięzcy.

Codziennie jakichś dwóch facetów w mojej kowbojskiej knajpie w Arizonie siłuje się na rękę i robią to na pieniądze – taki lokalny sport po kielichu. Mieszkam tu od wielu lat i jeszcze nigdy nie było pojedynku zakończonego remisem. Remis nie prowadzi do pokoju – remis prowadzi do kolejnej wojny. Dlatego jeżeli podejmujesz walkę, to musisz walczyć o zwycięstwo, a nie o remis czy kompromis. Żadnych kompromisów nigdy! Kompromis oznacza, że godzisz się na jakieś ZŁO. Kompromis oznacza, że dopuszczasz zło, czyli... bierzesz odpowiedzialność za to zło. A mowa nasza ma być prosta: albo „tak”, albo „nie”, a wszystko inne pochodzi od diabła. Kompromis jest powodem do kolejnej wojny.

Moje hasło WSZYSCY WON wyklucza kompromisy ze starym ubeckim układem. Żadnych układów z Magdalenki, żadnej „koegzystencji” z czerwonymi, żadnej grubej kreski – albo oni idą WON, albo ja muszę przegrać totalnie. Zwycięstwa w walkach ze złem nie mogą być połowiczne ani wynegocjowane, ani częściowe, kompromisowe. Coś takiego jak „dobry kompromis” nie istnieje i dowodem na to może być odradzający się spór o aborcję. Kolejne

dogrywki będą się odbywały aż do chwili, gdy dobro lub zło zwycięży.

Jak walczyć z systemem?

Najpierw trzeba w ogóle walczyć, a nie poddawać się z powodu takiego, że „walka nierówna”. A skąd wiesz, że nierówna? Tobie się tylko tak wydaje, a to przecież Pan Bóg kule nosi. Książd Jerzy Popiełuszko, gdy mu w komunistycznym wojsku kazali zdjąć medalik, powiedział przełożonemu: „Niech Pan mi zdejmie, bo ja sam nie zdejmę”. I potem chodził z tym medalikiem na szyi do końca przymusowej służby.

Trzaskowski jest jedynie krzykliwym komunistycznym tchórzem, który ma władzę. Ale tchórz to tchórz i łatwo go wystraszyć. Tchórzowi wystarczy twardo spojrzeć w oczy i powiedzieć: Spadaj gnoju! Przestraszy się lub... zaatakuję, bo ma władzę. Na to musisz być gotów – na to, że cię władza zaatakuje i pokona. W każdej walce musisz być przede wszystkim gotowy na totalną przegraną – wtedy i tylko wtedy masz szansę na zwycięstwo.

Kardynał Stefan Wyszyński walczył z systemem, który był większy od nas, mocniejszy od nas, czasami wszechpotężny, czyli walka była nierówna. Wiele osób przedstawiało walczyć – Księża Patrioci poddawali się, bo „skoro walka jest nierówna, to ja i tak nie mam szans”. Szli na kompromis z władzą. Błąd logiczny, taktyczny i strategiczny! Przecież każda walka jest nierówna, bo gdyby była

równa, to nigdy nie byłoby zwycięzcy.

Wyszyński powiedział systemowi NON POSSUMUS. Był gotów na to, że go władza pokona. Był gotów na totalną przegraną. I wygrał. Sam jeden, uwięziony bez wyroku, gotowy przegrać. Tchórze pokroju Trzaskowskiego tego napięcia nie wytrzymali.

Gdy komunistyczny zbrodniarz i sowiecki generał Wojciech Jaruzelski wprowadził na terenie Polski stan wojenny, pozamykano szkoły. Po pewnym czasie Jaruzel pozwolił wznowić naukę, ale wysłał do szkół oficerów politycznych, aby głosili „pogadanki”. Prawie cała moja szkoła wysłuchała tych „pogadek”, grzecznie idąc na zły kompromis – niech władza i system powiedzą swoje, a my nadal będziemy myśleli swoje. Błąd logiczny, taktyczny i strategiczny!

W mojej klasie był jeden odważny – Paweł Lipszyc (tak, tak, Żyd, z żydowskiej rodziny z żydowskimi tradycjami, bez telewizora, za to z płytami Boba Dylana, też Żyda, na których Paweł Lipszyc uczył się języka angielskiego, a dodatkowo z książkami innych Żydów, takich jak Bruno Szulc...).

Gdy wojskowy politruk doszedł w swojej „pogadance” do nazwisk i zaczął obarczać winą za stan wojenny „wichrycieli” takich jak... Paweł Lipszyc powiedział głośno i wyraźnie, że nie godzi się mówić źle o ludziach, których się wsadziło do więzień bez wyroków, a oni teraz nie mogą się bronić...

Politruk się wydarł, że będzie mówił, co tylko chce i o kim tylko chce...

Na to ja mu powiedziałem, że w takim razie my nie będziemy tego słuchać. I wsadziłem sobie demonstracyjnie palce w uszy.

(Paweł Lipszyc był wtedy odważny, ja byłem jedynie reakcjonistą – zareagowałem instynktownie).

Politruk spojrzał na mnie z tymi palcami w uszach i wrzasnął WON ZA DRZWI I DO DYREKTORA.

Spojrzałem na nauczycielkę. Była przerażona i poprosiła mnie bezradnym wzruszeniem ramion, bym wyszedł.

Wyszedłem, ale na JEJ prośbę, a nie z powodu wrzasku politruka. Nie wiedziałem, co ze mną będzie. Wstałem, ruszyłem do drzwi i tyle.

Paweł Lipszyc wstał zaraz po mnie i też wyszedł. Potem wyszła reszta klasy.

Politruk był wściekły, ale... zdezorientowany. Poleciał do dyrektora szkoły. Dyrektor zapytał go: Chce pan tę sprawę nagłośnić? Właśnie pan wywołał niepotrzebny bunt młodzieży, a pańska misja miała polegać na uspokojeniu nastrojów...

Politruk nie nagłośnił sprawy, nie doniósł przełożonym ani na nas, ani na... siebie. W naszej szkole nie odbyła się żadna kolejna z zaplanowanych „pogadek”. Nikt nie poniósł konsekwencji antysystemowego buntu. Odnieśliśmy zwycięstwo, bo byliśmy gotowi na klęskę.

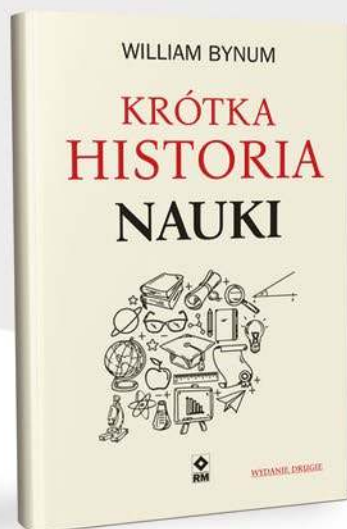
Z systemem należy walczyć. Bez oglądania się na szanse zwycięstwa.

Cieć w urzędzie miasta niech powie Trzaskowskiemu tak: Sam zdejmij ten krzyż! Tu masz drabinę. Acha, a masz unijne uprawnienia do wchodzenia na drabinę? Bo są wymagane i ja to filmuję... © ©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

WILLIAM BYNUM:
„KRÓTKA HISTORIA NAUKI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~854~~ ZŁ

403,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 451 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

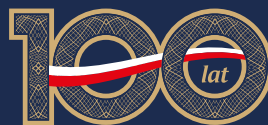
ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 385994fd94



NARODOWY
BANK POLSKI



STULECIE UTWORZENIA
BANKU POLSKIEGO SA
I WPROWADZENIA
ZŁOTEGO DO OBIEGU

Srebrna moneta kolekcjonerska o nominale 1 zł
100. rocznica wprowadzenia złotego do obiegu



Metal: Ag 999/1000 • Wymiary: 40,00 × 40,00 mm • Masa: 28,28 g
Stempel: lustrzany, selektywne złocenie • Brzeg (bok): gładki
Nakład: do 10 000 szt. • Projektantka: Urszula Walerzak • Emitent: NBP
Na zlecenie NBP monety wyprodukowała Mennica Polska SA

***Narodowy Bank Polski niezależny od rządu i parlamentu
oraz stabilna własna waluta są finansową podstawą
rozwoju gospodarczego Polski i wzrostu dobrobytu jej obywateli.***

Prof. Adam Glapiński
Prezes Narodowego Banku Polskiego

Emisja wartości kolekcjonerskich stanowi okazję do upamiętniania ważnych historycznych rocznic i postaci oraz do rozwijania zainteresowań polską kulturą, nauką i tradycją.

Wartości kolekcjonerskie do nabycia w Oddziałach Okręgowych NBP
oraz w sklepie internetowym: [KOLEKCJONER.NBP.PL](https://kolekcjoner.nbp.pl)

eprasa.pl.385994fd94